

KULTURA KOSZALIŃSKA

almanach

2005



KULTURA KOSZALIŃSKA

ALMANACH 2005

„Kultura koszalińska
Almanach 2005”
wydany z inicjatywy Rady Kultury
przy Prezydencie Koszalina.

Kolegium Redakcyjne:
Zdzisław Pacholski - przewodniczący
Jadwiga Koprowska
Kazimierz Rozbicki
Andrzej Ciesielski
ks. Henryk Romanik

Małgorzata Kotowska - redaktor prowadzący

Wydawca
Koszalińska Biblioteka Publiczna
Koszalin
plac Polonii 1
tel. 094 348 15 40

Kolegium Redakcyjne dziękuje Muzeum w Koszalinie
za udostępnienie fotografii archiwalnych

Druk: Drukarnia RONDO – Koszalin

Projekt okładki: Arkadiusz Docz

ISBN 83-87317-54-3

Szanowni Państwo,

jest mi niezwykle miło, że trzymacie Państwo w swoich rękach pierwsze wydanie Almanachu „Kultura Koszalińska 2005”. To efekt pracy zespołu fachowców skupionych wokół Rody Kultury przy Prezydencie Miasta, którą powołałem w 2005 roku. Oczywiście, najlepsi nawet specjaliści nie mieliby okazji podjąć wyzwania opracowania i wydania Almanachu, gdyby nie talent i uznanie w świecie koszalińskich ludzi kultury.

Kultura wydaje się rzeczą ulotną, stanem, który trudno zmierzyć mickiewiczowskim „szkiełkiem i okiem”. Są jednak ludzie, którzy przygotowując proce naukowe na temat samorządu ocierają się o ten problem w sposób - wydawałoby się - przypadkowy. Właśnie w 2005 r. Uniwersytet Warszawski przeprowadził badania na temat poziomu życia w polskich miastach. Okazało się, że wśród miast na prawach powiatu Koszalin znalazł się tuż za Trójmiastem i Skierniewicami, wyprzedzając kilkanaście innych miast. Analizując metodę badawczą naukowców ze stolicy nie jest trudno zauważyć, że tak dobry wynik jest także efektem kulturalnych osiągnięć koszalinian i dużej dostępności do duchowej stawy dla mieszkańców naszego miasta.

Jaka zatem jest ta stawa? Przypalona? Przesolona? A może wychwytyjąca pełny bukiet smaków i aromatów? Osobiście, po zasmakowaniu potraw z różnych pieców, optuję za wersją ostatnią. To wszak z jednej strony Filharmonia Koszalińska, Jazz w Teatrze czy Jazz Hanza Festiwal, a także Bałtycki Teatr Dramatyczny „Dialog”, wystawy Joana Miró i Dudy Gracza, kultura jamneńska, nowe książki koszalińskich pisarzy i poetów oraz wizyta prof. Leslie Brenta. Po drugiej stronie bieguna - dzieci i młodzież skupione w Miejskim Ośrodku Kultury czy Młodzieżowym Domu Kultury. Nasza przyszłość, która już teraz zazdrośnie patrzy na sukcesy seniorów i obiecuje sobie w duchu, że będzie lepsza, bardziej uznana od swoich poprzedników (miłościwie nam obecnie panujących!). Ot, przywilej młodości. Bo miasto musi się rozwijać, jeśli chce być czymś więcej niż tylko jednym z wielu punktów na mapie Polski.

Wniosek nasuwa się sam: Koszalin kulturą stoi. I niech to się nie zmienia, bo nasze miasto nie byłoby już tym samym, magicznym - w moim odczuciu - miejscem.

Mirosław Mikietyński
Prezydent Koszalin



Fot. Zdzisław Pacholski

Drodzy Czytelnicy

Sztuka wielokrotnie stanowiła, a zapewne i dziś stanowi, w mniej lub bardziej widoczny sposób, istotny element społecznej identyfikacji. Twórczość literacka, muzyczna i plastyczna może być niezwykle istotnym elementem samookreślenia zarówno małych społeczności, jak i całych narodów.

Ta dość oczywista teza dotyczy również Koszalina. Środowisko twórcze miasto doświadczone zostało najpierw zmianami ustrojowymi w 1989 roku, a kilka lat później utratą statusu miasta wojewódzkiego. Obydwa wydarzenia miały znaczący wpływ na kondycję środowisk twórczych, niestety, niekorzystny.

Rozpoczęta przez nas kilka lat temu dyskusja nad stanem kultury oraz chęć znalezienia sposobu na wyjście z impasu zaowocowały w 2004 r. współpracą z samorządem lokalnym. Zaproponowane przez nas wydawanie Almanachu jest próbą bilansu tego okresu. Bardzo dziękujemy Prezydentowi Koszalina, panu Mirosławowi Mikietyńskiemu za zgodę na realizację tego projektu. Naszej wdzięczności towarzyszy nadzieja, że Almanach stanie się trwałym elementem pejzażu kulturalnego Koszalina.

Kolegium Redakcyjne podjęło się przeanalizowania lokalnych wydarzeń oraz skutków ich oddziaływania na odbiorcę na gruncie krytyki artystycznej. Przekazywany Czytelnikowi Almanach ma jednocześnie dokumentować i archiwizować zdarzenia artystyczne i prezentować sylwetki twórców Koszalina i okolic. Z czasem może to zaowocować powstaniem unikatowego archiwum sztuki współczesnej w skali regionu.

Pisząc o wydarzeniach 2005 roku, twórcy Almanachu starali się nie tracić z pola widzenia szerszej perspektywy i pokazywać zjawisko raczej, aniżeli mniej lub bardziej godne odnotowania jednostkowe fakty. Kwestią sporną może być dobór owych faktów, jest to tym bardziej drażliwa kwestia, że chcielibyśmy, aby samo omówienie tego czy innego wydarzenia na kartach Almanachu było aktem nobilitacji, równoznacznym z nadaniem znaku najwyższej jakości.

Dokonując wyboru tematów Kolegium Redakcyjne mogło odwołać się do własnej wiedzy, znajomości przedmiotu i wrażliwości, ze świadomością jednak, że może zaciążyć na tym wyborze grzech subiektywizmu. Dla uzyskania tym większej obiektywności ocen tam, gdzie to możliwe - a czasem i konieczne - do współpracy zaproszono grono autorów spoza Koszalina lub tych, którzy zmieniając miejsce zamieszkania, zyskali dystans do tutejszej, lokalnej rzeczywistości.

I chociaż głos poety, muzyka czy artysty ginie w powodzi potocznej rzeczywistości, to nadzieja odnalezienia choćby garstki tych, dla których znaczy on tak wiele, jest dla nas wystarczającą nagrodą.

Bogdan Gutkowski,
przewodniczący Rady Kultury
Zdzisław Pacholski,
przewodniczący Kolegium Redakcyjnego
Almanachu

SPIS TREŚCI

I. MUZYKA	9
1. Kazimierz Rozbicki, Filharmonia Koszalińska w latach 2000-2005	11
2. Basia Jakubowska, „Missa Festiva” - uroczysta i urocza	17
3. Maria Słowik-Tworke, Salon Muzyczny Radia Koszalin	20
4. Beata Górecka-Młyńczak, Jazz nad Dzierżęcinką	22
II. LITERATURA	25
1. Tadeusz Żukowski, Poeta, pisarz i chłopiec z błękitnym piórkiem (wokół poezji i prozy Andrzeja Turczyńskiego)	27
2. Leszek Żuliński, Patriota Ziemi, patriota niebios. Tomiki poetyckie ks. Henryka Romanika	32
3. Leszek Żuliński, Ryszard Ulicki - talent, który spadł z nieba	36
4. Monika Szumowska, Zgadywanka z wieczności. O książce Zbigniewa Danielewicza „Niebo. Historia przyszłości”	39
5. Małgorzata Zychowicz, Świadek pięknych spotkań. O książce bp. Ignacego Jeża „Nadzwyczajnie zwyczajny”	42
6. Jerzy Lewczyński, Harmonia słowa, harmonia obrazu.	43
7. Ewa Podgajna, Na początku było Iwęcino... „Koniec świata w Iwęcinie” Henryka Romanika i Zdzisława Pacholskiego	44
III. TEATR	45
1. Artur Daniel Liskowacki, Pasek, czyli Polacy. O Bałtyckim Teatrze Dramatycznym	47
2. Dorota Kolano, Staropolszczyzna w teatrze wyobraźni Aktorskie sukcesy	50
3. Anna Kutkowska, Teatr uczy pokory	52
4. Izabela Nowak, Wszechstronność uhonorowana. „Złoty Gong” dla Wojciecha Rogowskiego	54
5. Izabela Nowak, Fenomen „Dialogu” trwa nadal	56
IV. SZTUKA I ARCHITEKTURA	59
1. Walentyna Orłowska, O miejsce dla sztuki...	61
2. Stanisław Wolski, Sukces w kręgu nowych mediów. Wyróżnienie dla studenta koszalińskiego wzornictwa	67
3. Anna Mosiewicz, Dziesięć „Złotych Muszli” Osieki i „Osieki”	69
4. Małgorzata Kotowska, Ostatni przejaw awangardy polskiej. Rozmowa z Jerzym Fedorowiczem	72

5. Marek Wawryn, „Kopyrajt” dla Spotkań	75
6. Andrzej Słowik, Co sądzę o obecnych plenerach w Osiekach	76
7. Marcin Szelaąg, Kolekcja „osiecka” - nie do przecenienia!	77
8. Wojciech Ciesielski, „SCENA” w Koszalinie	82
9. Jupi Podlaszewski, „Nasi” za granicą. Pacholski, Ciesielski	85
10. Ryszard Nakonieczny, Architektoniczne dialogi z przeszłością	88
V. MUZEALNICTWO	93
1. Andrzej Kasprzak, Goci na Pomorzu Środkowym. Wystawa i konferencja naukowa w Muzeum	95
2. Lija Szadkowska, Jamno - wyspa kulturowa	100
3. Bartosz Osiewicz, Włodzimierz Wysocki. Czy pamiętasz ten dom...	104
4. Zenon Suszycki, Radio Retro. Pierwsze w Polsce Muzeum Radia	106
VI. MISCELLANEA	109
1. Piotr Kuncewicz, Narzędzie kulturowego uszlachetniania. O miesięczniku „Miesięcznik”	111
2. Leslie Brent, Jak zacząłem wierzyć w cuda	114
3. Katarzyna Konopko-Walkowiak, Władysław Rokiciński, Święto kina w Koszalinie	117
4. Anna Marcinek-Drozdalska, Miód i kolokwinta. O wydawnictwie Artystycznym	119
Związki twórcze w Koszalinie	
5. Józef Narkowicz, Przepustka na salony. Rozmowa z Ewą Miśkiewicz-Żebrowską, prezesem oddziału ZPAP	121
6. Ludmiła Janusewicz, Na straży poziomu literatury polskiej. ZLP dziś	124
7. Jerzy Gąsiorek, Miasto wybrane przez Hasióra	126
8. Stanisław Wolski. Pub środowisk twórczych	129
VII. Anna Kowal, Kalendarium wydarzeń 2005	130
VIII. Kto jest kim. Autorzy Almanachu od A do Z	139

MUZYKA

Działalność każdej filharmonii wyraża się przede wszystkim w repertuarze, jaki kształtuje jej dyrektor artystyczny. On także dba o należyty poziom wykonawczy prezentowanych dzieł. W Filharmonii Koszalińskiej w sezonach 2000/01 do 2003/04 funkcję tę sprawował Jerzy Kosek, dyrygent wrażliwy i wszechstronny, jaki doskonale czuł się w różnych gatunkach i epokach literatury muzycznej.

Kazimierz Rozbicki

Filharmonia Koszalińska

w latach 2000-2005

W dziedzinie polityki repertuarowej kontynuował linię swych poprzedników, tzn. brak jakiegś szczególnej linii; wynikała ona po prostu z propozycji zapraszanych artystów gościnnych - dyrygentów i solistów, oraz oczywiście, w pewnym zakresie, z upodobań własnych dyrektora. Dodać trzeba, że na repertuar koncertowy, a dokładniej na jego ograniczenia, ma obecnie duży wpływ obowiązujące od września 2000 roku Prawo Autorskie, rozszerzające czas trwania autorskich praw majątkowych do siedemdziesięciu lat od śmierci twórcy. Konsekwencją tego jest konieczność płacenia dość wysokich sum za wykonania chronionych prawem dzieł - na co uboższe filharmonie, a więc prawie wszystkie, nie mają środków; np. w odniesieniu do bieżącego roku (2006) ogranicza to umieszczanie w repertuarze utworów twórców zmarłych po 1936 roku - i później, a więc całego wielkiego rozdziału frapującej symfoniki XX wieku (m.in. dzieł Strawińskiego, Ravela, Bartoka, Rachmaninowa, Prokofiewa, Szostakowicza, naszego Szymanowskiego i innych polskich kompozytorów). Filharmonia może wysuwać środki na 2-3 takie wykonania w sezonie.

Cztery sezony Jerzego Koska

zapisali się w całości jako bardzo udane, kilka koncertów wyróżniło się jednak szczególnymi walorami. W roku 2001 (25 maja, jubileusz 45-lecia Filharmonii Koszalińskiej) był to koncert o charakterze popularnym, z udziałem trzech wybitnych polskich tenorów: **Bogusława**

Morki, Dariusza Stachury i Adama Zdunikowskiego; dyrygował Jerzy Kosek, zaś program komentował **Bogusław Kaczyński**. Gwoździem tego programu były arie operowe i pieśni przystosowane dla trzech tenorów - echo niezwykle popularnego od 1990 roku koncertu trzech wielkich tenorów w termach Caracalli w Rzymie. Koncert koszaliński odbył się w specjalnie przystosowanej doń hali sportowej liceum im. Du Bois. Hala była całkowicie wypełniona słuchaczami (ponad 1000 osób) - i wspianymi głosami solistów. Sekundowała im świetnie przygotowana i prowadzona przez Jerzego Koska orkiestra. W świat opery ze swadą i znajomością rzeczy wprowadzał słuchaczy niezawodny Bogusław Kaczyński. Przyjęcie było entuzjastyczne.

W roku 2002 wyróżniły się dwa koncerty. Autorem sukcesu pierwszego z nich (8 III) był amerykański dyrygent o polskich korzeniach, **Joel Erie Suben**. W sukcesie tym miał także swój ważki udział młody skrzypek **Natan Dondalski** - obecnie koncertmistrz koszalińskiej orkiestry - który brawurowo wykonał wirtuozowskie utwory Saint-Saënsa, Sarasatega i Paganiniego. Kulminacją wieczoru była *II symfonia* Roberta Schumanna, dzieło, jakiego artystyczny wyraz zależy w ogromnej mierze od interpretacji - od dyrygenta. J. E. Suben przedstawił muzykę tę zachwycająco, odkrywając jej nieprzeczuwalną głębię i piękno, nadając dziełu świetnie wyważony, zwarty, pełen ekspresji przebieg - w całkowitym przymierzu z orkiestrą grającą jak w transie.

Szczególny charakter miał drugi koncert, jaki odbył się w katedrze (27 IX 2002), pomyślany i prowadzony przez **Marka Pijarowskiego**. Nazwany przezeń „Adagio-muzyka czasu zatrzymanego” świetnie wypełniał tę artystyczną formułę, zawierającą się w refleksji, wewnętrznym wyciszeniu, ekspresji melancholii i przemijania, odwołaniu do naszej duchowości. *Adagio* Albiniego, *Adagietto* Mahlera (z V symfonii), Wstęp do *Tristana i Isoldy* Wagnera, finałowe Lamentoso z VI symfonii Czajkowskiego - i wreszcie fragmenty *Stabat Mater* Pergolesiego - to same muzyczne arcydzieła ze znawstwem dobrane do owej idei czasu zatrzymanego. Ich wspólną cechą jest refleksyjność, powaga i melancholia, wydawałoby się zatem, że koncert będzie raczej monotony, jednak piękno samej muzyki, świetnie zestawiona kolejność utworów i ich ekspresja - stworzyły swoistą, zwartą dramaturgię bez reszty wciągającą bardzo liczną publiczność w światy myśli i ducha emanujące z tej muzyki. Marek Pijarowski prowadził swój program znakomicie, orkiestra w akustyce kościoła brzmiała pięknie, doskonale śpiewał chór szkół muzycznych przygotowany przez Ewę Szerebę; niezapomniani wieczór.

W 2003 roku (13 VI) zapisał się swym niecodziennym charakterem koncert prowadzony przez Jerzego Koska, poświęcony jubileuszowi 40-lecia pracy artystycznej **Kazimierza Rozbickiego**; z tej okazji w programie znalazła się orkiestracja *Sonaty wiolonczelowej* Fryderyka Chopina - w formie symfonii koncertującej na fortepian i orkiestrę - dokonana przez jubilata. Znakomitym solistą był **Krzysztof Jabłoński**, który w drugiej części wieczoru wykonał I koncert fortepianowy Brahmsa: jego porywająca interpretacja oraz wspaniała pianistka były wielkim artystycznym wydarzeniem.

Jesienią tegoż roku (26 X) odbył się w kościele pw. Ducha Świętego koncert, jaki ze względu na sam program był wielkim wydarzeniem. Soliści: **Bożena Harasimowicz-Haas**, **Ewa Marciniak**, **Ryszard Minkowski**, **Bogdan Makal**, Chór Politechniki Szczecińskiej i kosza-
lińscy filharmonicy pod batutą Jerzego Koska wykonali *Requiem* Mozarta. Wielkie muzyczne

przedsięwzięcie, odpowiedzialne i trudne ze względu na artystyczny format i charakter dzieła, było sukcesem wykonawców, a zwłaszcza dyrygenta, który głęboko odczuł i przekazał ekspresję tej muzyki, prowadził wykonanie bardzo pewnie i czytelnie - czego wymagała akustyka wielkiego wnętrza świątyni. Świetni soliści, renomowany chór, dobrze grająca orkiestra - zapewnili piękną dźwiękową materializację i uduchowioną interpretację nieśmiertelnego dzieła Mozarta.

Dyrektorem naczelnym Filharmonii Koszalińskiej w latach 1999-2003 była **Józefa Solecka**, w sezonie 2003/04 stanowisko to objął **Robert Wasilewski**. Rozpoczynając swą działalność od poszukiwań nowego dyrektora artystycznego, udał się w grudniu 2003 na Konkurs Dyrygentki im. G. Fitelberga w Katowicach. Zainteresował pracą w Koszalinie zwycięzcę tego konkursu, Serba **Aleksandara Markovića**, pianistę i dyrygenta, wychowanka uczelni muzycznych w USA i w Wiedniu. W kwietniu 2004 młody dyrygent przyjechał do Koszalina, aby poprowadzić „sondazowy” koncert - sondazowy dla obydwu stron. Zaprezentował się znakomicie - tak na próbach, jak i na koncercie - jako rzeczywiście wielki talent. Orkiestra była przygotowana i grała świetnie zarówno w akompaniamencie (*Koncert skrzypcowy* Karłowicza), jak i w dziełach orkiestrowych (*Noc na Łysej Górze* Musorgskiego, *III symfonia* Czajkowskiego); zwłaszcza niezmiernie rzadko wykonywane dzieło Czajkowskiego zabrzmiało pod batutą Markovića wspaniale. Była to interpretacja prawdziwie odkrywczą. Słuchacze odkryli także świetne *métier* i wielką muzykalność dyrygenta. W następstwie tego koncertu Aleksandar Marković objął od września 2004 stanowisko dyrektora artystycznego Filharmonii Koszalińskiej.

Sezon Aleksandara Markovića

Marković pozostał na tym stanowisku przez jeden sezon - do czerwca 2005 roku. W sezonie 2005/06 czekało nań stanowisko dyrektora muzycznego Opery w Innsbrucku, jakie otrzymał w wyniku konkursu. Wybrany został spośród kilkudziesięciu kandydatów - to wielkie uznanie



Sezon Aleksandra Markovića przeszedł do historii Filharmonii Koszalińskiej jako jeden z bardziej znakomitych

dla talentu młodego artysty i otwarcie drogi do wspaniałej, międzynarodowej kariery.

Sezon koszaliński był dla niego z pewnością ważnym doświadczeniem, prowadził tu osiem bardzo trudnych, odpowiedzialnych programów, jakie były ważnym doświadczeniem także dla koszalińskiej orkiestry. Wiedza, talent i format artystyczny tego dyrygenta, jego świetna, dynamiczna praca z muzykami, ogromne wymagania przyniosły rezultaty nadzwyczajne. Nigdy muzycy koszalińscy nie pracowali tak pilnie i z takim zapałem. To był zupełnie nowy i nieznanym im styl pracy - w porównaniu z owym, jaki był ich doświadczeniem od zawsze. Efekty

tej pracy były niemal natychmiastowe. Na kolejnych koncertach Markovića nie poznawaliśmy orkiestry, zespół zyskał płynność i stopliwość brzmienia, wyrazistość i kulturę frazowania oraz artykulacji, a przede wszystkim z satysfakcją i pożytkiem poznawał swe nieznane dotąd możliwości, niejako odnajdywał się w najtrudniejszym symfonicznym repertuarze, przeżywał smak wielkiej sztuki i powodzenia.

Swój koszaliński sezon rozpoczął Aleksandar Marković w Słupsku, prowadząc tam koncert w ramach Festiwalu Pianistyki Polskiej (7 IX 2004). Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej towarzyszyła dwojgu pianistom: **Pawłowi Kowalskiemu** w *Konercie fortepianowym* Lutosławskiego i **Joannie Marcinkowskiej** w *I koncercie fortepianowym* Brahmsa. Te wielkie i trudne dzieła są właściwie symfoniami z fortepianem, stanowią wielkie wyzwanie dla dyrygenta. Marković prowadził je świetnie, świetnie także współpracował z solistami - wspaniałymi! Swada i precyzja Pawła Kowalskiego, artyzm sztuki Joanny Marcinkowskiej, dyrygencka klasa Aleksandara Markovića, bardzo dobra gra orkiestry pozwoliły stworzyć prawdziwe kreacje przyjęte przez festiwalową publiczność entuzjastycznie.

Koszalińska inauguracja sezonu (24 IX) zawierała w swym programie *Symfonię klasyczną* Prokofiewa. *Koncert fortepianowy* Lutosławskiego i *VII symfonię* Dworzaka; solistką w *Konercie* Lutosławskiego była tym razem **Ewa Pobłocka**. Wykonania tych dzieł były znakomite, ale w *Symfonii* Dworzaka Marković przeszedł sam siebie. Napisałem wówczas w recenzji: „*orkiestra nasza nigdy nie grała w takim skupieniu i tak starannie, i nigdy tak pięknie nie brzmiała; muzyka nieustannie falowała, pulsowała, fascynowała swą bogatą narracją, muzycy grali jak w transie. Byliśmy świadkami wydarzenia naprawdę niezwykłego: tak świetnego koncertu naszych filharmoników jeszcze nie słyszałem*”.

Z październikowych koncertów warto przywołać jeszcze kolejny program (7 X), zawierający *II koncert fortepianowy* Brahmsa (solista **Adam Wodnicki**) i *Eroikę* Beethovena (dyrygent **Michał Dworzyński**) - ale tylko z uwagi na same arcydzieła, ich wykonanie bowiem było

zaledwie poprawne i pozostawiało niedosyt, zwłaszcza w tydzień po koncercie Markovića.

W listopadzie podbili swą publiczność muzycy - soliści orkiestry (**Janusz Vogelsinger** - obój, **Leopold Kaczyński** - klarnet, **Krzysztof Rojek** - fagot, **Henryk Zajączkowski** - róg) wykonując stylowo i z polotem *Symfonię koncertującą* Mozarta; na czele orkiestry stał **Tomasz Bugaj**, który ponadto prowadził, może nazbyt klasycznie, ale ze smakiem, *VII symfonię* Beethovena. Na kolejnym koncercie zabrzmiała monumentalna i ekspresyjna *III symfonia* Góreckiego. W drugiej części wieczoru nastrój rozjaśniła świetnie wykonana muzyka operowa, jaką dali prowadzący koncert **Ruben Silva** i jego żona **Gabriela**. Listopadowe koncerty zakończył maestro Marković *Karnawałem rzymskim* Berlioza oraz *II symfonią* Schumanna (ponad trzy lata po wykonaniu Subena - patrz wyżej). I tu prawdziwy cud: interpretacja inna, ale prawda artystyczna równie frapująca, podana jednak z większą pasją i większą siłą romantycznej ekspresji; orkiestra grała jak zaczarowana, podobnie słuchała publiczność. Utwór Schumanna towarzyszył tu *Koncertowi fortepianowemu a-moll* skomponowanemu w wieku 14 lat przez jego wielką miłość, późniejszą żonę Klarę, z domu Wieck. Dzieło to powstawało w okresie rodzenia się ich uczucia, Schumann dzieło to instrumentował. Wysłuchanie *Koncertu* było zatem sentymentalną podróżą do czasów owego wielkiego romansu epoki, ale także miłym przeżyciem - wykonany po raz pierwszy w Polsce, okazał się muzyką interesującą, pełną wdzięku i wirtuozowskiego zacięcia. Zagrał ją lekko, błyskotliwie, w najczystszy stylu brillant, młody niemiecki pianista **Florian Uhlig**.

Inny niemiecki artysta, dyrygent **Daniel Inbal**, prowadził koncert, którego program jawił się jak monumentalny dyptyk - *Koncert skrzypcowy* Sibeliusa w interpretacji **Agaty Szymczewskiej**, wypieszczonej, doskonałej, pełnej umiaru, ale może pozostawiającej zbyt mało miejsca na nieco większą dozę ciepła i osobistej nuty, i drugie skrzydło tego dyptyku - *III symfonia* Brucknera, jedno z największych dzieł repertuaru symfonicznego późnego romantyzmu,

absolutna rewelacja programowa, Bruckner po raz pierwszy u nas w pełnej postaci (grano w latach sześćdziesiątych jego okrojoną *IV symfonię*). Wielkie, nieznane jeszcze dzieło i wielkie trudności: zupełnie nowe problemy techniki, wyrazu, brzmienia. Daniel Inbal miał tylko pięć prób, zrobił jednak bardzo dużo. Muzyka Brucknera jawiła się wyraziście w precyzyjnie rysowanym przebiegu, wiernie przekazując swą artystyczną i ideową zawartość. Publiczność koszalińska doznała zatem przeżyć zupełnie nowych, jakie są udziałem słuchaczy w największych ośrodkach muzycznych świata, co doceniła, przyjmując utwór bardzo gorąco.

Rok 2005 w filharmonii

rozpoczął się jak zwykle cyklem koncertów karnawałowych, z jakich warto by przypomnieć trzy: wieczór wiedeński lekko i stylowo prowadzony przez Ernesta Hoetzla (Austria), wieczór piosenek Agnieszki Osieckiej - świetny, kulturowy program, oraz wieczór **Jana Walczyńskiego** z udziałem rewelacyjnych „rewelersów”: poznańskiego zespołu **Affabre Concinui**. Były to koncerty oferujące strawę lekką, ale nie akustyczną papkę.

Po pięciu programach karnawałowych wrócił na estradę Aleksandar Marković, kontynuując swój sezon. Oczywiście, dodać tu należy, iż programy tego sezonu prowadzone przez innych dyrygentów są także przezeń firmowane. Sam zaś ów powrót, po dwóch z górą miesiącach, szef orkiestry zaakcentował wykonaniem marzenia wszystkich zapewne ambitnych dyrygentów: *VI symfonii „Patetycznej”* Czajkowskiego. Jest to dzieło legendarne z racji wyjątkowych walorów muzycznych, legendarne także *stricto sensu* ze względu na legendę tycząca okoliczności powstania dzieła i śmierci kompozytora tuż po jego prawykonaniu. Każdy dyrygent musi zmierzyć się z tymi dwiema legendami. Aleksandar Marković zaufał samej muzyce, intensywności i głębi wyrażanych przy jej pomocy uczuć, unikając w ten sposób artystycznej tautologii, tak tu niestety częstej; doskonała realizacja wystarczy, aby muzyka tego dzieła przemówiła w całej swej złożoności, w całym pięknie i wyrazie, bez

domieszki łzawego sentymentalizmu. Dyrygent i orkiestra odnieśli pełne zwycięstwo. Nadanie tak pięknego kształtu tej niezwyklej symfonii było niejako aktem artystycznej nobilitacji.

W następnym tygodniu kolejna lekcja Markovića: *Leonora III* Beethovena, *Koncert wiolonczelowy* Dworzaka, który jest faktycznie wielką symfonią, i *Symfonia „Jowiszowa”* Mozarta. Stylistyczne różnice zakwitły tu czytelnie i pięknie. *Koncert wiolonczelowy* rozwinął wszystkie swe orkiestrowe uroki, a *Symfonia* zabrzmiała jak radosne wcielenie owej jowiszowej boskości. W marcu miało miejsce nieczęste, filharmoniczne wydarzenie: prawykonanie *Koncertu podwójnego na skrzypce i fortepian* **Stanisława Drzewieckiego** - dokonane przez autora oraz skrzypaczkę **Marię Machowską**. Oboje byli w tym świetni, profesjonalni, choć właśnie mieli przed sobą dyplomy w Liceum Muzycznym. Trudniejsze było zadanie kompozytorskie, ale młody twórca wyszedł i z tej próby zwycięsko. Pozostając w zgodzie ze swą wyobraźnią i swym światem muzycznym napisał utwór ujmujący szczerością wypowiedzi, nadaniem jej naturalnego przebiegu, i dźwiękowymi pięknosciami.

I ponownie Marković z utworem, jakiego nie mogło zabraknąć w tym inicjacyjnym sezonie ambitnego dyrygenta, jednym z najpiękniejszych w symfonicznym repertuarze: *IX symfonię* Dworzaka. Prowadził tę barwną, frapującą opowieść „Z Nowego Świata” niezwykle naturalnie. Tempo, dynamika, a nade wszystko bogata wyrazowość tej muzyki stanowiły jedność z artystyczną ideą dzieła. Orkiestra grała miękko, płynnie i wrażliwie, instrumenty solowe inkrustowały całość nadzwyczaj pięknie. Było to wykonanie naprawdę wielkiej urody.

Kontynuując swą wizję symfonicznego repertuaru, wychowanek wiedeńskiej uczelni nie mógł pominąć muzyki Ryszarda Wagnera - oczywiście orkiestrowych fragmentów z jego oper. Wybrał uwerturę do opery *Rienzi* oraz *Wstęp i Karfreitagszauber* z *Parsifala*. Słuchałem tych utworów tylko na próbach. Była to świetna i niezwykle pożyteczna wagnerowska lekcja dla orkiestry, zaś dla jej (orkiestry) przyjemności - i przyjemności słuchaczy - dodał sławne

niegdyś, a zawsze urzekające *Preludia* Liszta.

Na pożegnanie swego koszalińskiego sezonu Aleksandar Marković wybrał i poprowadził *REQUIEM* Verdiego. Jedno z najpiękniejszych oratoriów, jakie w ogóle napisano, dzieło wielkiego formatu, wielkich idei i wielkich wyzwań wobec wykonawców. Cały jego dramatyzm, ogromna skala wyrazowa i zarazem ogromne trudności wykonawcze - dotyczące zespolenia trzech artystycznych organizmów: solistów, chóru i wielkiej orkiestry, wszystko to sprawia, że wykonanie *Requiem* jest przedsięwzięciem niesłychanie trudnym, zaś jego powodzenie artystyczne zależy głównie od dyrygenta. Marković miał tylko jedną próbę całościową w katedrze, w pogłosowej akustyce, która utrudnia lub uniemożliwia wzajemne słyszenie się - tu 150 wykonawców. I zwyciężył całkowicie, tworząc wspaniałą kreację. Poprowadził wykonawców drogą naturalności, prawdy i artyzmu, wydobyl z nich wszystko co najlepsze, zaś słuchaczom wypełniającym katedrę pozwolił przeżyć wielkie artystyczne i religijne wzruszenie. Osłodziło to gorzki fakt, że oto kończył się fascynujący sezon koszalińskich filharmoników pod jego wodzą, sezon jaki był nieustanną i zachwycającą przygodą z symfonicznym repertuarem i z pięknem muzyki.

Ostatni występ Aleksandara Markovića - już poza filharmonicznym sezonem 2004/05 - miał miejsce także w katedrze. Prowadził *III symfonię „Organową”* Camille’a Saint-Saënsa na inauguracyjnym koncercie Koszalińskiego Festiwalu Organowego (24 VI 2005), jak zwykle odciskając piętno swej sztuki na interpretacji wspaniałego, wielkiego dzieła, jakiego życie estradowe ograniczone jest do sal koncertowych z organami i, oczywiście, do wielkich kościołów. Wspomnieć trzeba o jednym jeszcze występie Markovića: poprowadził lekki koncert promenadowy przed koszalińskim amfiteatrem.

Okres wakacyjny należał do Festiwalu Organowego, o czym dalej. We wrześniu 2005 roku rozpoczął się kolejny, 50. sezon Filharmonii Koszalińskiej im. Stanisława Moniuszki, pod nową artystyczną dyрекcją. Ponownie objął ją **Ruben Silva**, który sprawował już tę funkcję w Kosza-

linie w latach 1994-97. W programie inauguracyjnego koncertu znalazła się muzyka patrona filharmonii: obszerne fragmenty jego *Halki* i *Straszego dworu*. Soliści: **Halina Fulara-Duda, Iwona Socha, Dariusz Stachura, Marcin Bronikowski, Piotr Nowacki** oraz orkiestra pod świetnie czującą operę ręką Rubena Silvy pięknie ewokowali nasze narodowe dzieła. Była to smakowita, swojska uczta z niezawodnym mistrzem ceremonii **Andrzejem Zborowskim**, wyczarowującym swym słowem sytuację i akcję sceniczną obydwu oper.

Festiwal organowy

Cykle koncertów organowych w katedrze koszalińskiej odbywają się w sezonie letnim od roku 1967 (w roku 2006 festiwal obchodzi swe czterdziestelecie). Twórcą ich był **Leon Szostak**, człowiek wielce zasłużony dla koszalińskiej kultury, wieloletni dyrektor administracyjny, a następnie naczelny Filharmonii Koszalińskiej (1972-1978), także prezes Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego, które festiwal organizowało przy współudziale Filharmonii Koszalińskiej.

Artystyczną dominantą tych koncertów jest muzyka organowa wykonywana na wielkich, wysokiej klasy organach katedralnych. Od początku towarzyszy jej muzyka innych gatunków i ten nurt stopniowo był wzbogacany, aż do wykonywania dzieł oratoryjnych, symfonicznych, koncertowych, chóralnych i kameralnych.

Po samolikwidacji Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego organizowanie festiwali przejęła całkowicie Filharmonia Koszalińska i robi to od kilkunastu lat do dziś. Festiwale organowe stały się de facto letnią, wakacyjną kontynuacją - w dość dużym zakresie - jej sezonu koncertowego, tu wzbogacanego o literaturę organową, oratoryjną, chóralną i kameralną, nieobecną w normalnych programach filharmonii. Wydarzeniami tych muzycznie arcybogatyh festiwali, obok kreacji wykonawczych wybitnych organistów, były wykonania wielkich dzieł oratoryjnych. Zabrzmiały tu m.in. *msze* Mozarta, Beethovena, *Requiem* Mozarta, Fauré'go, Verdiego, *Mesjasz* Haendla, *Te Deum* Brucknera, *IX symfonia* Beethovena z chóralnym finałem i wiele

innych dzieł tego rodzaju. To wspaniała tradycja i wielki dorobek festiwalu.

W ostatnich latach odbyły się oratoryjne wykonania również dzieł polskich. W 2001 roku na inauguracyjnym koncercie XXXV Festiwalu (13 VI) zabrzmiała *Missa festiva* koszalińskiego kompozytora **Kazimierza Rozbickiego** (patrz: przedruk recenzji nowojorskiego krytyka **Basi Jakubowskiej** w niniejszym almanachu - dop. red.).

Obok tej kompozycji współczesnej, na festiwalu zabrzmiały także dwa polskie dzieła oratoryjne z przeszłości - z okresu baroku: 16 VII 2004 - *Completorium* Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, oraz 15 VII 2005 - *Requiem* Mateusza Zwierzchowskiego. Oba dzieła wykonywały chóry związane ze Studium Dyrygentów Polonijnych w Koszalinie oraz soliści - wychowankowie Akademii Muzycznej w Poznaniu. *Completorium* prowadził **Jerzy Kosek**, *Requiem* **Przemysław Pałka**. Były to wykonania bardzo dobre, ozdabiające program festiwalu, ale także przypominające, że okres baroku, tak bogaty w muzykę europejskiej, obfitujący w wybitnych kompozytorów, miał także piękny refleks w Polsce w osobach Gorczyckiego i Zwierzchowskiego; refleks to tym bardziej interesujący i nam bliski, że muzyka ich naznaczona była rodzimą nutą, co w uniwersalnym europejskim baroku zdarzało się rzadko i nieśmiało. *Completorium* Gorczyckiego jest znane u nas i cenione, natomiast prawdziwym wydarzeniem i przeżyciem było wystęchanie *Requiem* Zwierzchowskiego - kompozycji rozbudowanej, pełnej inwencji, modlitewnego nastroju, także ładnie napisanych partii chóralnych i orkiestrowych, a nade wszystko uderzającej tonem bardzo swojskim i osobistym.

„Missa Festiva” Kazimierza Rozbickiego, wielkich rozmiarów dzieło na głosy solowe, chór i orkiestrę święciła swe prawykonanie na uroczystym koncercie w kołobrzeszkiej katedrze 20 października 2001 r. w obecności całego polskiego episkopatu i słuchaczy wypełniających świątynię po brzegi. Dzieło wspaniale poprowadził Jerzy Kosek. Utwór został przyjęty niezwykle gorąco, owacje trwały kilkanaście minut. Nie inaczej było podczas wykonania w koszalińskiej katedrze. „Missa Festiva” wkrótce została nagrana na płytę. Oba fakty wpisać trzeba do listy najdonioślejszych muzycznych wydarzeń ostatnich lat, i to w skali więcej, niż tylko lokalna. Zapis fonograficzny sprawia, że poszerzają się ramy czasowe, w jakich dzieło dociera do odbiorców.

Poniżej, z niewielkimi skrótami przedrukowujemy recenzję nowojorskiej recenzentki i publicystki. Całość tekstu znaleźć można na stronie internetowej www.muzyka21.terra.pl

Basia Jakubowska

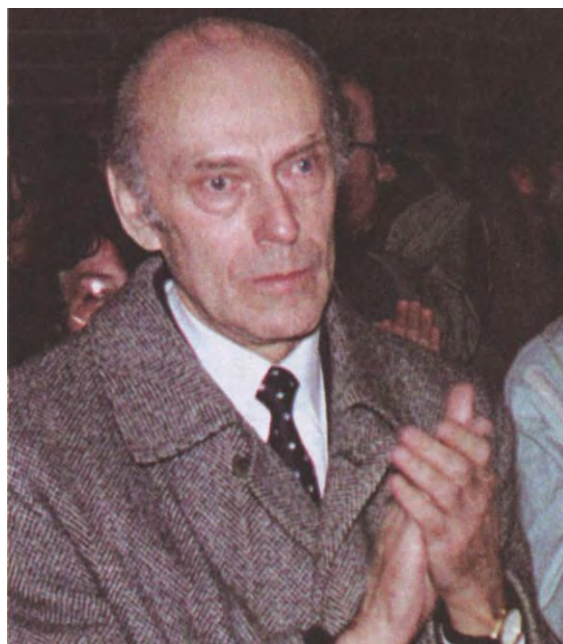
„Missa festiva” – uroczysta i urocza

„Missa festiva” Kazimierza Rozbickiego to niecodzienny utwór, który gorąco polecam wszystkim bez względu na wiek i przekonania religijne. Młodym zwolennikom muzyki New Age, ponieważ dostarczy im głębokich przeżyć przy medytacji; ludziom wiary, bo odnajdą tam swoje najintymniejsze tęsknoty i głębię doznań religijnych. Wszystkim innym - bo to PIĘKNA muzyka. Tak, po prostu jest ona piękna, prawdziwa, pełna uczciwej emocjonalności, po ludzku wzruszająca i dostępna dla każdego. (...)

Magnetyzm „Missy festivy” jest uniwersalny, urzekający pod każdą szerokością geograficzną. (...) To pewien ciąg medytacyjny skomponowany w tradycyjnie, harmonijnie brzmiącej tonalności, który wyraża to, co każdemu z nas jest bliskie. Trzeba głębokiej mądrości życiowej, odwagi i talentu, znajomości duszy ludzkiej i warsztatu kompozytorskiego, by stworzyć taki utwór. Zastanówmy się, choćby po krótko, na czym polega ta „magia”.

„Introitus” brzmi jak pełne tęsknoty i zadumy adagio. Subtelnie i delikatnie wprowadza nas w atmosferę przeżycia, jakim powinna być posługa religijna pełna skupienia, refleksji, mistycznego przeżycia. Przygotowuje nas do udziału w czymś dla każdego najbardziej osobistym ze

wszystkiego na świecie - naszej własnej i jedynej relacji - rozmowie z Najwyższym, kiedy to jesteśmy najbardziej sami i najbardziej sobą. Ta część wycisza nas, pozwala otrząsnąć się z codziennego biegu, w którym zapominamy



Kazimierz Rozbicki po wykonaniu jego dzieła w koszalińskiej katedrze.

Fot. Zdzisław Pacholski

o czymś, co powinno być dla nas najcenniejsze - nasze człowieczeństwo i nasza relacja z Absolutem.

„Kyrie” nie zmienia nastroju, stopniowo zagłębia nas w tajemnicę wiary i naszego w niej udziału. Harmonijne, spokojne brzmienie głosów solowych i chóru zachęca do medytacji. Długie piękne frazy zniewalają, zmuszają do uczestnictwa w muzycznej liturgii. I wtedy wchodzi „Gloria” obwieszczająca swój początek tradycyjnymi pięknie brzmiącymi trąbkami. Jest to część bardziej uroczysta, przywołująca do pamięci muzykę liturgiczną wieków poprzednich, lecz nie powielająca nikogo i niczego konkretnie. To jakby summa tradycji, a zarazem nowe, jakby zasłyszane gdzieś wcześniej, lecz tu wzbogacone nową harmonią.

„Credo” to najważniejsza, a nie tylko najdłuższa część „Missy festiwy”. To punkt kulminacyjny religijnie i muzycznie. Kompozytorowi z fenomenalnym wyczuciem udało się to uchwycić. Każde z kolejnych stwierdzeń zawartych w „Credo” jest najpierw wprowadzone uważnie, przykuwa naszą uwagę do kolejnych słów w nim zawartych. Powtarzane później trzy razy „Credo in unum Deum” w kolejnych częściach

tekstu kieruje naszą uwagę na głębię i bogactwo znaczeń każdego poszczególnego słowa z wyznania wiary. Kompozytor zabarwia frazy i słowa w ich wzajemnej relacji paletą harmonii głosów i instrumentów. Ukazuje w ten sposób ich wielopłaszczyznowość i uchyla, może choć na moment rąbek tajemnicy. Następuje błysk iluminacji zrozumienia, co objawia nam się pięknem radosnej, uroczystej podniosłej dynamicznej frazy „Credo in unum Deum”. Po czym znów kompozytor kieruje naszą uwagę do „Sanctus”, gdzie radość wynika z głębokiego przeżycia i zrozumienia „Credo”.

Wspaniałe trąbki wraz z chórem - uroczysta, spokojna, pełna powagi podniosłość chwili i nastroju są wspaniałe oddane muzycznie w pierwszej części „Sanctus”. Po czym w „Benedictus” osiągamy coś na kształt wewnętrznego spokoju, zyskując inne spojrzenie na otaczający nas świat, jego piękno. Po czym kolejny raz dziękczynne trąbki w „Hosanna” kończą „Sanctus”. Następuje dalej ostatnia już część mszy „Agnus Dei” - początek i koniec wszystkiego. Tutaj ból, tęsknota, żal brzmią bardzo po ludzku. To już końcowa refleksja, uświadomienie sobie naszej kondycji, to przepiętna ludzkim współ-



Fot. Zdzisław Pacholski

To był wielki sukces tak kompozytora, jak i muzyków...

czuciem zaduma nad człowiekiem i jego życiem.

„Introitus” i „Agnus Dei” to współbrzące z sobą adagio, jakby spinające klamrą całość tego przeżycia, jakim jest muzyka „Missy festiwy”. Obolali, okaleczeni, udręczeni, odwołujemy się do czegoś Wyższego, w „Introitus” mamy nadzieję na ukojenie, z ostatnimi dźwiękami „Agnus Dei” bogatsi w przeżycia i próbę zrozumienia tajemnicy obu światów, może nie uleczeni, lecz pełni wiary i nadziei.

„Missa festiva (...) doskonale brzmi w akustyce kościoła, bardzo dobrze wykonana przez muzyków **Filharmonii Koszalińskiej i Chór Iuventus Cantans**. Warto poświęcić może kilka słów solistkom. **Magdalena Witczak** (sopran) miała przed sobą bardzo trudne zadanie, ponieważ tessitura jej partii wokalne umieszczona jest bardzo wysoko w rejestrze sopranu. Bardzo głęboko i przestrzennie zabrzmiał atrakcyjny mezosopran **Katarzyny Suskiej**.

„Missa festiva” jest zjawiskiem niecodziennym w świecie współczesnej muzyki. Bez pompy, egzaltacji, taniego efekciarstwa, silenia się na nowatorstwo brzmienia przemawia piękną harmonią dźwięków wprost do serca każdego wrażliwego człowieka, który kocha muzykę.

Salon Muzyczny Radia Koszalin

Pięć lat temu, kiedy wybudowany został nowy, funkcjonalny budynek Radia Koszalin przy ul. Marszałka J. Piłsudskiego, postanowiłam wykreślić świetne warunki lokalowe nowej Rozgłośni, a także długoletnią współpracę z Filharmonią Koszalińską, aby organizować koncerty z udziałem publiczności.

Pragniemy bowiem nie tylko informować słuchaczy o wszystkich wydarzeniach kulturalnych, społecznych i politycznych, ale także aktywnie kreować tutejsze życie kulturalne.

Pomysł stworzenia Salonu Muzycznego został przyjęty bardzo życzliwie przez Zarząd Radia, Filharmonię Koszalińską, środowisko muzyczne oraz słuchaczy.

Uważam, że jest to wspaniała okazja, aby znakomitych artystów - wirtuozów, którzy przyjeżdżają na koncerty do filharmonii, usłyszeć także w formie kameralnej.

I tak od pięciu lat, zazwyczaj raz w miesiącu, oprócz letniego sezonu urlopowego, wspólnie z redakcyjną koleżanką **Beatą Górecką-Młyń-**



Gospodynie Salonu Muzycznego Radia Koszalin Maria Słowik-Tworke i Beata Górecka - Młyńczak podejmują młodego fletnistę Leszka Długosza.

czak organizujemy i prowadzimy Salony Muzyczne Radia Koszalin.

Wszystkie koncerty wzbogacamy profesjonalnymi komentarzami muzycznymi oraz wywiadami z artystami, które melomani cenią sobie szczególnie, bowiem dzięki takiej formie zmniejsza się dystans między sławnym artystą a słuchaczem. Ponadto jest to okazja, by poznać nie tylko mistrzowskie interpretacje artysty, jego warsztat wykonawczy, ale także poznać go jako człowieka - jego upodobania, zainteresowania, problemy, słabości, poczucie humoru itd., itd.

Wszystkie Salony Muzyczne nagrywane są cyfrowo przez naszych realizatorów: **Marka Szajdera** i **Cezarego Lejtana** i transmitowane w programie Radia Koszalin. Każdy artysta otrzymuje pamiątkową płytę ze swego występu. W roku 2003 z okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia Radia Koszalin, właśnie z tych koncertów został wydany okolicznościowy album CD.

Mówiąc o Salonie Muzycznym z satysfakcją możemy podkreślić, że forma ta cieszy się



Czterej tenorzy w Salonie Muzycznym od lewej: Paweł Skatuba, Dariusz Stachura, Adam Zdunikowski i Tadeusz Szlenkier.

ogromną popularnością wśród słuchaczy i jest miejsc, bowiem ich liczba jest ograniczona (120). Po antenowej informacji o koncercie zaproszenia znikają błyskawicznie. Melomani, którym nie uda się zdobyć zaproszenia - słuchają koncertu przy radioodbiornikach.

Koncerty nasze są też dużym przeżyciem dla wykonawców, bowiem grają oni lub śpiewają i opowiadają o sobie nie tylko przed publicznością, ale przed wielotysięczną grupą radiosłuchaczy.

W ciągu pięciu lat w Radiowym Salonie Muzycznym wystąpiła cała plejada znakomitości. Gościliśmy m.in.: **Grażynę Brodzińską, Gabriellę Silvę, Katarzynę Dudę, Piotra Palecznego, Krzysztofa Jabłońskiego, Karola Radziwonowicza, Krzysztofa Jakowicza, Stanisława Drzewieckiego, Jana Staniendę, Bogusława Morkę, Dariusza Stachurę, Adama Zdunikowskiego, Krzysztofa Pełecha, Waldemara Gromolaka** oraz artystów z Wiednia, z Madrytu itd. itd. Nie sposób tu oczywiście wymienić wszystkich, ale należy dodać, że staramy się także prezentować artystów mających duże osiągnięcia, a działających w naszym regionie, by wymienić **Agatę Szymczewską** czy **Natana Dondalskiego**. Tradycyjnie, występują u nas również laureaci Estrady Młodych Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku - jest to forma nagrody Radia Koszalin.

Przeglądając ubiegłoroczny kalendarz koncertów w Salonie Muzycznym z ogromną satysfakcją wspominamy występ utytułowanego **Piotra Pławnera**, mieszkającego w Szwajcarii, który m.in. przepięknie zagrał miniatury skrzypcowe Henryka Wieniawskiego. Młodziutka **Agnieszka Grzybowska** oczarowała słuchaczy wirtuozowską grą na marimbie, a **Leszek Długosz** szlachetnym dźwiękiem swego złotego fletu. Z pięknym recitałem chopinowskim wystąpił Piotr Szychowski - laureat słupskiej Estrady Młodych.

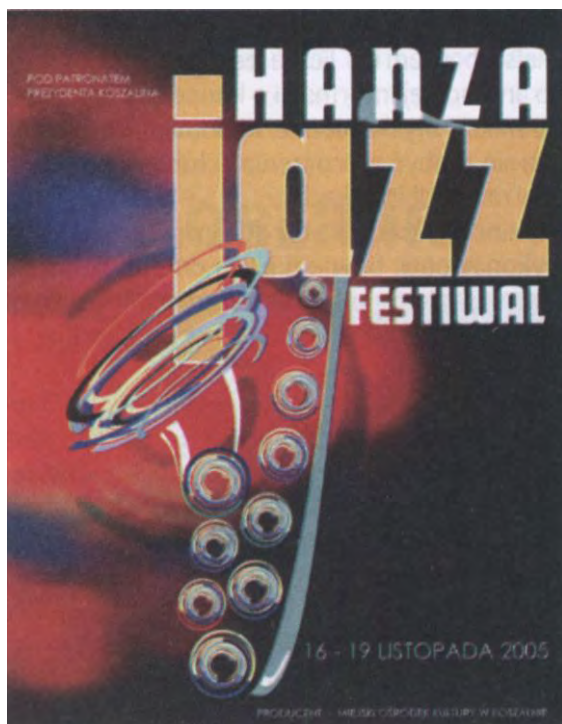
Znakomity pianista **Rafał Łuszczewski** zachwycił melomanów romantycznymi miniaturami fortepianowymi, a **Tadeusz Szlenkier** bravurowo zaśpiewanymi ariami oraz pieśniami, m.in. „Granadą” i „O sole mio”.

Wiele emocji przeżywaliśmy, kiedy w grudniu ubiegłego roku, po raz pierwszy na estradzie radiowego studia stanęły dwa fortepiany: Petrof i Bluthner - oba po gruntownej renowacji. Dzięki temu ubiegłoroczne koncerty zakończył świetny duet fortepianowy z Gdańska: **Bogdan Kułakowski - Kordian Góra**. Artyści zaprezentowali wspaniały wirtuozowski program, podbijając bez reszty serca koszalińskich melomanów.

Jazz nad Dzierżęcinką

Jesienią ubiegłego roku, z inicjatywy Miejskiego Ośrodka Kultury, został zrealizowany polsko-niemiecki projekt „HanzaJazz Festiwal”. Było to pierwsze tego rodzaju wydarzenie w Koszalinie, zorganizowane przez MOK, a współfinansowane przez Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego w ramach programu INTERREG III A obejmującego województwo zachodniopomorskie, Meklemburgię Pomorze Przednie i Brandenburgię.

Nawiązując do średniowiecznego związku hanzeatyckiego Hanza Jazz Festiwal ma jednoczyć i umożliwiać współpracę muzyków z sąsiadujących regionów Polski i Niemiec. Ideę tę urzeczywistniano w Koszalinie w ciągu czterech festiwalowych dni i nocy (od 16 do 19 listopada



2005) bardzo intensywnie, z udziałem 20 jazzmanów z Niemiec i 30 z Polski, głównie z zachodniopomorskiego, choć nie tylko.

W tym czasie odbywały się warsztaty, których uczestnicy mogli wzajemnie poznawać swoje umiejętności, a także wzbogacać je pod okiem profesorów - polskich jazzmanów: pianisty i kompozytora **Leszka Kułakowskiego**, kontrabasisty **Mariusza Bogdanowicza**, perkusisty **Zbigniewa Lewandowskiego** i saksofonisty **Adama Wendta**. Skład „ciała pedagogicznego” ma się co roku zmieniać. Być może pojawią się także zagraniczni wykładowcy.

Gościem specjalnym imprezy był **Mike Russell**, gitarzysta i wokalista z Waszyngtonu, który zaczynał karierę jeszcze w latach 60. w zespołach soulowych i bluesowych; w 70. odnosił sukcesy kompozytorskie, a jego muzyka nagrana przez **Glorie Taylor** otrzymała nominację do Grammy. W 1997 nawiązał współpracę ze **Zbigniewem Lewandowskim**, dołączyli do nich następnie pianista **Piotr Wrombel** i gitarzysta basowy **Tomasz Grabowy**. Ten właśnie zespół zainaugurował I Hanza Jazz Festival. Przed koncertem profesorowie złożyli przysięgę, że będą dzielić się z jazzową młodzieżą całą swą



wiedzą i umiejętnościami - kończąc ją słowami: „...tak mi dopomóż Miles Davis i John Coltrane”. Koncert, którego wysłuchała publiczność szczerze wypełniająca salę MOK-u, przyjęty został entuzjastycznie, od pierwszego wieczoru wyznaczając poziom i atmosferę kolejnych festiwalowych zdarzeń.

Zarówno ten pierwszy dzień jak i kolejne wytrwali jazzfani kontynuowali w pubie „Va Banque”, gdzie odbyły się nocne jam session.

Następnego dnia rozpoczęły się zajęcia prowadzone indywidualnie i w zespołach. Efekty warsztatowej pracy jazzowych formacji publiczność mogła śledzić na bieżąco, podczas koncertów, które odbywały się w różnych koszalińskich pubach. Miłośnicy jazzu mieli nie lada kłopot, które miejsce wybrać. Wszyscy spotykali się dopiero późnym wieczorem na „jamowaniu” w „Va Banque”.

Sama słuchałam w Kreślarni big bandu Leszka Kułakowskiego (założonego w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej), w świetnym repertuarze specjalnie przezeń zaaranżowanym. Zespół ten występował już na wielu festiwalach, także, co oczywiste, na słupskim festiwalu im. Krzysztofa Komedy, organizowanym z inicjatywy Leszka Kułakowskiego.

Po pracowitych i bogatych we wrażenia dniach festiwal zakończył się galowym koncertem wykładowców oraz uczestników. Wspólne występy publiczność przyjęła gorącym aplauzem; mistrzowie i uczniowie zapowiedzieli przyjazd na następną edycję festiwalu. Nadzieję mieć trzeba, że Hanza Jazz Festiwal będzie miał swoją kontynuację. Ogromne brawa należą się organizatorom za ten pierwszy, trzeba trzymać kciuki za następny, który w roku 2006 powinien odbyć się w innym terminie, tzn. pod koniec wakacji letnich. Ubiegłoroczne doświadczenia pozwalają stwierdzić, że była to impreza bardzo udana i bardzo potrzebna, dlatego też należy ją chronić i rozwijać.

Podobnie na kontynuację zasługuje Jazz w Teatrze - cenna inicjatywa dyrektora MOK **Jacika Paprockiego** i dyrektora Bałtyckiego Teatru Dramatycznego **Romana Radziwonowicza**.

Dotychczas w cyklu tym wystąpiły takie zna-

komitości jazzu, jak **Tamasz Stański Quartet**, **Anna Maria Jopek**, **Lora Szafran**, **Leszek Możdżer**, **Simple Acoustic Trio**, **Vincent Her-ring Quartet**, **The Quartet - Tomasza Szukalskiego**. Koncerty te odbywały się zawsze przy pełnej widowni. Do najlepszych zaliczyłabym koncerty Tomasza Stański, Tria Wasilewski - Kurkiewicz - Miśkiewicz, a także niezwykle i czarujący występ Leszka Możdżera. Dodajmy, że właśnie Simple Acoustic Trio uhonorowane zostało Fryderykiem 2005 za najlepszą płytę jazzową minionego roku, Marcin Wasilewski otrzymał statuetkę jako najlepszy muzyk jazzowy.

Jak widać jazz nad Dzierżęcinką ma się dobrze, ma swą liczną publiczność i oddanych mu organizatorów. Stał się ważnym elementem wzbogacającym i poszerzającym obszar życia muzycznego Koszalina.

LITERATURA

Poeta, pisarz i chłopiec z błękitnym piórkiem

(wokół poezji i prozy Andrzeja Turczyńskiego)

1. Samotnik ze Słupska

Andrzej Turczyński, poeta, pisarz, eseista i dramaturg, który debiutował wierszami w roku 1955 na łamach lubelskiej „Kameny”, przez pięćdziesiąt lat swej twórczej aktywności wydał ponad 50 książek, choć pierwszą z nich, debiutancki tom poetycki „Żdźbło morza” opublikował w roku 1971, w 33. roku życia. Jest to dorobek artystyczny zaiste „nadobfity”; wzbudzający podziw, szacunek, a zapewne wielokrotnie - zdumienie, że można być tak płodnym i wytrwale obecnym w literaturze polskiej, a jednocześnie tak późno, jak na miarę talentu, zauważonym i docenionym. Te najważniejsze wyróżnienia pojawiły się bowiem w połowie lat dziewięćdziesiątych; nagroda Fundacji Kultury (1994), nagroda im. księcia Konstantego Ostrońskiego (1997) i nagroda im. św. Brata Alberta za całokształt twórczości (1999). XXI wiek Turczyński rozpoczął nominowaniem jego powieści „Znużenie” do Nagrody Nike 2001.

Słusznie pisze **Józef Krzyżanowski**, autor pogłębionego eseju o twórczości poetyckiej Turczyńskiego, opublikowanego jako posłowie do tegoż „Wierszy wybranych” (1988), że spóźniony debiut późniejszego autora „Chłopca na czerwonym koniu” (1991) ukazał się w wyjątkowo niesprzyjających dla niego okolicznościach społeczno-kulturowo-literackich: ekspansja „pokolenia 68”, nowofalowe upolitycznienie literatury i kultury w walce z komunistyczną ideologią i „nowomowa”, jako formą zakłamania podbitego świata, odwrót młodej literatury od tematów „metafizycznych i estetycznych” ku tematom etycznym oraz „zmasowane” ataki krytyki młodoliterackiej na „pokolenie Orientacji”, z którą, ze względu na rok urodzenia 1938 i zde-

cydowanie „pro-metafizyczne” skłonności, Turczyński był, niejako odruchowo, kojarzony. Jak pisze Krzyżanowski: *Ta świadomość banicji, choć wyciszana przez poetę, spychana na dalszy plan, odzywać się będzie raz po raz w twórczości Turczyńskiego, nasycając ją nutą gorzkości i żalu.*

Nadto pamiętajmy, iż książki w PRL-u wielokrotnie wiele lat „dojrzały” do druku w państwowo-partyjnych wydawnictwach i bardzo często data wydania nie miała wiele wspólnego z datą powstania dzieła. Powodowało to rozmiękanie się książek z temperaturą czasu, w którym powstawały, co oznacza m.in. odwrócenie się krytyki literackiej ku innym trendom i tematom. A i twórca „Łąki kobiet” (1986) wybrał szczególną formę zdystansowanej osobności; miejsce zamieszkania: Słupsk. Poniemieckie pomorskie miasto bez głębszych, w przeciwieństwie do nieodległego Gdańska, polskich tradycji literackich.

2. „Metafizyk prowincjonalny”: spotkanie w poezji

Andrzej Turczyński - z ducha mistyk, ze skłonności umysłu filozof czasu, z pasji erudyty, a z wyboru wartości Europejczyk pamiętający o napiętnowaniu Wschodem - ogłosił się, przewrotnie, „prowincjonalnym metafizykiem”. W tej nieco gorzkiej autoironicznej przenośni ukryty jest szczególnego rodzaju manifest dobrowolnego wygnania; swoistego życia monastycznego i rezygnacji ze „świata” na rzecz „cywilizacji ducha”. Pobliski obiekt kontemplacji: morze/Morze i stopy stawiane na piasku plaży akcentują, w tym kontekście, tradycję i żywoty ojców pustyni, którzy wybierali odosobnienie

w poszukiwaniu Prawdy i Mądrości. I Turczyński, zaczynając od poezji, poprzez prozę i eseje konsekwentnie (nie zważając na mody literackie) w tę właśnie stronę, stronę wyzwającego objawienia/Objawienia, ewoluował. I, sądząc po tekstach, nawet w najgłębszej nocy duchowej oczekiwał go. Ale czyje - po pięćdziesięciu latach czuwania nad kartką papieru; pod nieogarnionym horyzontem nieba i bałtyckich wód - otrzymał? Sądząc po głębi i rozległości jego rozważań pisarskich na pewno stał się mędrce.

*Od zarania przebywam w swojej mitologii
W przestworzach gdzie Aniołowie Ciemności
Wiodą spór o racje z Aniołami Dnia
Rozdzieleni rzeką księżycowej krwi
Jestem w sobie W gotyckiej wieży
Niedostępny dla wszystkiego co zewnętrzne
Dla wszystkiego co dzieje się na Równinie
Z mojej wysokości słysząc świst obracającej się Planety
x x x (z tomu „Martwy buńczuk” 1986)*

Zaprawdę, pośród chaosu przypadków nieprzypadkowe bywają spotkania dusz wcielonych w takie, a nie inne ludzkie losy. Bo oto inny po-

eta, pomimo wszystkich odrębności czasu urodzenia (1955), biografii czy literackiego pokolenia („indywidualiści 1976 – 1989”) „od zarania” swego szczecińskiego debiutu (1973) „przebywa(ł) w [podobnej] mitologii”. A jest nim piszący te słowa **Tadeusz Żukowski**, którego książkowy debiut poetycki z 1981 roku nosił tytuł „Ogród prowincji nieplewiony”, a który - jako kolejny „metafizyk prowincjonalny” (z Trzebiatowa nad Regą) - mógłby za Turczyńskim powtórzyć jego znamienne słowa z cytowanego poniżej tomu:

*W moich ruinach znam każdą ścieżynę
Każdy suchy krzew i każdy skamieniały obłok
Rysuję je wiernie oddając w naturalnych kolorach
Zachowując proporcje jeden do jednego
Gdyż tylko tym sposobem zaświadczyć
Że byłem żywy gdy
Któryś z niewiernych Tomaszów
Zechce dotknąć moich ran krwawiących:
Nie dotykaj powiem: Przejrzyj szkiele
Tam jestem abym był*



I właśnie mnie (jako jednemu „z niewiernych Tomaszów”?) *przejrzanie szkiców* Andrzeja Turczyńskiego zaproponował w Szczecinie, pod koniec lat 80. Józef Krzyżanowski z Wydawnictwa „Glob”, które w tym samym roku 1988 opublikowało moje poezje zatytułowane „Księga listów” i tom prozy Turczyńskiego „Skorpion na nowiu”. W konsekwencji nabyłem w Poznaniu, w księgarni na betonowym osiedlu Manifestu lipcowego, wiersze zgromadzone w „Martwym buńczuku”, dojrzałym i reprezentatywnym tomiku autora późniejszej „Sonaty bezksiężycowej” (1988), by się przekonać, iż jak i on *śniąć jedność z umartwymi i jeszcze nie narodzonymi*, a także by się zdumieć krajobrazami duchowych mroków umierania... *Świat Turczyńskiego jest światem na granicy śmierci* (J. Krzyżanowski).

Tenże Krzyżanowski dodaje, że dla autora „Dominium litery” (1988) *słowo to istnienie, istnienie to słowo*. I choć podzielałam to przekonanie w kontekście biblijnym, to „*śniąć jedność*” z Turczyńskiego tęsknotą do onnipotencji języka poetyckiego (wywiedzionej z barokowego paradoksu i wspólnych antenatów, np. Mikołaj Sęp-Szarzyński) kładę jednak istotny nacisk na obraz i metaforę wyprowadzoną z doświadczenia, z głębokiej prawdy życia. Natomiast u Turczyńskiego wers i wiersz dobitnie wiąże dążąca do doskonałości formalnej frazaretoryczna - unikająca raczej egzystencjalnego konkretna (wielkie uogólnienie; mistyka i filozofia), co skutkuje nadwyżką abstrakcji; np. w poemacie „Sonata księżycowa”. Oddaje ten wysoko uogólniony problem pierwszy z „Trzech wierszy na wejście roku” z tomu „Martwy buńczuk”:

1. *Srebrną kroplą wiszący w kropli wielkich Niebios*

*śniąć że się poza Nie jakoś rozprzestrzenią
że dana im będzie bezgraniczność wszelka
która dziś tylko muzyce dostępna
śniąć bo nie wiedzą że zawiśli w pustce
gdzie nic się nie dzieje dla czasu i miejsca*

Te trzy wyabstrahowane aspekty: (retoryczna) pan-muzyczność, ponadczasowość (miejsca) i kulturowość (symboliki) to podstawowe linie,

na których „zawiesza się” notacja wierszy tego oryginalnego słupskiego poety, którego poezjowanie, jak u Mirona Białoszewskiego, ma tę cechę, że zawiera nadto „imperatyw epicki”, czyli skłonność do przechodzenia w prozę, co poetę przemieniło w dobrego, sprawdzonego, coraz głośniejszego prozaika i rasowego eseistę. W połączeniu ze znawstwem kultury rosyjskiej (i twórczości Jarosława Iwaszkiewicza) - w jednego z najwybitniejszych eseistów w Polsce.

Najnowszym i wysublimowanym przykładem tej ewolucji pisarskiej od liryki do epiki oraz od epiki do eseju są wydane pod koniec roku 2005 w koszalińskim Wydawnictwie MILLENNIUM tomy prozy „Dietdomszczyzna” i „Znaki napowietrzne. Opowiadania z lat 1979 - 2003”, a także dwa tomy, już kanonicznej, eseistycznej monografii twórczości Jarosława Iwaszkiewicza „Ząb mądrości” oraz „Pan Bóg, pisarz i diabeł”. Dodam, że eseje te w latach 1992 - 2001 publikowane były na łamach warszawskiej „Twórczości”.

3. Poezja prozy, proza poezji i piórko duszy

Rozmyślając o tym, co jest paradoksalnym źródłem retorycznej jedności poezji oraz prozy Turczyńskiego ze Słupską, ośmielię się odwołać do jego autorskich enuncjacji i powiedzieć, że jest nim koncepcja czasu Arystotelesa ze Stagiry oraz z nią spójna filozoficzna koncepcja języka. Najkrócej: nie ma przeszłości i przyszłości w świecie stworzonym. Jest - terażniejszość; chwila, która przyszłość, której jeszcze nie ma, przemienia w przeszłość, której - już nie ma. Jest chwila, która „żywi się” pamięcią (przeszłość) i projekcją (przyszłość). Proces ten w przedziwny sposób „odbija się” (odkłada) w języku tworząc - kulturę, która jest namiastką trwania, wieczności. Swoistym wehikułem przywołującym - utrwalającym chwilę (wieczność) jest język dzięki swej funkcji poetyckiej, która jakby zawiesza czas. Stąd poezja/Poezja jest dla Turczyńskiego najwyższą formą twórczości, bowiem przywraca nas (nasze wyższe ja: Umysł) życiodajnemu oddziaływaniu chwili. Wieczności.

Ale i ta forma chwili-wieczności, którą ocala Poezja jest trwało-nietrwałą, gdyż i język pora-

żony czasowością jest - w sobie właściwy sposób - śmiertelny. Ulegając przemianom czasu, i w czasie, „nadkrusza” wiecznotrwałą, chciałoby się rzec, jak owad w bursztynie - poetycką chwilę. Cóż pozostaje zatem, oprócz smutku i melancholii, poecie, a tym bardziej pisarzowi?

Turczyński wybiera szczególną syntezę tych elementów psychiki, umysłu, cywilizacji oraz języka, które najtrwalej odbijają chwilę, dając przeczucie wieczności. A zatem twórczą syntezę pamięci, poezji i kultury. Przykładem bardzo dobrej literackiej roboty, gdzie dominuje, jako tworzywo, pamięć jest swoisty poemat prozą czy też opowieść liryczna: „Dietdomszczyzna”; ułożone w spójną całość opowiadania o podmoskiewskim, tuż powojennym stalinowskim domu dziecka dla ocalałych z „wielkiej wojny ojczyźnianej”.

Znowu, po „Chłopcu na czerwonym koniu” z literackim, artystycznym sukcesem Turczyński sięgnął po motywy z dzieciństwa, ze swej rosyjskiej „chłopięcej epopei” (urodzony w Lublinie lata 1940 - 1945 spędził w Kazachstanie). Otóż rzecz w tym, iż pamięć dziecka jest szczególnie, wręcz sakralna i dzięki intensywności przeżywania oraz zapamiętywania każde dziecko jest poetą. A zatem jest to pamięć nastawiona na moc objawiającej się chwili w jej wiecznym aspekcie. Świat wówczas tak bardzo jest, że prawie nie ma poczucia przemijania, a o przyszłości nie bardzo się w dzieciństwie myśli. W tak ukierunkowanym akcie twórczym chodzi tylko o to, by „odpowiednie dać rzeczy słowo” i w akcie (chwili) pisania wydobyć z pamięci kruszec (moment) doznania. A objawi się ulotne piękno wiecznotrwałej chwili. Jak w kilku zdaniach otwierającego tom opowiadania – rozdziału „Martwa natura z piórkiem”:

Przyleciało z nieba i wpadłszy przez otwarte na całą szerokość drzwi ciepłuszki, osiadło na wytyranym rękawie brunatnego szynela narzuconego no ramiona i podścielonego pod śpiącym na siedząco wprost no podłódze żołnierzem, nieczułym na pogwarki podróżnych, płacz dzieci, tęskne zawrodoenie harmoszek i żałośliwe pobekiwanie chudej, białej w czarne łatki skóry. (...)

Ledwie chłopaczek otworzył z lekka opuchnięte powieki, natychmiast dostrzegł przyczepione do mankietu szynela maleńkie piórko z błękitnym oczkiem. Dostrzegł, i z całą namiętnością dziecięcego serca zapragnął mieć je na własność, mieć jako coś bezwzględnie swojego w odróżnieniu od tych wszystkich wspólnych rzeczy należnych mu z racji biesprizornosti.

Kto tu tak pięknie mówi, że te trzy zdania prozą można rozpisać na wersy i wiersz? Kim jest narrator? Na pewno jest wytrawnym, a nawet wyrafinowanym stylistą, który z odległej od wydarzeń perspektywy czasowej, z wielką świadomością rzeczy (tematu) oraz z „wysokości” kształconego języka wydobywa z dziecięcej pamięci (czyż świadomość człowieka nie narasta, układa się jak słoje drzewa?) wielobarwny kruszec magicznych obrazów wyniesionych z sowieckich doświadczeń lat 1944 - 1945.

Dziecięcy bohater tych na koncepcie narracyjnego poematu osnutych opowiadań (quasi-przypowieści ze stalinowskiego „domu niewoli”) wnosi do nich diamentową wrażliwość czystego serca, które będąc największą wartością tamtego okrutnego świata łagodzi i uczłowiecza jego obyczaje, przez co piękniej grzechy ludzkie i nawet zbrodnie nie wydaje się tak porażające. Jest jakby oczywistą konsekwencją takich, a nie innych praw tego brutalnie zranionego, powojennego świata dzieci. O tym, że jest to świat totalitarnej stalinowskiej represji dowiadujemy się poprzez znaki zapośredniczone, dodane. Z akcentów stawianych przez wszechwiedzącego narratora, który czyste serce bohatera i jego względną naiwność konfrontuje z okrutnymi faktami z życia dorosłych: opiekunów, wychowawców, nadzorców, politruków i enkawudzystów, którzy są emanacją woli dyktatora. Jak choćby w przywołanej „Martwej naturze z piórkiem”, które to opowiadanie kończy się śmiercią podróźniaka z chłopcem sowieckiego żołnierza:

Pociąg stał jeszcze, gdy specgrupa i pojmani zniknęli za zboczem, a że akurat zawiął wiatr, podrywając z wyschłej ziemi tuman płowego

pytu, stało się tak, jakby wszyscy oni rozproszyli się w tym tumanie i rozwiali, ale tok oczywiście nie było, bo kiedy znów zgrzytając pociąg ruszył w dalszą podróż, stłoczeni w drzwiach ludzie usłyszeli w suchym gorącym powietrzu przedwieczoru płasko rozbrzmiewającą salwę, a po chwili pojedynczy bezbrzeżnie samotny wystrzał; co się tyczy zaś chłopca, to w długiej smudze słonecznego, ukośnie padającego światła dostrzegł on wznoszące się ku niebu piórko błyskające doń błękitnym oczkiem.

Piórko z błękitnym oczkiem... Znak obecności transcendentnego Piękną? Ikona poezji jako znak przejawiania się wieczności w chwili nawet tak dramatycznej, a jednocześnie w tamtym świecie oczywistej, banalnej. Fakt wprowadzony do świata przedstawionego przez narratora, czy wzięty z pamięci „pierwowzoru” bohatera, którego doświadczenia chłopięce są fundamentem wrażliwości pisarza-poety?... Ostatecznie trudno takich niuansów dociec, gdyż tak jak autor, nieco postmodernistycznie, otwiera na siebie rodzaje literackie (epikę na lirykę), tak też chłopięcemu bohaterowi udziela mądrości życiowej i sprawności intelektualnej narratora, a narratorowi przydaje wrażliwości lirycznej dziecka. A wszystkim steruje dobrze skonstruowane, z poetyckim pietyzmem ułożone zdanie.

To ono wprowadza do tej prozy szczególny klimat dystansu; rodzaj przesłony, być może będącej emanacją czasu zawartego w kadencji okresu retorycznego, w narracyjnym rytmie tej prozy, ale też będącej filtrem estetyzujących figur; swoistej poetyzacji wnoszonej przez skłonność do stylu wysokiego (łatwiej poddającego się konwencjonalizacji). Ta cecha prozy „Dietomszczyzny”, i nie tylko, czy nie jest skutkiem zafascynowania estetyką Jarosława Iwaszkiewicza? Jednakowoż tę jakby nadwyżkę literackości niwelują na przykład stylizacje na szeroką, rozlewną frazę zdania oddającego klimat „duszy rosyjskiej”; jak na przykład w opowiadaniu „Martwa natura z czerwoną gwiazdą”.

Ostatecznie gra pomiędzy żywą pamięcią i stylizowaną narracją daje w rezultacie bardzo dobrze napisaną (skonstruowaną) książkę o „uką-

szeniu stalinowskim” duszy dziecięcej; duszy człowieczej. I wychodzi ona ze świata zgrozy wojennej, ideologicznej, totalitarnej - obronną ręką. Dlaczego? Ano z powodu niemożności wyrugowania ze świata choćby okrucich piękna, a z serca człowieczego - miłości. Bowiem piękno i miłość są różnymi aspektami tej Prawdy, która wyzwala. Często przez wielki ból, ale tak się zdiera skórę fałszywej świadomości i zdobywa niezgłębione doświadczenie. Szczególnie w dzieciństwie. A potem w sztuce, która znowu ma dar przywracania świata utraconego i wkomponowywania go w mozaikę teraźniejszości. Przez tak „zrekonstruowane” doświadczenie prześwieca blask wieczności. Nawet przez dziecięce doświadczenie stalinizmu.

Poezja kapłańska ma w Polsce (i w Europie) tradycję sięgającą Średniowiecza, ba, cała nasza kultura piśmiennicza ma swój początek w benedyktyńskim trudzie braci zakonnych, którzy w żmudnych rękopisach, a potem inkunabułach głosili imię Boże. Był moment, kiedy poeci, będący zarazem dostojnikami Kościoła, stawali nawet w awangardzie odnowy i wielorakich przemian - myślę, oczywiście, o dobie Oświecenia. I przez kolejne epoki nieśli swój wkład w literaturę narodową.

Leszek Żuliński

Patriota Ziemi, patriota Niebios

Co ciekawe, to właśnie w czasach PRL poezja księży przeżyła swój kolejny renesans, jakby i na okopach literatury odkrywając potrzebne - sobie i ludziom - miejsce. Lista wybitnych księży piszących wiersze jest znana: **Wacław Bury-**

ła, Janusz Ihnatowicz, Wacław Oszajca, Janusz Pasierb, Jan Sochoń, Jan Twardowski... Jan Paweł II, którego „Tryptyk rzymski” pobił rekordy popularności!

Oczywistą cechą tego nurtu (nurtu poezji religijnej) jest - rzecz jasna - „rozmowa z Bogiem”, nieustanna eksploracja tajemnic wiary i wyrażanie w języku poetyckim wielkiej aksjologii chrześcijaństwa. Ale, moim zdaniem, wyraźnie zarysowują się dwie szkoły - rytualna i kolokwialna. Ta pierwsza respektuje tradycyjny kanon mówienia o Bogu; ta druga - stara się mówić językiem zbliżonym do systemu pojęć świeckich (ten właśnie styl do mistrzostwa doprowadził ks. Twardowski).

Gdzie, na tak określonym tle, sytuuje się twórczość ks. Henryka Romanika?

Najpierw jednak odnotujmy, że ks. Romanik (ur. 1959) debiutował w 1996 roku w albumie malarskim **Marii Monikowskiej-Tabisz** pt. „Apokalipsa Koszalińska”, opatrzonym jego wstępem, komentarzami do obrazów i medytacjami poetyckimi. Potem jego wiersze pojawiały się w konkursowych antologiach oraz w lokalnej prasie. Do dnia dzisiejszego wydał cztery książki: „Do Domu Pana. Katedra kołobrzaska” (2000), „Wpłyn na głębię. Apokryf kołobrzski” (2000), „Słucham” (2002) i „Koniec świata w Iwiciu” (2003).

Ta pierwsza książka to przepiękny (wydany przez Pomorską Oficynę Wydawniczo-Reklamową) album ze zdjęciami **Karola Skiby i Woj-**



Fot. Zdzisław Pacholski

ciecha Zdunka poświęcony dziejom kołobrzezkiej katedry w jubileusz millennium założenia biskupstwa w Kołobrzegu, które to dzieje opisał nasz autor. W przedśłowiu do tej książki ks. **Marian Gołębiowski**, ówczesny biskup diecezji koszalińsko-kołobrzezkiej, pisał: *Album, który oddajemy w ręce życzliwych Odbiorców, jest wielobarwną „pieśnią” o tej wspaniałej świątyni. Jej historia wypowiedziana jest słowem Biblii i poezji. Niech ta „pieśń” wraz z „wiatrem od morza” głęboko zapadnie w serca jubileuszowych pielgrzymów do progów czcigodnej bazyliki kołobrzezkiej i niech je uwrażliwi na bliskość Boga, który zechciał zamieszkać w ziemskiej świątyni.*

Ks. Romanik opisał najważniejsze fakty związane z katedrą, ale zastrzegł się, że praca naukowa na ten temat powinna dopiero powstać (po przeprowadzeniu dokładnych badań, np. archeologicznych). W swoim tekście skupił się raczej na sakralnym oddziaływaniu tej świątyni, jej miejscu i roli w diecezji, poza tym zwrócił uwagę pielgrzymów na najistotniejsze szczegóły budowy, które emanują wyjątkową ekspresją wiary i doskonałości artystycznej.

Pasja historyka zwrócona ku obiektom kultu religijnego to najpewniej jedno z głównych zainteresowań księdza, ponieważ te „tropy” powracają w jego pozostałych książkach.

Przykładem tego jest drugi album, jaki powstał przy współudziale ks. Romanika. To „Korniec świata w Iwęcinie” - album poetycko-fotograficzny, wydany w najwyższym standardzie edytorskim przez **Agencję Photo Design Zdzisław Pacholski**. Za tym nazwiskiem kryje się znany, wspaniały fotografik, do którego zdjęć ks. Romanik napisał cykl wierszy „rymujących się” z zawartością książki (już drugi raz, świadomie, używam słowa „księga” - bowiem „książka” nie oddawałaby prawdy o powyższych wydawnictwach). Dodajmy, że teksty z tego albumu zostały w 2003 roku zaadaptowane przez Radio Koszalin na słuchowisko poetyckie.

Iwęcino - wyjaśnijmy - to wioska w dekanacie Darłowo, gdzie znajduje się drewniany, pokryty gontem XIV-wieczny kościółek. On także przechodził rozmaite dzieje, ale zawsze emano-

wała z niego kwintesencja szlachetnego, sakralnego piękna. Ot, zabytkowa perełka architektury kościelnej, którą Pan Bóg ukrył gdzieś za siedmioma falami, za siedmioma wydhami.

Wiersze księdza wykraczają jednak tematyką poza iwieciński obiekt. Są one inspirowane nie tylko detalem artystycznym i zapładniającym milczeniem kościelnych ścian i wnętrza, ale także przede wszystkim pejzażem i przeżyciem metafizycznym. W tym wymiarze są to teksty wielkiej urody i głębi, skupione na utrwalaniu przeżyć ulotnych acz zapadających w głąb duszy. Innymi słowy mówiąc, ksiądz nie przemawia językiem nachalnych przekonań, lecz językiem impresji, które zawsze mają tajemniczą moc. Cechą tych wierszy jest bardzo ciekawa homogenizacja dwóch światów: „sakralnego” i „potocznego”; świętość miesza się ze zwyczajnością, patos z prostotą, ton modlitewny z realistyczną konstatacją... Ale wydaje mi się, że przede wszystkim są one „dowartościowane” artystycznym stylem i smakiem autora, który zawsze przesądza poziom tekstu.

Zdarza się, że ksiądz sięga do kart tragicznej historii, że pochyla się nad otchłanią lub mówi o eschatologii:

*Wierzę w rzeczy ostateczne
Jak deszcz i kiełkowanie
Po zasiewie hojnym
Wierzę w ziarna szczodrość
I w plon wielokrotny
I chleb dobry
Wierzę w życie wieczne*

lecz proszę zwrócić uwagę, jak bardzo ta eschatologia odwrócona jest w stronę światła, a nie mroku.

Kolejny tytuł - „Wyptłyn na głębię. Apokryf kołobrzezski” - to także album, tym razem wyłącznie poetycki, w każdym razie nie tomik wierszy, a właśnie „album” (wydawca: Kołobrzezkie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne). Rzecz absolutnie nietypowa, zaskakująca swym pomysłem. Apokryf. (Także prezentowany jako słuchowisko w Radio Koszalin).

Apokryf to oczywiście zjawisko znane od da-

wien dawna, zarówno w literaturze religijnej, jak i świeckiej. Henryk Romanik wpadł jednak na pomysł apokryfu Ewangelii według Świętego Piotra (według karty znalezionej w Kijowie wśród rękopisów Ławry Peczerskiej), która zaczyna się dialogiem „Jezusa z apostołem przy cudownym łowieniu na Jeziorze Galilejskim”. Jest to obszernie dzieło prozatorsko - poetyckie. Rzecz nietypowa, oryginalna, napisana językiem gorącej wiary i głębokiego skupienia. Utwór o charakterze przesłania.

Prolog składa się z trzech wierszy. „Brzegów”, w których Chrystus namawia Piotra, by wypłynął na głębię; „Połowu”, podczas którego spełnia się obietnica i otwierają się głębie; „Głębin” - „będziecie rybakami na prawdziwych Głębiach zapewnia Jezus i prowadzi rybaków w Dom Ojca...

Romanik stworzył swój własny „styl biblijny” - język niemal całkowicie współczesny, lecz znakomicie wcielający się w sakralny patos przesłań. W dalszym toku dzieła czytamy o kolejnych misjach rybaków, dziejach bardzo udatnie wpisanych w koloryt i obyczaj antycznych epok, pełen wiarygodnych detali, a przede wszystkim mających ogromną moc symboliczną. Te apokryfy to parable i egzegezy scen z Pisma Świętego, które - zgodnie z tytułem - snują opowieść o drodze człowieka z brzegów do głębin, zaś cała ta metafora to nic innego jak traktat o Bogu, o ludzkim losie, o miłości i etycznych wyborach, które przenoszą człowieka ze świata animalnego w świat boski.

Tekst zamykający to dzieło to medytacja nawiązująca do modlitwy Jana Pawła II w koszalińskim sanktuarium Matki Trzykroć Przedziwnej i Królowej Przymierza, kończąca się słowami:

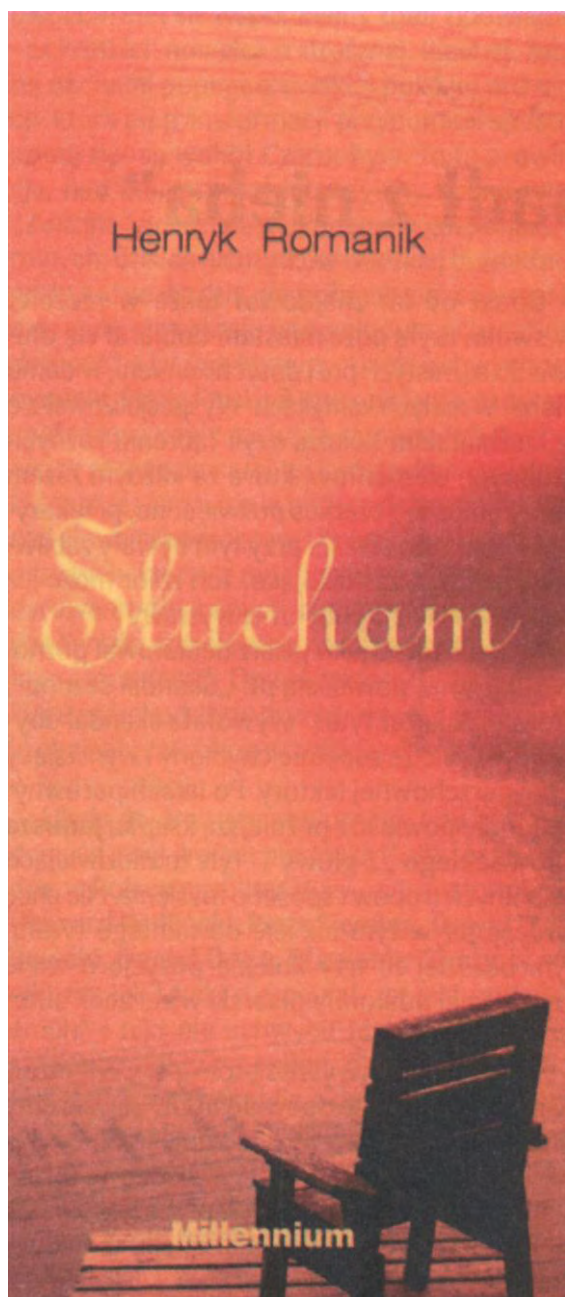
*Boże trzykroć przedziwny
Boże jedyny i dobry
Dziś wszyscy czytamy ten psalm
Tyle razy powraca on w brewiarzu
Ale dziś wstąpiłem na górę
I wypływam na głębinę
Idę chodzić po falach
A otchłań taka mroczna
Czy tylko Piotrowi dana jest ta moc*

*Czy inni rybacy udźwigną tę sieć
Idę pasterzować na głębinę
A Tobie zostawiam żniwo*

Tak, to już poezja utrzymana w typowo psalmicznym tonie, to modlitewna litania, apostrofa do Boga, nawiązująca do klasycznej poezji religijnej. Tego modelu ksiądz Henryk nie porzuca w „imię współczesności”. Myślę, że w dużej mierze w ogóle traktuje lirykę jako pochodną „księgi Bożej” lub „narzędzie” kapłańskich „opowieści liturgicznych”. Np. w dwumiesięczniku „Topos” (nr 1-2 z 2005 roku) znajdziemy poemat Romanika pt. „Triduum sacrum albo wiosenna pełnia”, który stanowi poetycką wykładnię Wielkiej Nocy i jej eucharystycznej tajemnicy.

Jednak poezja księdza Romanika, gdyby chciał ją uplasować w jednej z wyżej wspomnianych szkół - rytualnej czy kolokwialnej - plasuje się gdzieś pośrodku, a ściślej mówiąc korzysta z obu tych możliwości w zależności od charakteru dzieła. W przypadku apokryfu dominacja „mowy wysokiej”, stylizowanej i symbolicznej jest czymś naturalnym, ale w tomiku pt. „Słucham” (Wydawnictwo Millenium) drapowanie słów uduchowionych odbywa się w kanonie „języka świeckiego”. Ten tomik także posiada swoją osobliwość: powstał z zafascynowania muzyką i właśnie muzyka jest jego leit-motivem. Mazurki, polonezy, nokturny, walce, scherza, requia... to „bohaterowie” tych wierszy. Sztuka synestezji? Tak, w dużej mierze tak - to próba ekwiwalentyzacji muzyki i liryki, próba przecież bardzo uprawniona i sensowna. Te teksty świadczą przede wszystkim o oryginalnej wrażliwości i wyobraźni autora, o jego otwartości na ekspresję sztuki, o jego podatności na przekaz języka nie realistycznego. Czasami są to zwykłe, acz wysmakowane impresje, jak np. w wierszu „Fortepian”:

*Wniebowzięty sarkofag
Harfa czarnoskrzydła
Mozaika światłocieni
I deszcz i wiatr i taniec i śpiew*



terackiej. Twórczość stała się bez wątpienia częścią jego kapłańskiego powołania, ale to poczucie misji nie uzyskałoby aż tak cennego spełnienia, gdyby nie artystyczna wrażliwość na język sztuki i światopoglądowa otwartość na wszystkie niemal treści, jakie niesie życie.

I koniecznie muszę podkreślić, że to, co ksiądz napisał, jest w ogromnej swej części związane z ziemią koszalińską. Patriota lokalny? Ależ tak! Ksiądz, który czuje się związany ze swoją ziemią i kocha jej skarby. Tego typu tożsamość zawsze jest niezbędna, jeśli chcemy zagłębić się w głąb własnej historii i w szlaki własnej przyszłości.

Czekamy na dalsze dokonania literackie księdza Henryka.

a czasami, jak w wierszu tytułowym tomu, są to refleksje nad metafizycznym wręcz oddziaływaniem muzyki, która potrafi uzdrawiać ciało i duszę. Ten tom to jednak przede wszystkim ciekawa konstatacja nad fenomenem estetyki, która potrafi być materialny „poszerzać” o jego nadzwyczajną przestrzeń duchową. Ks. Henryk Romanik do tej pory nie napisał wiele, ale to, co napisał nosi znaki dużego talentu i solidności li-

Ryszard Ulicki

- talent, który „spadł z nieba”

Z nieba spada każdy talent. Jest „nagrodą od Boga”, w każdym razie czymś, co w życiu człowieka może okazać się diamentem. Trzeba go tylko oszlifować, aby się nie zmarnował.

Ryszard Ulicki (ur. 1943) ma kilka talentów. Zanim objawiły się te dwa najważniejsze - prozatorski i poetycki - pisał z pasją teksty do piosenek i w tej branży (bo jest to i sztuka, i branża) osiągnął spore sukcesy; chyba aż kilkaset jego tekstów doczekało się oprawy muzycznej, a uwieńczeniem tego dzieła były „Kolorowe jarmarki”, wykonywane najpierw przez **Janusza Laskowskiego**, a potem przez **Marylę Rodowicz** - jeden z największych przebojów ostatnich dekad. Ulicki napisał też sporo tekstów dla romskiego zespołu „Terne Roma”, bardzo zresztą pięknych, „zadumanych”, wnoszących nową jakość w tę konwencję muzyczną. Sprawami Romów zajmował się zresztą jako działacz społeczny z takim zaangażowaniem, że został utytułowany honorem cygańskiego wójta i stał się autentycznym rzecznikiem tej społeczności.

Przez wiele lat był znany w Koszalinie jako dziennikarz i szef miejscowej rozgłośni Radia Polskiego. Korzenie miał (i ma) lewicowe, toteż w okresie ostrych przemian politycznych opinie na jego temat były podzielone. Nie jest celem tego tekstu rekonstrukcja tych właśnie wątków; wiem tylko, że Ulicki jest wierny swoim poglądom z siłą Herbertowskiego wyzwania (tak! tak!) i kiedy oddawał się polityce jako poseł, był akceptowany także przez bardzo wielu przedstawicieli opozycji. Jego otwartość, humor, jowialność, prostolinijność otwierała mu wiele drzwi. Jedną z orbit, po jakich krąży, to sztuka i pasja artystyczna i zapewne to one powodowały, że wizerunek Ulickiego był od lat tak bardzo nie-szablonowy i wymykający się trywialnym klasyfikacjom.

Upust od lat znajdował także w rzeźbie. W swoim azylu poza miastem dobierał się dłużej do sążnistych pni i dużych kamieni; w domu dłubał w małych kamykach. Wyszczepił się w rzeźbiarskim kolażu, czyli łączeniu różnych drobnych elementów, które za każdym razem były komuś lub czemuś poświęcone, przekazywały konkretną treść, przy tym bywały zabawne, ironiczne, zaskakujące. Ten zbiór może już dojrzeć do jakiejś publicznej wystawy?

Ryszard Ulicki jako pisarz debiutował późno. W roku 1994 powieścią pt. „Skandal sezonu”, która - jak kazał tytuł - wywołała skandal obyczajowy, tyle że zupełnie chybiony i wynikający z powierzchownej lektury. Po latach porównywałem tę powieść z późniejszą książką **Janusza Głowackiego** „Z głowy” - tyle tu zadziwiająco wspólnych tropów i sposobu myślenia. Nie chcę wracać już w tym tekście do tamtego tytułu, tym bardziej że trzy kolejne pozycje o wiele wyraziściej odstąpiły pisarski wizerunek autora.

W roku 2002 wyszedł tom pt. „Wiersze”, w roku 2005 zbiór opowiadań pt. „Dyskretny urok kapitalizmu”, a w roku 2006 kolejne liryki pt. „I ciągle jeszcze idę”. Wszystkie w toruńskim Wydawnictwie **Adam Marszałek**.

Zacznę od tej drugiej książki, aby tomiki zestawić we wspólnej ocenie.

Otóż Ryszard Ulicki przez lata przyglądał się tej egzotycznej i zapewne odmiennej rzeczywistości polskiej, jaka rozciągała się w granicach Państwowych Gospodarstw Rolnych. Pomorze Zachodnie było zresztą pegeerowskim zagłębiem i gdy u początku tzw. transformacji ustrojowej gospodarstwa te zostały rozwiązane, a ich społeczność pozostawiona samej sobie - Ulicki z rosnącym przerażeniem śledził dramat społeczny wywołany tą sytuacją. Tego właśnie

owocem stał się wspomniany zbiór opowiadań - 21 krótkich nowelek o strasznej, biednej, zabitej dechami popegeerowskiej polskiej prowincji, która po transformacji przypomina spustoszoną ziemię wokół Czarnobyla. To ta prowincja, nad którą zawisł intensywny bukiet wina „Arizona”, to ziemia porzuconych gospodarstw rolnych, dzikich nieużytków i ludzkiej beznadziei, gdzie ludzie do dziś nie połapali się, co w zasadzie stało się w kraju wyzwolonym przez „Solidarność” z jarzma komuny. Ulicki uchwycił ten moment, kiedy Polska B szykowałą się na awans społeczny i nagle zastygła w magmie bezrobocia, w rozpadzie całej tej konstrukcji socjalnej, która przez lata wisała niczym dobry baldachim nad głowami pospółstwa. Ulicki pokazał zdziwione oczy tych, którzy z zapałem planowali zagospodarowanie obiecanych im przez Wałęsę stu milionów i do dziś nie zrozumieli, na czym polegała ta „metafora”. Opisał zakłady (i zakładziki), które przechodziły w prywatne ręce i już za chwilę obcinały zarobki oraz świadczenia aż zabrakło w nich... pracy.

Ulicki do dramatu antycznego i dworskiego dorzucił swój dramat plebejski. Rodzi się wprawdzie w Polsce nurt literatury „o transformacji” (Edward Redliński, Piotr Siemion, Dawid Bieńkowski, Daniel Odija, Sławomir Shuty...), ale nikt tak jak Ulicki nie opisał „pustki po pegeerach” i nikt nie uchwycił tego najwcześniejszego momentu przemian, o czym wspominałem. Miałem też osobliwe déjà vu: jakbym czytał Tadeusza Siejaka. To dlatego, że Ulicki sięgnął do bebeczów języka kolokwialnego, gwarowego, lumpowego; zastosował z odkrywczym talentem zapis fonetyczny i właśnie w tym, co podpatrzył i w tym, co podsłuchał wyszedł z niego rasowy dziennikarz (także radiowiec). Ta proza aż kipi swoim weryzmem - w warstwie tematycznej i językowej. Dawniej mówiło się „mały realizm” - ale dziś urasta on do wspaniałej kreacji, objawia swoją siłę poznawczą. Bo w „małym realizmie” o sukcesie decyduje autentyzm i uczciwość. A te nowelki są pod tymi właśnie dwoma względami po prostu - arcydziełkami! Proza świetna i wstrząsająca - poprzez śmiech, poprzez łzy.

„Wiersze” były jeszcze większym zaskoczeniem, bowiem Ulicki jako społecznik mieścił się w swojej etykietce, jako liryk - odsłaniał twarz nieznaną.

Ten tomik ma dwie części - „wiersze” („Moje miasto”) i „listy” („Listy do żywych i umarłych”). Wiersze to podróż w powidoki dzieciństwa, co w przypadku Ulickiego oznacza czas wojny i powojennych przemieszczeń. Oraz pejzaże miast, do których przyjeżdżał, z których wyjeżdżał i które zapamiętał w ich nieustannie zmieniającym się zarysie. Tak, miasta Ulickiego to ważna część jego biografii i wspomnień. Łódź, Chełmża, Warszawa, Koszalin... Najpierw więc pojawiają się wspomnienia najgorsze: ruiny, mury poobijane kulami, puste koszary, zapomniane zamtuzy, domy, które nie pamiętają swoich dawnych dziejów i lokatorów, wyludnione ulice, cokoły pomników po dawnych bohaterach, cudze cmentarze, a potem, z biegiem czasu, zmieniające się szyldy ulic, pojawiające się nowe domy, wieżowce, pomniki z nowymi bohaterami, nowe biurowce, emerycy jak zawsze wiążący koniec z końcem... Miasta Ulickiego to ekran, na którym przesuwają się historie. Raz dumna, raz bolesna. Na ogół zawsze wywołująca sarkazm, bo kiedy zaczyna się nowe, to zaraz minie - jak zwykle. *W moim mieście nie ma czasu / przeszłego i przyszłego. / Jest tylko czas dobry i zły. / I wszystko trwa krótko...*

Krzysztof Teodor Toeplitz, autor wstępu do tych wierszy, celnie puentuje: *„Dramatyzm historii, egzystencjalna tragedia ludzkiego życia przekłada się w wierszach Ulickiego na apokaliptykę dla każdego przejawu człowieczeństwa...”* Tak, ta tonacja wierszy jest bardzo wyraźnie czytelną.

Druga część książki, owe „listy”, każdemu wytrawnemu czytelnikowi skojarzy się natychmiast z wielkim dziełem **Edgara Lee Mastersa** „Umarli ze Spoon River”. To jest liryczna i żałobna przechadzka po cmentarnych alejkach, jakie w pamięci wytyczają nam nasi bliscy umarli. Ulicki z imienia i nazwiska wymienia przyjaciół, którym poświęcone są kolejne wiersze-epitafia. Tak naprawdę każdy wiersz to próba „portretu trumennego”; może także forma ostatniej rozmowy

wy z duchami, może chęć utrwalenia ich wizerunku, powiedzenia jakiejś istotnej prawdy o tym, kim i jacy byli. Tak np. odbieram teksty poświęcone dwóm wielkim przyjaciółom Ulickiego: **Władysławowi Hasiorowi** i **Andrzejowi Urbańczykowi**.

Lektura tego tomiku lepiej pozwala zrozumieć i wczuć się w tomik następny, wydany w lutym 2006 roku. Tym razem mnie przyszło pisać wstęp do tej książki, z którego przytoczę fragment: *„Poeta w tym tomiku dokonuje spojrzenia wstecz. Ale ta perspektywa zawsze jest trudna. Sen - jawa; jawa - sen? Osobliwy realizm magiczny i to „à la polonoise”, bo ileż tu tropów polskiej historii i polskiej współczesności, ileż śladów zdradzających naszą szczególną geopsychologię. Najpierw ciężkie senne powroty do lat młodości, która - choć piękna - zawsze pozostawia w nas traumę jakichś upadków, zakazów, ograniczeń. Jakiś „koszmar unieważniania matury” i inne lęki, które nad ranem wracają w obłoku spoconej poduszki i z których wiecznie spowiadamy się surowemu ojcu. Potem półsen półrealnych zdarzeń, nad którymi mieliśmy już władzę, lecz które po latach zdają się niedorzeczne. Następnie miasto albo miasta, miasta Ulickiego, miasta moje, miasta Twoje, miasta polskie, na murach których historia wypisana jest literami tłoczonymi przez kule, a bruk uliczny do dziś kryje echa wojskowych przemarszy. I pytanie, które przychodzi po latach: gdzie wyrastała nasza tożsamość? Cień jakiej historii kładł się na naszym własnym cieniu? Szedł za nami, mniej lub bardziej widoczny, ale zawsze obecny. Aż dochodzimy do starości - stare kocury rewolucji śpiący na swoich osiągnięciach... Kolumbowie dowiadujący się, że odkryli zupełnie inny ląd niż ten, do jakiego płynęli...”*.

To w gruncie rzeczy kontynuacja pierwszego tomu, tyle że pisana bardziej w języku „doznań egzystencjalnych” niż historycznych. To poezja wieku męskiego - wieku klęski. Spojrzenie za siebie, kiedy z przodu mający meta i autopodsumowanie przebytej drogi. W takiej refleksji zawsze spotykają się dwie postacie: chłopiec, którego nosimy w sobie przez całe życie i który

najlepiej pamięta uniesienia młodości, ideały, wzruszenia, całą tę „świeżość o poranku” - i starzec, którego odkrywamy w sobie po latach i który wie, że losu odwrócić nie tylko nie można, ale i nie sposób sobie wmówić, iż wszystko się udało.

Te wiersze są rozmową ze zwierciadłem zachodzącym mgłą. Rozmową Fausta.

Zdumiewa prostota ich języka i ta „naturalna lekkość bytu”, który tak naprawdę waży więcej niż jesteśmy w stanie udźwignąć. Ulicki osiągnął też w kilku co najmniej tekstach siłę poetyckiego przesłania, a więc wiersza wytyczającego kanon aksjologiczny. Oto fragment utworu „Zawsze idź prostą drogą. List do wnuczki”:

*Nie trać wiary, że dojdiesz do celu -
Uparci napisali historię.
Bądź sprawiedliwa i wierna sobie.
Być może życie kilka razy mile cię zaskoczy.
Gdy biją Żydów - bądź Żydówką!
Gdy Cyganów - Cyganką!
Bądź drzewem, gdy łamią drzewa.
Bądź śpiewem, gdy zakazują wolnym śpiewać.
Naucz się wielu rzeczy, o jednej najlepiej.
Miej azyl w samej sobie i nigdy nikogo tam
nie wpuść.*

Pozostawiam ten tekst bez pointy. Nią niechaj będzie refleksja, że w ostatnim pięcioleciu spadł nam z nieba nowy poeta i prozaik, którego w pejzażu literatury naszych dni nie można przeoczyć.

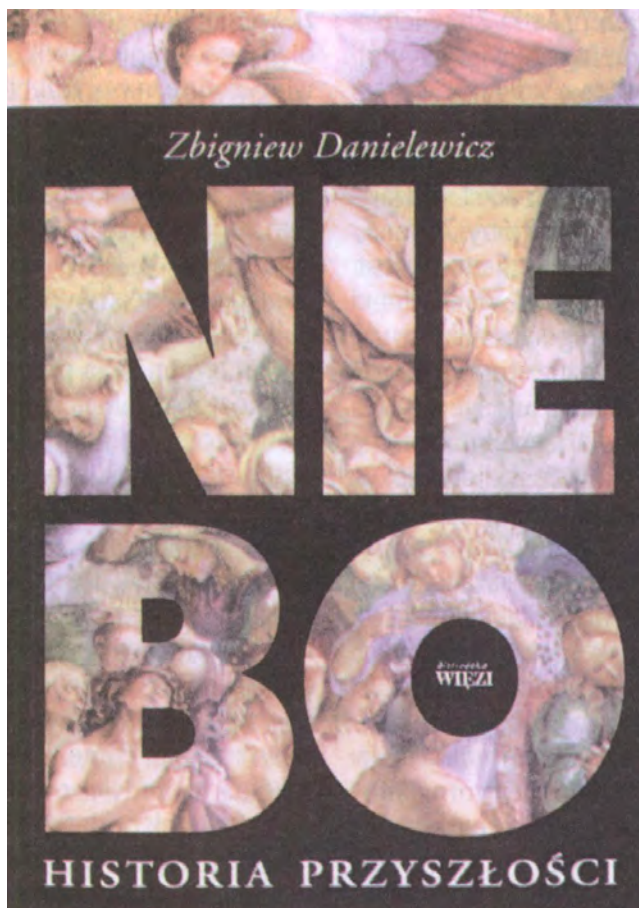
Zgadywanka z wieczności

Jak wyobrażamy sobie Niebo - to pisane przez duże N, miejsce (a może stan) wiecznej szczęśliwości? Zdaje się, że często hołubimy obraz przedstawiony nam w dzieciństwie: Niebo jako zielona (lub, przeciwnie, białobłękitna, położona ponad chmurami) kraina, po której spacerować będziemy, ubrani w białe szaty, być może trzepocząc skrzydłami, po wiek wieków. Wyobrażenie to wykorzystywane dziś bywa w reklamach. Niebo jawi się w nich jako miejsce, w którym jada się najpyszniejszy serek, pranie - w najlepszym proszku! - robi osobiście Pan Bóg, anioły prasują, a anielice (wreszcie!) nie robią nic. Cóż, anioły są modne, pełno ich teraz wszędzie, uskrzydłonych i w ogóle - bardzo ucielesnionych, więc interesujące musi stać się także miejsce ich bytowania. Tyle tylko, że tak naprawdę nie wiemy o tym miejscu nic. Nauka wątpi, teologia się zastanawia, człowiek - po prostu wierzy. Albo przynajmniej ma nadzieję.

Zbigniew Danielewicz, doktor teologii, kościelnianin, absolwent KUL-u, wydał w minionym roku książkę właśnie o tym, o czym nie wiemy

nic na pewno. Świadczy o tym już tytuł „Niebo. Historia przyszłości”. Nie jest to wykład o tym, co było, ale jak na przestrzeni dziejów wyobrażano sobie to, co nastąpi u ich kresu.

Autorze swobodą oprowadza nas po różnych Niebach (pisząc je przez małe „n” - ja używać jednak będę dużej litery, dla odróżnienia tej sfery wiecznej szczęśliwości od meteorologicznej przestrzeni nad naszymi głowami). Najpierw przedstawia różne koncepcje na temat ich „położenia geograficznego”, „rozplanowania przestrzennego”, „materii”. Potem zaprasza nas w podróż po Niebie prahisterycznym, egipskim, starotestamentalnym, sumeryjskim, babilońskim, asyryjskim, perskim, greckim. Są to często nie tyle Nieba w naszym dzisiejszym rozumieniu, co po prostu miejsca/stany smutnego bytowania dusz zmarłych ludzi. Tylko bohaterowie trafiają na Pola Elizejskie, reszta snuje się po Hadesie. Także w Starym Testamencie najpierw jest tylko Szeol, w którym duchy nie żyją, a jedynie trwają. Z czasem jednak pojawiają się pierwsze zwiastuny wiary w zmartwychwstanie ciał i życie w stanie wiecznej szczęśliwości, która rozwinie się w pełni



wraz z przyjściem Jezusa Chrystusa.

Tyle tylko, że Chrystus, wskazując Królestwo Niebieskie jako cel ludzkich dążeń, wcale nie daje jego opisu, który satysfakcjonowałby nas, nauczonych patrzeć wyłącznie oczami, a nie sercem. Stąd - mnogość wyobrażeń na temat Nieba, jakie stworzyli chrześcijańscy myśliciele, literaci i artyści. Danielewicz przedstawia różne ich typy: ogród, miasto, świątynia. Ogród - bo to powrót do utraconego przez pierwszych rodziców Edenu, a poza tym nawiązanie do symboliki Maryi jako dziewiczej Matki Zbawiciela (namiastką takiego Raju, pełnego kwiatów i ziół leczniczych, były klasztorne wirydarze). Miasto - bo Niebieskie Jeruzalem z Apokalipsy św. Jana i zarazem wspomnienie utraconego świętego miasta. I tak dalej, i tak dalej. Każdy „rodzaj” Nieba opisany został rozlicznymi przykładami, umocniony wielorakimi odniesieniami. A jest jeszcze Niebo - „wieczne światło, oświetlone światłością Boga” (św. Grzegorz z Nazjanzu). Albo Niebo podzielone na różne stopnie (w zależności od doczesnych zasług dusza jest bliżej lub dalej od Boga). Pojawia się też problem, gdzie taki lub inny Raj miałby się znajdować (w średniowieczu lokalizowano go zwykle gdzieś na wschodzie...).

Sprawą przez teologów nierozwiązaną pozostaje też, określimy ją - formą, w jakiej mielibyśmy bytować w Niebie. Jak miałoby wyglądać owo „ciało uwielbione”? Będziemy, jak Jezus Zmartwychwstały, „wchodzić mimo drzwi zamkniętych”? Ubrani czy nie (niektórym ta druga możliwość, choć nawiązując do pierwotnej niewinności Adama i Ewy, wydawała się nazbyt nieprzystojna)? No i - najważniejsze może pytanie: co mielibyśmy w tym Niebie robić? Istotą zbawienia jest życie blisko Boga, z Bogiem, w Bogu; różnie jednak ów kontakt sobie wyobrażano. W każdym razie - wizja spędzenia wieczności na nieustannym wysławianiu hymnów na cześć Boga wielu wydawała się dość nieznośna. Życzyli sobie wieczności raczej na wzór życia doczesnego, tyle tylko, że bez ziemskich trosk, chorób, no i oczywiście - bez śmierci.

Danielewicz przedstawia też różne poglądy na temat losu duszy po śmierci człowieka, a przed

końcem świata i otwarciem się bram Królestwa Niebieskiego. Sięga przy tym nie tylko do Ojców Kościoła i późniejszych myślicieli chrześcijańskich, ale także do świadectw różnych „podróżników w zaświaty”, w tym do relacji zawartych w słynnej książce Raymonda Moody’ego „Życie po życiu”. Pojawia się tu problem: jak traktować takie opowieści? Czy stawiać je na równi z relacjami mistyków, uznanymi przez Kościół? Odrzucać - skoro dla wielu naukowców są li tylko wynikiem zmian zachodzących w mózgu umierającego człowieka? Z drugiej strony - dlaczego dla niekatolików miałyby być mniej wiarygodne, niż przeżycia mistyków dla katolików?

Tutaj dotykamy kwestii sposobu, w jaki Danielewicz opowiada nam o Niebie. Jest to wszak temat, przy którym trudno uniknąć subiektywizmu; nawet jeżeli tylko relacjonujemy cudze poglądy, niektóre wydadzą nam się bliższe, inne dalsze naszym własnym. Poza tym wyobrażenia na temat życia po śmierci wiążą się ściśle z wyznawaną religią, a więc z czymś najbardziej wewnętrznym, intymnym. Podobna mi się, jak autor radzi sobie z tym problemem. Podczas lektury bez trudu odgadujemy, że jest chrześcijaninem (nie tylko dlatego, że skończył KUL i nie tylko dlatego, że najwięcej miejsca poświęca chrześcijańskim wizjom Nieba). Ów chrześcijanin sprawiedliwie przyznaje jednak, że wyobrażenia Niebios w różnych wierzeniach i kulturach bywają podobne, że czerpią jedno od drugich, powtarzają te same motywy. Może być to dowód na to, że Niebo - skoro tak powszechnie i niekiedy tak podobnie je sobie wyobrażano - istnieje. Na pewno zaś wypływa stąd nauka, że w gruncie rzeczy możemy o nim mówić tylko w taki sposób, w jaki św. Jan czynił to w swej Apokalipsie - z użyciem słówka *jakby*.

Książkę Zbigniewa Danielewicza, jak to się mówi - dobrze się czyta. Oczywiście, wymaga intelektualnego zaangażowania i pewnej wiedzy wstępnej, ale dla osób cokolwiek do lektury przygotowanych (a przy tym obdarzonych wyobraźnią) może stać się miłą lekturą nawet do poduszki. Jest to też świetna ściągą dla kaznodziejów, nauczycieli (nie tylko katechetów) oraz nie-

oceniona pomoc dla wszystkich, którzy chcieliby usystematyzować lub zweryfikować swą dotychczasową wiedzę na temat „historii Nieba”. Właśnie tutaj jednak przyda się wiedza z innych źródeł, bo w potoczystym wywodzie znalazły się nieścisłości, jak choćby powtarzana od pokoleń informacja o jerozolimskiej bramie zwanej „uchem igielnym”. Poza tym szkoda, że przy niektórych nazwiskach, niekoniecznie powszechnie znanych, widnieją tylko inicjały imion - zwłaszcza, że nieraz w sąsiednim zdaniu inna osoba zostaje przedstawiona już z imienia i nazwiska. Przydałaby się tu konsekwencja - a przede wszystkim dokładniejsza informacja.

To wszystko jednak drobiazgi. Prawdziwą wadą książki, przez którą traci nie tylko jej zewnętrzna uroda, ale i treść, są - ilustracje. Przedstawiają one raje, sfery niebieskie, aniołów, pierwszych ludzi, świętych - wyobrażonych przez najznamienitszych artystów, od starożytności po współczesność. Są zatem nie tyle dopełnieniem, co integralnym elementem niebiańskiej historii. Tymczasem strona ilustracyjna książki potraktowana została po macoszemu. Reprodukcyjne są czarno - białe i takiej jakości, jakiej powstydzilyby się nawet podręczniki do historii sztuki wydawane w czasach najgłębszego PRL-u. Niewiele na nich widać, a to, co widać, daje marne wyobrażenie o oryginale. Co więcej, kiepska z nich ilustracja, trudno bowiem na ich podstawie stworzyć sobie wizję na przykład rajskiego ogrodu albo Niebieskiego Jeruzalem, o jakich opowiada autor. Gdzież te soczyste barwy? Gdzie złoto i klejnoty? Raj jawi się tutaj, mówiąc szczerze, dość ponuro. Oczywiście, można by powiedzieć, że są to najczęściej reprodukcje dzieł słynnych, które czytelnik zna albo powinien znać - ale czyż jest to usprawiedliwienie dla autora lub redaktora książki? Zresztą, gdyby kto chciał „namierzyć” prezentowane dzieła, także może mieć problemy, ilustracje zostały bowiem opisane dość niechlujnie: czasami podany jest tylko tytuł i nazwisko autora, czasami do tego data powstania, gdzie indziej nie ma daty, ale za to jest miejsce, w którym dane dzieło można obejrzeć. Słowem: takie dane, na jakie autor (czy może redaktor) akurat trafił. Nie ma spisu ilustracji; przy-

dałoby się też, aby w tekście znalazły się odnośniki do konkretnych reprodukcji. Szkoda, że strona graficzna została tak zaniedbana - dobre ilustracje są dziś standardem, a ta książka szczególnie na nie zasługuje. Może warto byłoby pomyśleć o wydaniu drugim, ale już naprawdę „z obrazkami”...?

Jednakowoż - i wydanie pierwsze przeczytać warto, żeby zdumieć się i zadumać nad wielością wyobrażeń na temat życia wiecznego i pośmiertnej nagrody, jakie stworzyła sobie ludzkość. Oczywiście, nie znajdziemy tu odpowiedzi na pytanie, jakie Niebo naprawdę jest. W końcu, jak zaznaczył autor w tytule swej książki, jest to historia tego, co dopiero nastąpi, co poznamy w przyszłości.

Ja, ilekroć nad tą przyszłością się zastanawiam, przypominam sobie (proszę wybaczyć mi ten osobisty wątek) rodzinną legendę. Moja babcia umówiła się otóż ze swoim ojcem (a moim pradziadkiem), że które pierwsze z nich umrze, odwiedzi tę drugą osobę we śnie i opowie, jak jest po drugiej stronie. Pradziadek, zgodnie z prawidłami natury, odszedł pierwszy i rzeczywiście - odwiedził swoją córkę we śnie. „Powiedz, tato, jest Ci tam dobrze?” - zapytała babcia we śnie. „Bardzo dobrze” - odpowiedział pradziadek. „Ale powiedz, jak TAM właściwie jest?” - dociekała dalej babcia. „Mogę Ci powiedzieć tylko jedno” - odparł pradziadek. - „Na jaki kto sen zasłużył, taki ma”.

Niech to zdanie zastąpi podsumowanie opowieści o tym, o czym na razie nie wiemy nic.

*Zbigniew Danielewicz,
Niebo. Historia przyszłości,
Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2005*

Świadectwo pięknych spotkań

Na książkę „Nadzwyczajnie zwyczajny” składają się wspomnienia ze spotkań księdza biskupa Ignacego Jeża ze zmarłym już papieżem **Janem Pawłem II**. Tekst skomponowany jest w czterech odsłonach z prologiem i epilogiem.

Najpierw przedstawiono „osoby dramatu”, czyli biografię księdza biskupa Ignacego Jeża. Dalsza część książki układa się w ciąg spotkań księdza biskupa z Ojcem Świętym. Począwszy od pierwszego zetknięcia w 1955 roku aż do pogrzebu Jana Pawła II.

Każdy następny rozdział - odsłona jest zapisem kolejnych wydarzeń z życia biskupa Ignacego i równoległe księdza profesora Karola Wojtyły, później biskupa, kardynała, wreszcie papieża Jana Pawła II. Książka jest świadectwem wielu pięknych spotkań. Czasem zabawnych, czasem wzruszających.

Szczególne spotkanie odbyło się w 1978 roku, tuż po wyborze kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. W czasie obradującego konklawe książd biskup Ignacy Jeż był w Rzymie na wakacjach. W tłumie na Placu Świętego Piotra oczekiwał na pojawienie się białego dymu, co było znakiem dokonanego wyboru. Mówi o wielkich emocjach, gdy w oknie pojawił się nowy papież. Przypomina również reakcje rzymian na widok Ojca Świętego. Niespodziewanie dla biskupa Ignacego dwa dni po wyborze, papież zaprosił go na obiad w prywatnych apartamentach. Po tych wydarzeniach „wiadomo było, że to będzie wyjątkowy pontyfikat”.

Aby zaostrzyć apetyt na lekturę, wspomnę o jeszcze jednej, bardzo ważnej dla koszalinian wizycie. W czasie pobytu w naszym mieście w 1991 roku, po odmówieniu różańca w kosza-

lińskiej katedrze, Ojciec Święty dopytywał się o dwie postaci umieszczone na witrażach w prezbiterium. Okazało się, że są dwaj główni przedstawiciele protestantyzmu Marcin Luter i Jan Melancton. Na pytania ludzi, jacy święci widnieją na witrażach, biskup Ignacy Jeż odpowiada, że „jeszcze nie święci, ale skoro od 80 lat uczestniczą w katolickich mszach, to kto wie.”

Wiele razy Ojciec Święty zapraszał biskupa Ignacego, aby wysłuchać wieści z Pomorza, nowych anegdot i żartów. Właśnie pogoda ducha i optymizm są dominującymi cechami wszystkich opowieści. Te właściwości autora sprawiają, że najtrudniejsze wydarzenia opowiedziane są spokojnie, z ufnością. Inne - zabawnie, z poczuciem humoru i dystansem do świata. Nie bez przyczyny papież Jan Paweł II nazwał biskupa Ignacego Jeża „biskupem uśmiechu”.

Spod lekkiej narracji wyłania się inny obraz pasterzy Kościoła. Hierarchowie w opowiadanych historiach czasem mają małe słabości (np. przywiązanie do „artystycznego nieładu” w kancelarii), ale wydają nam się przez to bardziej ludzcy, bliżsi.

We wspomnieniach biskupa Ignacego papież Jan Paweł II wydaje się bardziej „zwyczajny”. Po lekturze tej książki można zazdrościć księdzu biskupowi, że miał szczęście znać bliżej zmarłego już Ojca Świętego. To jego papież nazywa swoim przyjacielem.

Gorąco polecam lekturę książki biskupa Ignacego Jeża „Nadzwyczajnie zwyczajny”.

*Nadzwyczajnie zwyczajny,
biskup uśmiechu o Janie Pawle II.
Katowice, Księgarnia św. Jacka 2005*



Harmonia słowa i obrazu

Fotografia często jest przywoływana jako świadek wielu wydarzeń i zjawisk naszej ludzkiej obecności. Wiele dziedzin sztuki i kultury bez fotografii staje się niepełnymi, tracąc emocjonalną wiarygodność. Wiele pomijanych i ułamkowych zjawisk naszej rzeczywistości dzięki fotografii nabiera znaczenia i staje się źródłem zasilającym wiedzę o ludziach i czasie. Piękne dzieło albumowe „Koniec świata w Iwęcinnie” mieści w sobie ogrom wzniosłych prawd o Bogu, ziemi i czymś, co można nazwać „wizualną prawdą obrazu”! Każde słowo i obraz to akt strze-

listy, akt wiary w potrzebę piękna i godności naszej ziemskiej doli. (...)

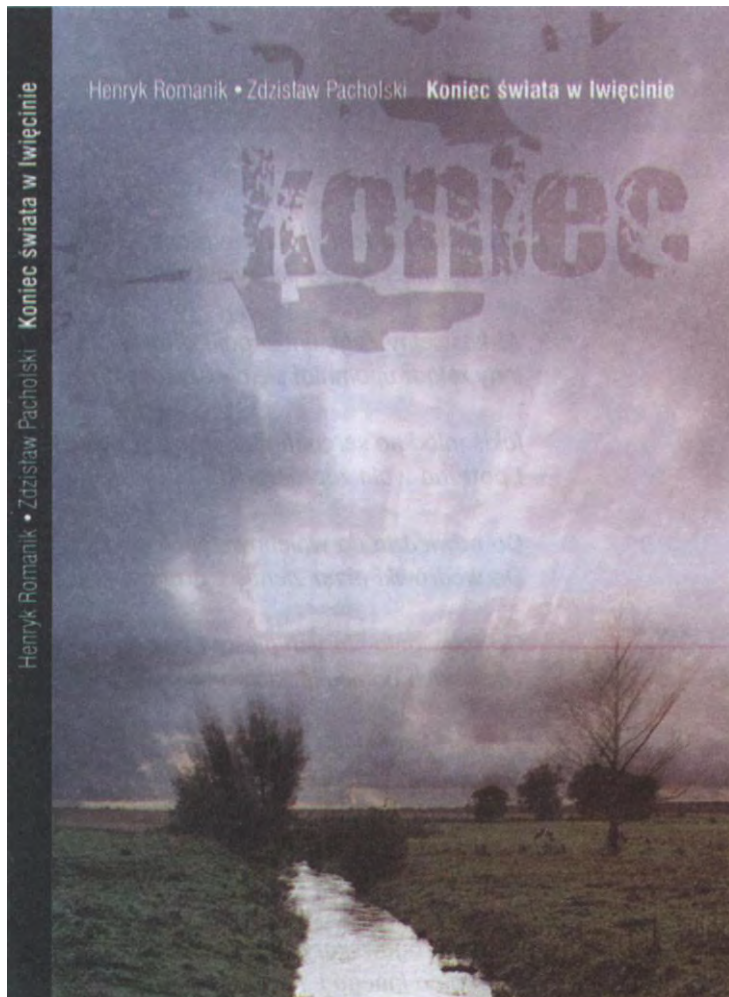
„Koniec świata w Iwęcinnie” wybiega daleko naprzód w swoich wartościach poznawczych i duchowych. Jest rodzajem uniesienia ducha człowieczego w codziennym trudzie i walce żywiołów dobra ze złem. Przypomina losy ludzi krzywdzonych wojną i biedą.

Daleko na nadmorskiej ziemi stoi kościół z XIV wieku, który dzięki wspólnemu dziełu słowa i fotografii stał się symbolem potrzeby poznania nieznanego. Na kartach albumu widzę pra-

gnienie przypomnienia przeszłości odartej z kłamstw i pozorów. (...) Ten kościół to także wiara, że nie cały świat został zmieniony w plastikowe cudęńka, że trzeba umieć szukać, patrzeć i znaleźć znak nadziei i miłości do świata, w którym danym nam jest żyć. Słowo, obraz i fotografia to drogi prowadzące wielu z nas do świata nadziei i wiary w nadrzędność ducha nad materią.

Strony albumu emanują harmonią obrazu i słowa, a świadomość losów pokoleń modlących się w Iwęcinnie napawa otuchą, że i nasze życie może kiedyś będzie zamienione w literę i obraz. Wieczność nie ma wymiaru, a dzięki fotografii zatrzymane obrazy są jak drogowskazy przypomnienia, że nie jesteśmy pierwsi ani też ostatni. (...)

*Henryk Romonik,
Zdzisław Pacholski,
Koniec świata w Iwęcinnie,
Agencja PhotoDesign
Zdzisław Pacholski. Koszalin 2003*



Na początku było... Iwięcino

Obraz i słowo, albo słowo i obraz.

Ksiądz **Henryk Romanik**, biblista, poeta, wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego i Wyższego Instytutu Wiedzy Religijnej w Koszalinie, napisał wiersze. Znany fotografik Zdzisław Pacholski zrobił zdjęcia. Jeden inspirował drugiego. Oba zainspirowało magiczne miejsce - mały, wiejski kościółek w Iwięcinie.

Na jego suficie znajduje się XVIII-wieczna polichromia przedstawiająca Sąd Ostateczny, czyli koniec świata. Kto wybierze się w to osobliwe miejsce przenosi się w przestrzeń metaforyczną. Znajduje własny „koniec świata

ta w Iwięcinie”. Poznali go niemieccy protestanci, którzy przychodzili do tego kościoła, znajdują polscy katolicy, którzy modlą się w nim teraz.

Przeglądam album pełen zdjęć szlachetnej urody tego miejsca, czytam wiersze „o życiu, śmierci, wygnaniu i powrocie” i nabieram wiary w nasz „koniec świata w Iwięcinie”. Nie jesteśmy pierwsi, nie jesteśmy ostatni. Wszystkich nas łączy co najmniej jedna prawda - po prostu przemijamy. Można jej szukać na własną rękę, a można za księdzem Henrykiem Romanikiem i Zdzisławem Pacholskim znaleźć ją pomiędzy Trzebiatowem a Darłowem.

*Tekst opublikowany w „Gazecie Wyborczej”
5 grudnia 2003 r. Przedruk za zgodą autorki.*

Niebo w Iwięcinie

*Kiedy staniesz po stronie ołtarza
Świat zobaczysz jeszcze inaczej*

*Najpierw widzisz mur i bramy
Jak w niebiańskim Jeruzalem*

*Wchodząc w półmrok wnętrza
Dotknąłeś ogni strachu i nadziei*

*Światła nieba paschalnego
I piekielnej ziemi*

*I poczułeś ciężar dźwigania wiedzy
Bo wiesz odtąd więcej niż na drodze*

*„Koniec świata” powiedziałaś
Jakby ktoś dał ci prawo do wyrokowania*

*Koniec przecież finał objawienie
Znasz to z Biblii i z cmentarzy świata*

*Koniec chciałeś opowiadać i pouczać,
Obcych a swoich uciszać*

*Wszystko już zostało powiedziane
W Iwięcinie i sąsiednich wioskach*

*Aż kościelny Zygmunt zapalił ołtarze
Inny ksiądz upomniał się o wszystkie dusze*

*Jakiś miód na sercu mądra słowa w gębie
I potężna wola zapraszania*

*Do odwiedzin do wniebowstępowania
Do wędrówki przez ziemię z grobami*

*Do śpiewania starych pieśni z nowa
Łacińskich poniemieckich tutejszych*

*I otwarto się niebo nad deskami
Malowane i przewiewne duchem*

*W okamgnieniu w jednej kresce pisma
Zobaczone opisane przeżute*

*Odtąd drogowskazy iwięcińskie
Mówią co innego i „nie ma powrotu”*

TEATR

Artur Daniel Liskowacki

Pasek, czyli Polacy



„Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska. Scena zbiorowa.

Po burzliwym roku 2004 - który wraz z jubileuszem 50-lecia koszalińskiej sceny przyniósł przykre i żenujące przepychanki w dyrektorskich gabinetach, a z nimi praktyczny demontaż zespołu, o którym już w Polsce teatralnej zaczynało być głośno - rok 2005 miał być w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym rokiem spokojnej, ale i twórczej kontynuacji niemal w biegu dokonanych zmian.

Wymuszone, nagłe odejście dyrekcji Zbigniewa Kułagowskiego i Bogusława Semotiuka - przypomnijmy: awantura zaczęła się już w dniu uroczystej premiery wystawionego jubileuszowo „Wesela” (kwiecień 2004) - a potem, prawie równie nagle zastępstwo pary dyrektorskiej Roman Radziwonowicz - Edward Żentara, nie dawały wprowadzić wielkich nadziei na prędkie powrót do normalności, ale przyszłość wydawała

się w miarę uporządkowana.

Rokowania były więc umiarkowanie optymistyczne, choć dość rychło stało się widoczne, że nowy duet nie zawsze ciągnie w tę samą stronę. Współpraca między dyrektorami zaczęła się niby dobrze, ale już wiosną 2005 r. chodziło głównie o to, kto z tej pary wygra i będzie mógł kontynuować swój pomysł na teatr, niż o to żeby sezon 2004/2005 stanowił spójną programowo, oryginalną propozycję artystyczną.

Mimo to dla postronnych obserwatorów rozpad tego tandemu już po pierwszym sezonie był zaskoczeniem. I niewesołe ciągi dalsze zapowiadał, zwłaszcza że i tym razem zmiany dokonano w okolicznościach dość gwałtownych. Kolejna para - tym razem partnerem Radziwonowicza został reżyser **Zbigniew Najmoła** - nie miała na przygotowanie planowego repertuaru

wiele czasu, bo weszła w nowy sezon nie tyle, jak się to mówi, z marszu, co z galopu.

Udało się jednak zacząć ów sezon bez opóźnień i kilkoma od razu przedstawieniami, a też i jesienna premiera małej sceny - „Miejsce miłosierdzia” w reż. Najmoły - pokazała, że BTD nie rezygnuje z ambicji, będzie się też starała łączyć atrakcyjność oferty z samodzielnością programową. Można wprawdzie odnieść wrażenie, iż Radziwonowicz z Najmołą szukają trochę po omacku - i chcą zadowolić zbyt wielu - od dramatu kameralnego sięgając np. po wielkie widowiska (plany inscenizacji „Krzyżaków”) - lecz czy jest to zły, czy dobry pomysł pokaże czas.

Rok 2005 pokazał natomiast, że nagle, choć zarazem... ciągnące się miesiącami rozstania zespołu z kierownictwem artystycznym, połączone z konfliktami i niepokojami w samym zespole, to nie jest dobra recepta na teatr. Nic dziwnego, że dla BTD był to rok bez wielkich sukcesów, a i bez jasnej przyszłości. Premier było

nawet sporo, ale pojawiały się od przypadku do przypadku, będąc raczej przykładem eklektyzmu i braku perspektywy artystycznej niż wyrazem przemyślanej, twórczej strategii.

Zważywszy jednak na to, co powyżej, rzecz można, iż udało się przecież BTD nie mało. Nie tylko w sensie organizacyjnym, jako instytucji (tu przede wszystkim: nie utonąć), ale i artystycznym. Oprócz wyżej wspomnianego „Miejsca miłosierdzia”, łączącego aktualność z uniwersalnością wymowy i solidnością teatralnej roboty (psychologiczny, ostry dramat wpisany w tło fabularne wydarzeń z 11 września w Nowym Jorku), na uwagę zasługiwały też premie-ry z pierwszej połowy 2005 roku.

Ładny - dosłownie, bo kolorowy, słodki jak cukierek, chociaż utrzymany w tonie lekkiego pastiszu - „Sługa dwóch panów” w reż. **Waldemara Matuszewskiego** był realizacją nieco wtórną. Za to „Pamiętniki” według Jana Chryzostoma Paska - premiera w lutym 2005 - autorskie przedstawienie **Krzysztofa Galosa**



Fot. Tomasz Żurek

Wojciech Rogowski (na pierwszym planie) w „Pamiętnikach” Jana Chryzostoma Paska.

(bo w jego adaptacji i reżyserii) - stanowiły już w pełni oryginalną i wartą uwagi inscenizację.

Galos pokazał „Pamiętniki” jako wielobarwny, migotliwy fresk historyczny, a zarazem publicystyczne widowisko współczesne, w którym panorama XVII-wiecznych dziejów Polski jest jedynie pretekstem do opowieści o naszych narodowych wadach, błędach i szaleństwach. Pasek - uczestnik i świadek tego stulecia, pełnego chwały, lecz i zapowiadającego upadek dawnej Rzeczypospolitej - staje się w spektaklu Galosa jednym z nas, Polakiem, uwikłanym w historię, doświadczający jej klęsk, ale też kochający jej krwawy, mroczny blask, gubiący w zaściankowości i pysze to, co piękne w polskiej miłości Ojczyzny: skłonność do poświęceń, odwagę, szarżę bez oglądania się na straty.

Warcholstwo, pieniactwo, nietolerancja, brak zrozumienia dla spraw państwa, anarchia i prywatna, polityczna, ale i powszednia pazerność to żywioł dawnej, lecz i dzisiejszej Polski, mówi swą inscenizacją Galos. I właśnie te jej elementy - dynamiczne, pełne zgiełku, bitew i codziennej gwałtowności, sceny zbiorowe, mocne, wyraziste karykatury braci szlachty, dworaków, wodzów, posłów - wypadły najlepiej. Groźnie i z rozmachem, okrutnie i szyderczo ukazuje Galos potworności wojny i głupi pokój - jego zakulisowe intrygi, pustkę, brak refleksji nad jutrem.

Przewodnikiem po tym świecie jest, oczywiście, sam Pasek (dobra rola **Wojciecha Rogowski**ego - trochę brata-łaty, rodaka-swojaka, trochę obywatela z przeblaskami świadomości, ale też awanturnika i pieniacza), co wynika z formy pamiętnika-gawędy, który stanowił podstawę scenariusza, ale i z formuły spektaklu. To Pasek jest tu bowiem w centrum wydarzeń, wokół niego ogniskuje się cała akcja, on jest głównym i jedynym bohaterem tej opowieści, a bywa, że mimowolnym jej komentatorem.

W fakcie, że czterdzieści pozostałych ról zagrało dziewięciu - zaledwie! - aktorów widzieć można wprawdzie pozaartystyczną konieczność (możliwości skromnego zespołu i... kasy), ale także pomysł podkreślający charakter narracji, w której bardziej liczy się tłum, społeczność, portret zbiorowy, aniżeli malowniczość poszcze-

gólnych typów i postaci.

Tyle że perspektywa monodramu - niewygrana tutaj zresztą do końca - kłóci się z rozległością scenerii. Brak też spektaklowi, w którym dużo efektownych rozwiązań podkreślających wymowę całości (np. w wojnie domowej z rokoszanami, ukazanej jako szachy - brutalne i śmieszne zarazem) emocji, która wzbudzić mogłaby większe zbliżenie postaci Paska do widza, obdarzenie go mocniejszym rysem indywidualnym. Ten spektakl o przeszłości i teraźniejszości za mało boli, bo zbyt mało nas jednak dotyka. Krzywe zwierciadło, w którym powinniśmy się ujrzeć, rozpada się na wiele ostrych, ale drobnych odłamków, a im bliżej finału, tym dalej nam do pana Paska, który niknie gdzieś w tle, a przez to i do nas samych. Złowieszczą pointa, w której koronacja króla Michała Korybuta zmienia się w ponurą groteskę, symbolizująca komiczność i tragiczność wyborów, które polski los kształtują, wybrzmiewa przez to troszkę jakby w pustce. Zbyt daleko od nas.

To wszystko nie zmienia faktu, że „Pamiętniki”, spektakl żywy i aktualny, a przy tym zrealizowany sprawnie, ze smakiem (udało się połączenie umownej, przestrzennej scenografii z barwnością i urodą kostiumów z epoki) to dokonanie warte uwagi i refleksji.

Jest przy tym coś znamiennego w fakcie, że właśnie ten obraz naszych odwiecznych polskich przywar, stał się zrzędzeniem losu (więc znów ten polski los? Widać nie ma w nim przypadku) swego rodzaju postscriptum, ilustracją „na żywo” - do sporów, wojen i burd, bigosowania, walenia płazem, dobrych chęci i złych ambicji - które zdominowały ostatnio życie koszalińskiej sceny. Wypada mieć nadzieję, że Bałtycki Teatr Dramatyczny nie da się utopić w tym bajorze, bo ma w pomorskiej kulturze ważne miejsce i rolę, którą zagrać warto.

Staropolszczyzna w teatrze wyobraźni

Literaturę staropolską dla polskiej sceny teatralnej odkrył **Kazimierz Dejmek**, wystawiając w Teatrze Nowym w Łodzi „Żywot Józefa” Mikołaja Reja (1958), „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka (1961) i „Dialogus de passione” (1975 i 1977). Jak wiadomo były to wielkie wydarzenia teatralne, których sukcesu nie powtórzyły późniejsze - sporadyczne zresztą - próby sięgania po literaturę starszą aniżeli z epoki Oświecenia. Dopiero w 1993 r. w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu (a potem Dramatycznym w Warszawie) **Piotr Cieplak** wystawił „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”. Przedstawienie stało się głośne, reżyserowi udało się zderzyć staropolski tekst ze współczesnymi środkami wyrazu, m.in. ilustrację muzyczną na żywo wykonywał rockowy zespół „Kormorany”.

Teatry rzadko sięgają po staropolszczyznę, może więc warto wspomnieć o prywatnej Scenie El-Jot z Krakowa, prowadzonej przez **Jadwigę Leśniak-Jankowską**. Od 1991 r. do dziś wystawia się tam widowiska muzyczne (m.in. „Pastorele staropolskie”, „Vividarium pasyjne”, „Lirnik polski”), oparte na zapomnianych staropolskich kolędach, pieśniach renesansowych, pieśniach dziadów odpustowych, wagantów, rybałtów, lirników. Ostatnie lata przyniosły nawet prapremierę teatralną „Szachów” Jana Kochanowskiego w wykonaniu Teatru Powszechnego w Radomiu (2004). Natomiast publiczność koszalińska ma okazję oglądać „Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska w reżyserii **Krzysztofa Gajosa** (w 1998 r. wystawił je w Opolu).

W repertuarze Teatru Polskiego Radia można znaleźć słuchowiska oparte na twórczości Jana Kochanowskiego, Andrzeja Frycza Modrzewskie-

go, Wacława Potockiego, ks. Józefa Baki. Ostatnio z okazji 500-lecia urodzin Mikołaja Reja przypomniano jego twórczość, emitowano m.in. „Szlachcica pocziwego portret własny” w reżyserii **Waldemara Śmigasiewicza** i reżyserii radiowej **Janusza Kukuły** (2005). Zaslugi dla popularyzowania literatury staropolskiej ponosił **Zbigniew Kopalko**, który od lat 60. ustawicznie wprowadzał ją na antenę Polskiego Radia. Wyreżyserował takie słuchowiska jak chociażby: „Kupiec” M. Reja (1966), „Psałterz Dawidów” J. Kochanowskiego (1990), „Kolebka Jezusowa” (1992), „Dialog o męce Pana Naszego Jezusa Chrystusa” (1992). **Jan Werenycia** w 2002 r. przypomniał „Dialogi o narodzeniu Pana Naszego Jezusa Chrystusa”, a **Zdzisław Dąbrowski** w 2004 „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”.

Zatem literatura staropolska bywa dzisiaj obecna w teatrze, ale nie można mówić o jej przesycie. Dlatego ze wszech miar godnym poparcia jest wybór tekstów staropolskich na premierę słuchowiska radiowego *Polskiego Radia Koszalin*. Już sam fakt, że „Misterium na Święto Narodzenia Chrystusa Pana” jest pierwszą tak poważną i wieloobsadową produkcją Radia Koszalin w dziedzinie słuchowisk radiowych klasyfikuje je jako wydarzenie. Z przyjemnością można jednak stwierdzić, że nie jest to jedynie wydarzenie historyczne, ale i artystyczne.

Reżyser i autor scenariusza **Andrzej Rozhin** niezwykle sprawnie poprowadził historię pod względem dramaturgicznym i reżyserskim. Dzięki temu słuchacz ani przez chwilę nie nudzi się, ale z coraz większym zainteresowaniem śledzi rozgrywające się wydarzenia. Misterium narodziło się w średniowieczu i wywodzi się z mszy świętej w Kościele katolickim. Reżyser, nawią-

zując do tego faktu, umiejscawia akcję wydarzeń we współczesnym kościele, gdzie na mszę przychodzi orszak kolędowy z „widowiskiem nabożnym”. W słuchowisko umiejętnie wplecione zostały znane kolędy, które nie tylko potęgują nastrój, ale pełnią funkcje dramaturgiczne, np. kolęda „Bóg się rodzi” oznajmia narodzenie Dzieciątka. Historię rozpoczyna Bóg (w tej roli **Ireneusz Kaskiewicz**), postanawia on zesać syna na ziemię na odkupienie narodu ludzkiego. A ponieważ „białogłowa złego początkiem była” niech teraz białogłowa przyczyni się do uratowania ludzkości. Wybiera Maryję (**Joanna Tomasik-Gierczak**) i posyła do niej Archanioła (**Katarzyna Niewadził**). Maryja z początku ma wątpliwości: *„rozumiem, że ma mnie zapłodnić męskie dotknięcie, a jakoż się to stanie gdy ja męża nie znam?”*, wkrótce jednak obwieszcza Józefowi (**Tadeusz Wasiak**) radosną nowinę.

Reżyser początkowo opowiada historię poprzez dialogi głównych postaci, stopniowo wprowadzając postaci charakterystyczne (właściciel gospody w Betlejem, który odmawia Maryi i Józefowi noclegu, gdyż woli szlachtę z pieniędzmi do gry i zabawy, nieżyczliwa Babusia), plany i efekty akustyczne (kulminacja muzyczna w scenie narodzenia Dzieciątka w szopie), wreszcie rozbudowane sceny zbiorowe (komediowa scena na pasterzy, którzy przy dźwiękach góralskiej muzyki wyśpiewują pieśni i piją gorzałkę, znużeni twardo zasypiają, tak, że Anioł nie może się ich dobudzić, ale wreszcie, po ustaleniu jakie zabrać dary, ochoczo się zrywają i radośnie kolędując idą powitać Pana).

Radosną atmosferę kontrapunktuje scena w pałacu Heroda. W poszukiwaniu Jezusa odwiedzają go Trzej Królowie. Herod nie może się pogodzić z faktem przyjścia na świat nowego Króla i rozkazuje wyciąć wszystkie nowonarodzone dzieci, w tym własnego syna. Siły piekielne rozpętują diabelskie moce, diabli się cieszą, matki rozpaczają po utracie dzieci, a przed Herodem wreszcie staje Śmierć. Im wydarzenia posuwają się do przodu, tym większą rolę w słuchowisku odgrywa muzyka: w scenach związanych z Herodem złowroga i niepokojąca, wraz z pojawianiem się Archanioła i Aniołów „nie-

biańska” czy wreszcie radosne, chóralne kolędy towarzyszące kulminacyjnej scenie witania Dzieciątka przez Trzech Króli i pasterzy.

Słuchowisko jest znakomicie wyreżyserowane i zagrane. Aktorzy tworzą postaci z krwi i kości, wydobywają z nich wszelkie możliwe ludzkie emocje. Na szczególną uwagę zasługuje **Jacek Gierczak**. Jako Herod stworzył prawdziwą kreację, wykorzystując szerokie możliwości głosowe. Maryja w wykonaniu Joanny Tomasik-Gierczak, zawsze na pierwszym planie akustycznym, blisko słuchacza ze swoimi przeżyciami, jest dziewczęco czysta. Dzięki wyeksponowaniu przez aktorów zwykłych ludzkich przeżyć, związanych z narodzeniem dziecka, opieką nad nim, znana historia staje się słuchaczowi bliska, a momentami wzruszająca (scena w szopie, kiedy Maryja martwi się z powodu mrozu, a Józef oddaje Dzieciątka baranią skórę, z towarzyszeniem kolędy „Lulajże Jezuniu”).

Staropolszczyzna w wykonaniu koszalińskich aktorów zabrzmiała bardzo współcześnie.

„Misterium na Święto Narodzenia Chrystusa Pana”, adaptacja i reżyseria Andrzej Rozhin, realizacja akustyczna Jarosław Ryfun.

Udział wzięli: Ewa Nawrocka, Katarzyna Niewadził, Joanna Tomasik-Gierczak, Małgorzata Wiercioch, Artur Czerwiński, Jacek Gierczak, Ireneusz Kaskiewicz, Piotr Krótki, Roman Lis, Andrzej Plata, Tadeusz Wasiak, Feliks Woźnik.

Premiera odbyła się na antenie Radia Koszalin 25 grudnia 2005 r.

Miniony rok przyniósł dwojgu aktorom Bałtyckiego Teatru Dramatycznego prestiżowe nagrody. Przeżywająca swój pierwszy koszaliński sezon Anna Kutkowska zdobyła Grand Prix ogólnopolskiego konkursu Verba Sacra. Związany z BTD od 14 lat Wojciech Rogowski otrzymał Złoty Gong przyznawany przez publiczność w plebiscycie organizowanym przez „Kurier Szczeciński” i TVP Szczecin.

Nagrody aktorskie raczej rzadko przypadają artystom koszalińskiej sceny. Z tym większą satysfakcją przedstawiamy sylwetki obojga laureatów. Anna Kutkowska przekazała nam swoją autorską wypowiedź. Wojciecha Rogowskiego, który niechętnie wypowiada się o sobie samym, zastąpić musiała pisząca o teatrze dziennikarka.

Laureatom gratulujemy. Zarówno im jak i ich kolegom z BTD wypada życzyć, aby kolejne sezony były co najmniej równie udane.

Anna Kutkowska

Aktorskie sukcesy

Teatr uczy pokory

O Festiwalu Sztuki Słowa wiedziałam od początku jego istnienia, za sprawą mojej profesor ze Szkoły Teatralnej, która uczyła mnie wiersza i wymowy. Postanowiła wystąpić na pierwszej edycję owego festiwalu, kiedy jeszcze byłam studentką. Pomogła mi oczywiście w przygotowaniach.

Na podstawie nadesłanego nagrania wybranych przeze mnie tekstów zostałam zaproszona do konkursu. Byłam najmłodszą uczestniczką. Znalazłam się w czołówce, jednak nagrody nie zdobyłam. Postanowiłam spróbować ponownie rok później. Niestety, historia się powtórzyła. Po trzech latach dałam sobie kolejną szansę. Zostałam przecież trochę doświadczenia życiowego i scenicznego. I udało się. Zostałam uhonorowana **Grand Prix imienia Mieczysława Kotłarczyka**.

Oprócz tej nagrody jest jeszcze jedna w konkursie Verba Sacra: Nagroda imienia Romana Brandstaettera za interpretację tekstu biblijnego. Mnie pomógł wygrać Juliusz Słowacki. W finałowym wystąpieniu mówiłam „Papieża słowiańskiego” jego autorstwa i „Przechadzkę po piekle” wymienionego już Brandstaettera. Nagrodę odbierałam na Wielkiej Gali Słowa, która zamykała festiwal. Miałam przyjemność wystąpić na jednej scenie z wielkimi ludźmi teatru. Reżyser, a zarazem pomysłodawca cyklu Verba



Anna Kutkowska
- prywatnie - w wodzie...



... i na scenie *BTD* - w autorskim monodramie „Podróż do zielonych cieni”.

Sacra, jak również członek jury, **Przemysław Basiński** poprosił mnie o wystąpienie przed szeroką poznańską publicznością z wierszem Juliusza Słowackiego.

Właściwie od początku szkoły średniej wiedziałam, w którą pójść stronę. W klasie maturalnej poznałam pierwsze tajniki zawodu w Studium Aktorskim Art Play, prowadzonym w Katowicach przez **Dorotę Pomykałę**. Mając lat 18 wyjechałam z rodzinnego miasta. Niestety, pierwsze podejście do Krakowskiej Szkoły Teatralnej skończyło się niepowodzeniem. Zostałam tam jednak i skończyłam roczną Szkołę Aktorską Lart Studio na krakowskim Kazimierzu. Kolejne egzaminy wstępne i znowu nic...

Ale tym razem „nic” dawało nadzieję – zdałam egzaminy, jednak nie zostałam przyjęta z braku miejsc (tym razem w Łódzkiej Szkole Filmowej). Przez rok pracowałam w wypożyczalni kaset wideo. Jeździłam w chwilach wolnych na zajęcia taneczne do Szkoły Baletowej, kontynuowałam także naukę śpiewu w Szkole Muzycznej w Zabrzu, a co najważniejsze poznałam mojego Mistrza, duchowego i artystycznego przewodnika! Nazywa się **Aleksander Rządkowski**, jest aktorem-nestorem, uczniem starej, dobrej szkoły **Zelwerowicza**. Przez rok przekazywał mi całą swoją wiedzę i życiową mądrość. To była bardzo ważna lekcja pokory.

Kolejne egzaminy do Szkoły Teatralnej zakończyły się sukcesem. Zostałam studentką krakowskiej PWST, wydziału lalkarskiego we Wrocławiu. Tam pojawiły się kolejne ważne osoby:

Mirosława Lombardo, również aktorka i moja Pani Profesor oraz **Robert Czechowski**, który niedawno dał się poznać koszalińskiej publiczności.

W trakcie studiów zagrałam gościnnie w Teatrze Polskim we Wrocławiu, a także w Operze Wrocławskiej. Moje spektakle dyplomowe to „Pierścień i róża” W. McThuckera’ya i „Balladyna” J. Słowackiego. Po studiach wyjechałam do Warszawy. O ironio, pracowałam w łódzkim prywatnym teatryku, z którym zjeżdżałam pół Polski. To jedno z wielu doświadczeń. Próbowalam dostać się do któregoś z warszawskich teatrów, ale bardzo szybko zorientowałam się, że to nie jest takie proste, kiedy nie ma się silnego poparcia i rekomendacji kogoś „ważnego”.

Od epizodu w „Pornografii” **J.J. Kolskiego** zaczęłam przygodę z filmem. To niewątpliwie jedno z ciekawszych i ważnych doświadczeń. Potem przyszła kolej na telewizję i seriale... Nie zagrałam żadnej dużej roli (ale chyba dobrze mi z tym), wszystkie były jedno lub dwuodcinkowe. Zaszłam w ciążę i urodziłam dziecko, a co za tym idzie wypadłam z obiegu na rok. Po powrocie rozpoczęłam współpracę z Agencją Artystyczną, wystawiającą w Warszawie bajki dla dzieci i lektury dla młodzieży. Zagrałam także w trzech filmach niezależnych: w „Tego pytania usłyszeć nie chciałam” **M.M. Mościckiego**, w „Krótkim filmie o umieraniu” **A. Ługowskiego** i w „Na dachu naszego świata” **K. Wierzbickiego**.

Koszalin pojawił się przypadkiem. Przyjeśliśmy rodzinie ten „przypadek” i od września 2005 r. jestem etatową aktorką Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Nie wiem, co wydarzy się za chwilę i jak potoczy się dalej moje życie i kariera. Lubię niespodzianki, lubię zmiany i oczywiście ryzyko. Czekam z niecierpliwością na bieg zdarzeń...

W 2005 r. odbyła się czternasta edycja plebiscytu teatralnego „Bursztynowy Pierścień”, organizowanego przez redakcję „Kuriera Szczecińskiego”, Telewizję Szczecin i Towarzystwo Przyjaciół Szczecina. Jednym z laureatów tego, rozstrzyganego przez publiczność, plebiscytu został aktor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie Wojciech ROGOWSKI. Uhonorowano ZŁOTYM GONGIEM za tytułową rolę w spektaklu „Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska w reżyserii Krzysztofa Galosa.

Izabela Nowak

Wszechstronność uhonorowana

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska należą z pewnością do najbardziej interesujących i oryginalnych propozycji, jakie dla sympatyków Melpomemy przygotowała w ubiegłym sezonie artystycznym koszalińska scena.

Na sukces przedstawienia złożyły się zarówno sprawnie zaadoptowany przez **Krzysztofa Galosa** dla potrzeb teatru materiał literacki, jak i pełna inscenizacyjnych pomysłów reżyseria oparta na kontraście obrazów dramatycznych, groteskowo-komediowych, a także wzruszających i nasyconych poezją. Na uznanie zasługuje również epicki rozmach, efektownie zaaranżowane sceny zbiorowe, wielkiej urody sceniczne kostiumy budujące klimat barokowego przepychu oraz bardzo uniwersalne w swej wymowie przesłanie skłaniające do niewesołych raczej konstatacji. Zmieniają się bowiem czasy, zmieniają obyczaje, a natura prawdziwego Polaka wciąż pozostaje taka sama...

Znaczącym atutem spektaklu jest bardzo dobre aktorstwo. Liczne metamorfozy i błyskawiczne transformacje sprawiają, że zaledwie dziesięcioro aktorów zapełnia scenę tłumem barwnych, soczystych postaci. W tej zbiorowej kreacji na plan pierwszy wysuwa się rola **Wojciecha Rogowskiego**, aktora doświadczonego, wszechstronnego, a także obdarzonego talentem komicznym. Z dużą dozą dramatycznej ekspresji wciela się w postać zadziornego, siedemnastowiecznego szlachciury - awanturnika i piniacza, fanatycznie do swych szlacheckich przywilejów przywiązanego. Wykreowany na



Fot. Tomasz Żurek

Rola Jana Chryzostoma Paska w inscenizacji „Pamiętników” przyniosła Wojciechowi Rogowskiemu „Złoty Gong”.

scenie przez Wojciecha Rogowskiego pan Pasek -jakże wyrazisty i barwny! - bawi, czasami irytuje, a chwilami nawet wzrusza, gdy porywy serca zaczynają górować nad chłodną kalkulacją i żądzą zysku...

- *To bardzo trudna i - ze względu na liczne sceny pojedynków - wymagająca niezwykle sprawności fizycznej rola. Cieszę się, że kapituła ją doceniła* - mówi Wojciech Rogowski na łamach „Miesięcznika” [nr 3(67) - dop. red.]. Tamże przyznaje, że najbardziej lubi grać łagodne, spokojne i pełne wewnętrznego ciepła osoby. Najwyżej w swoim dorobku ceni rolę Salieriego w „Amadeuszu” Petera Schaffera. – *Trudno mi było wejść w skórę człowieka zżeranego nienawiścią i zazdrością. (...) Udział w tej sztuce był dla mnie niezwykle intelektualną i aktorską przygodą.*

Ten doświadczony, obecny na scenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego od czternastu lat, aktor ma na swym koncie kilkadziesiąt różnorodnych, docenionych przez teatralną krytykę ról. Dzięki doskonałej znajomości warsztatu aktorskiego z powodzeniem kreuje zarówno dramatyczne, jak i komediowe role. Świetnie czuje

się w różnych konwencjach i gatunkach scenicznych - od klasyki „Romeo i Julia”, „Maria Stuart”, „Świętoszek”, „Poskromienie złościcy”, „Balladyna”, „Sługa dwóch panów” - po współczesność. Swobodnie porusza się zarówno w konwencji realistycznej, jak i w surrealistycznym klimacie eksperymentów artystyczno-formalnych „Czekając na Godot”, „Romanca”, „Kaczo, byczo, indyczo”. Tworzy wyraziste postacie w kameralnych dramatach psychologicznych „Wariacje enigmatyczne”, musicalach „Raj”, widowiskach pełnych komediowego żywiołu „Happy end”, a także w błyskotliwych, precyzyjnie skonstruowanych farsach „Z rączki do rączki”, „Komedia sytuacyjna”, „Czego nie wiadać”. Chociaż właśnie te role przynoszą mu popularność i sympatię publiczności, za najbardziej ekscytujące w swojej scenicznej karierze doświadczenie Wojciech Rogowski uważa wykreowanie dwóch kontrowersyjnych i niejednoznacznych bohaterów - trawionego zazdrością i nienawiścią Salieriego w „Amadeuszu” oraz egocentrycznego cynika Abła Znorko w „Wariacjach Enigmatycznych”.



Fot. Tomasz Żurek

Fenomen „Dialogu” trwa nadal

Kiedy w 1959 roku **Henryka RODKIEWICZ** założyła Teatr Propozycji „Dialog”, prawdopodobnie nikt nie przypuszczał, że - świętując kolejne okrągłe jubileusze - nowy koszaliński przybytek Melpomeny przetrwa aż 47 lat. Niewiele czasu musiało upłynąć, by rapsodyczny w charakterze teatr, skupiający młodych entuzjastów poezji i pięknego, mądrego słowa, zdobył sławę miejsca kultowego, gdzie odbywa się zadziwiająca wymiana myśli i emocji. Swoistą magiczną aurę tworzył interesujący i prowokujący do refleksji repertuar, oddani sztuce teatralnej realizatorzy, a także aktorzy nieustannie prowadzący z publicznością uniwersalny dialog na wiecznie aktualne tematy.

Na czym polega fenomen ponadczasowej popularności „Dialogu”, stawiający ten teatr w rzędzie najbardziej unikatowych zjawisk artystycznych na kulturalnej mapie Polski? Z pewnością od samego początku po dziś o wyjątkowości „Dialogu” przesądzało przekraczanie tradycyjnych tropów poszukiwań repertuarowych, znajdowanie scenicznej potencji w dziełach niete-



Fot. Ilona Łukjanuk

„Krzątactwo” jest sceniczną adaptacją... traktatu filozoficznego. Bo „Dialog” od lat dowodzi, że w każdym tekście można znaleźć potencję sceniczną. Na zdjęciu: od lat związani ze sceną przy ulicy Grodzkiej 3 Zuzanna Kaniuk i Jerzy Domin.



Fot. Ilona Łukjanuk

„Dialogową” tradycją stoły się spektakle i wystawy plastyczne w Cichym Dworze w Policku, które gromadzą liczącą nawet kilkadziesiąt osób publiczność. No zdjęciu: Jerzy Bokiej w jednej ze scen ze spektaklu „Rzysko”, opartego na prozie Jarosława Iwaszkiewicza.

atralnych, od czasów starożytnych do współczesności, poszukiwanie wciąż nowych artystycznych wyzwań. Jednak najbardziej znaczącym elementem jest wierność określonej konwencji teatralnej, tak sformułowanej u zarania przez Henrykę Rodkiewicz: *„Dialog to przecież rozmowa, to zabieranie głosu na szereg tematów, to kontakt z widzem. I żeby ten kontakt nawiązać, zdecydowaliśmy się odrzucić całą teatralność, która odgradzała nas od widza, przeszkadzała nam w bezpośrednim przekazywaniu sądów i opinii”*.

W długiej historii koszalińskiego „Dialogu” każdy z kolejnych spektakli znakomicie ilustrował tak sformułowane artystyczne założenia. Był jednocześnie wędrówką pod prąd przeróżnym scenicznym modom i konwencjom. I jak się okazało swoją szlachetnością wynikającą z ascezy formalnej splecionej z ogromnym ładunkiem intelektualnym i bogactwem znaczeń zwycięsko konkurował z nowinkami popkultury.

Mijały lata. Salę widowiskową koszalińskiego Domku Kata, gdzie teatr znalazł swoją siedzibę, zapętniały wciąż nowe pokolenia zakochanych

w magii „Dialogu” widzów. Miło więc stwierdzić, że pełnej artystycznej chwały dialogowej historii dorównuje dzień dzisiejszy tego zasłużonego teatru. Wciąż rozszerzany jest wachlarz artystycznych propozycji, wzbogacając dialogową tradycję o nowatorskie i oryginalne zjawiska realizowane w ramach „Sceny Teatralnej”, „Sceny Muzycznej” i „Sceny Poezji” oraz zainicjowanego przed dziesięcioma laty przez nieżyjącego już **Tadeusza Mroczka** „Teatru przy Stolikach”.

Nowy duch zagościł w zabytkowych murach wraz z nastaniem w listopadzie 2002 r. nowego prezesa Stowarzyszenia **Bogdana Gutkowskiego**, który tak określił swoje artystyczne credo: *«Swoją energię kieruję na różne zadania. Moje innowacje zmierzają do funkcjonowania „Dialogu” w szerszym i bardziej nowoczesnym od dotychczasowego kształcie. Oczywiście, wszystkie nasze propozycje powinien łączyć wysoki poziom artystyczny. (...) Ważne, by mieć wizję z głową ponad naszym powiatowym płótnem i potrzebę w przyszłość bez kompleksów»*. Rzeczywiście, powodu do kompleksów trudno się doszukiwać. Współczesność Teatru Propozycji „Dialog” składa się bowiem z wielu interesują-



Fot. Zdzisław Pacholski

„Dialog” to rozmowa także o literaturze współczesnej. Na zdjęciu: Paweł Huelle i ks. Henryk Romanik

cych i różnorodnych w charakterze propozycji. Wciąż poszukuje się również nowych inicjatyw.

Zgodnie z tradycją rapsodyczną króluje tu poezja, prezentowana zarówno na dialogowej scenie jak i podczas spektakli plenerowych. W historii poetyckich widowisk zapisały się ostatnio wyreżyserowane przez Marię Ulicką adaptacje Kwiatów Polskich Juliana Tuwima, Konrada Wallenroda i Pana Tadeusza Adama Mickiewicza oraz urzekające plastyczną urodą spektakle oparte na poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Bolesława Leśmiana i Jarosława Iwaszkiewicza, zrealizowane w magicznej scenerii Cichego Dworu w Policku przez Krystynę Kuczewską-Chudzikiewicz i Jerzego Bokieję oraz słupskiego reżysera Stanisława Otto Miedziewskiego.

Nie brakuje także odmiennych w nastroju scenicznych propozycji obejmujących różne gatunki, formy i konwencje, od groteski (inscenizacje tekstów Sławomira Mrożka, Edwarda Redlińskiego czy Witolda Gombrowicza) poprzez spektakle utrzymane w duchu realizmu, aż do przypominanego po latach przez **Jerzego Domina** poematu filozoficznego „Promethidion” Cypriana Kamila Norwida. Do wyjątkowo oryginalnych należy z pewnością teatralna adaptacja eseju filozoficznego Jolanty Brach-Czajny *Szczeliny istnienia*, wyreżyserowana przez Krystynę Kuczewską-Chudzikiewicz pod nazwą *Krząctwo*.

Na „Scenie Teatralnej” często można oglądać zaprzyjaźniony z „Dialogiem” Teatr „Ron-



Fot. Ilona Łukjanuk

Elżbieta Okupska zawsze przyciąga do „Dialogu” tłumy wielbicieli jej wokalnego i aktorskiego kunsztu.



Wydarzeniem jesieni 2005 był gościnny spektakl rosyjskiego teatru „Pilgrim” ze znakomitym spektaklem „Zadonszczina”, opartym no XIV-wiecznym eposie.

do” ze Słupska, prezentujący nowatorskie, świetnie zagrane i oryginalnie przez **Stanisława Otto Miedziewskiego** wyreżyserowane inscenizacje klasyki polskiej „Kalamarapaksa i Kuchendrama” Witkacego i światowej „Ćma” Thomasa Manna, „Bobok” Fiodora Dostojewskiego, „Obcy” Alberta Camusa, „O szkodliwości palenia tytoniu” Czechowa. Gośćmi „Dialogu” byli również wybitni, teatralni i filmowi aktorzy - **Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Wojciech Siemion, Jerzy Zelnik, Emilia Krakowska i Wojciech Malajkat.**

Na „Scenie Muzycznej” spotkać można wybitnych interpretatorów piosenki literackiej i aktorskiej - między innymi **Piotra Machalicę, Magdalenę Turowską, Iwonę Loranc, Pawła Orkisz** czy **Elżbietę Okupską**. Wyjątkowo interesujących twórców współczesnej literatury - **Pawła Huelle, Andrzeja Turczyńskiego i Ryszarda Kurylczyka** poznaliśmy podczas spotkań autorskich.

SZTUKA I ARCHITEKTURA

Kiedy kilka lat temu, toczyły się gorące dyskusje nad projektem zabudowy placu przy kościele pw. Ducha Świętego - w czasie pewnego spotkania pozwoliłam sobie na uwagę, że lepiej by było zamiast wieży projektowanej tu na wzór wieży Eiffla mieć koszaliński BEAU-BOURG (czyli centrum sztuki i kultury nowoczesnej jakie otwarto w Paryżu w 1977 r.).

Walentyna Orłowska

... o miejsce dla Sztuki

W Koszalinie, byłem mieście wojewódzkim o wieloletnich chwalebnych tradycjach kulturalnych, znanym swego czasu prężnym ośrodkiem plastycznym, organizującym słynne Międzynarodowe Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach (1963 - 1981), w mieście znanym w Polsce z dynamicznie działającego Biura Wystaw Artystycznych, które zwłaszcza w latach 70. było centrum koszalińskiego życia artystycznego, trudno jest obecnie o takie miejsce, które spełniałoby kryteria nowoczesnego centrum sztuki współczesnej. Nad dawnym BWA zaległy „ciemności egipskie” (salon wystawowy stał się częścią restauracji KAIR), a jego działalność przeszła do legendy. Obecnie mamy różne miejsca prezentujące mniej lub bardziej udane wystawy plastyczne, ale wspomnieć chciałabym o tych, które nazwać można galeria-

mi (hol Urzędu Miejskiego trudno nazwać galerią, a sklep z artykułami artystycznymi i kwiatami nazywany „galerią” ZO ZPAR jest przede wszystkim kwiaciarnią).

Do salonów wystawowych o długich tradycjach zaliczyć należy przede wszystkim dzisiejszą Bałtycką Galerię Sztuki w Miejskim Ośrodku Kultury, kontynuującą tradycje salonu dawnego Wojewódzkiego Domu Kultury. Miejsce to już w latach 50. było salonem wystawowym dla koszalińskiego środowiska plastycznego i szkoda, że dziś nim już nie jest. Galeria nie ma wyrazistego programu i obok ambitnych wystaw sztuki wysokiej spotykamy tu przeglądy twórczości amatorskiej. Mimo dobrych warunków (sala jest po remoncie) przestrzeń galerii nadaje się jedynie do wystaw kameralnych.



Wydarzeniem minionego roku była wystawa Joana Miro w Bałtyckiej Galerii Sztuki. Wernisaż z udziałem właściciela kolekcji Nielsa Trydinga.

Fot. Zdzisław Pacholski

Galerię o ukształtowanym profilu, aktywnie prowadzącą swoją działalność od 1991 roku jest prywatna galeria „Na Piętrze” prowadzona przez **Jadwigę Kabacińską**, która umiejętnie łączy działalność wystawienniczą z handlem dziełami sztuki i materiałami artystycznymi. Galeria ta kładzie nacisk szczególnie na promocję młodych artystów, a od kilku lat integralną jej częścią jest również autorska galeria **Andrzeja Słowika**, znanego artysty koszalińskiego, który obchodził swoje 30-lecie pracy twórczej w 1999 r. Znalazło to swoje odbicie w jego malowniczej wystawie retrospektywnej „Na koniec wieku”, zorganizowanej w muzeum. Galeria „Na Piętrze” ma szansę w najbliższym czasie powiększyć swoją przestrzeń ekspozycyjną i handlową, co jednak nie zmienia faktu, że nadal będą to wystawy kameralne.

Największym salonem prezentującym sztukę współczesną (co nie znaczy, że o największych możliwościach) jest galeria prowadzona przez Dział Sztuki Współczesnej Muzeum

w Koszalinie, która otworzyła swoje podwoje w 1992 roku. Od tego czasu zaprezentowała ona koszalinianom blisko 30 dużych wystaw, wśród których szczególną rolę odegrały te, które przedstawiały zasoby koszalińskiej kolekcji sztuki współczesnej, będącej w posiadaniu naszego muzeum, (patrz artykuł dr. Marcina Szela „Kolekcja „osiecka” - nie do przecenienia!” - dop. red.).

Kolekcja ta, tak ważna dla kultury naszego regionu, cenna również dla obrazu sztuki polskiej od lat 60. po 80. nie może być zaprezentowana w całej swej okazałości publiczności koszalińskiej, ponieważ... w Koszalinie nie ma odpowiedniej sali dla takiej ekspozycji! Kolekcję staraliśmy się prezentować w kilku odstonach w galerii muzealnej, organizując m.in. takie wystawy jak: „Polskie malarstwo współczesne”, „Współczesny rysunek i grafika”, „Artyści z różnych stron...”, ale również wystawy dokumentujące historię plenerów koszalińskich organizowanych w Osiekach w latach 1963-1981.



Andrzej Słowik i Jadwiga Kabacińska na autorskiej wystawie artysty, Muzeum w Koszalinie, grudzień 1999 rok.

Ważną częścią kolekcji jest zbiór plastyki koszalińskiej, reprezentatywny dla naszego środowiska. Z zasobów tych zorganizowano w latach 2000 - 2005 wiele ważnych prezentacji nawiązujących do historii koszalińskiego środowiska plastycznego, w tym wiele wystaw jubileuszowych artystów koszalińskich: w 2000 roku zorganizowana została wystawa z okazji 20-lecia śmierci Ryszarda Siennickiego, jednego z najbardziej znanych w Koszalinie twórców, którego imię nosi jedna z ulic naszego miasta. Na wystawie tej obok świetnych rysunków i malarstwa ekspozowano wówczas po raz pierwszy bardzo interesujący zbiór prac - projektów plansz reklamowych do wyświetlanych w latach 60. filmów w kinie „Adria”. Projekty te są cennym dokumentem kultury wizualnej tamtych lat. Także w 2000 roku odbyła się wystawa z okazji 40-lecia pracy twórczej Aleksandry Sieńkowskiej, która w 1962 roku założyła w Koszalinie pierwszą galerię autorską. Prowadziła ją w kawiarni „Ratuszowa”, gdzie w ciągu 10 lat zaaranżowała bli-

sko 100 kameralnych wystaw prac artystów z całej Polski (m.in. był tu prezentowany w 1969 roku Zdzisław Beksiński). Na wystawie prac Aleksandry Sieńkowskiej mogliśmy podziwiać szeroki wachlarz jej możliwości artystycznych od malarstwa poprzez kolaż do tkaniny.

W 2001 roku w Galerii Sztuki zorganizowano wystawę z okazji 30-lecia pracy **Andrzeja Ciesielskiego** zatytułowaną Malarstwo i Rysunek VII. Andrzej Ciesielski założył w 1990 roku autorską i w zasadzie prywatną galerię - „Moje Archiwum”, która była galerią o wyjątkowym charakterze, gdyż oprócz działalności wystawienniczej gromadziła bogatą dokumentację prac artystów. Niestety, obecnie galeria ta nie jest czynna z powodów finansowych i lokalowych, z ogromną szkodą dla publiczności (nie tylko koszalińskiej, gdyż właśnie tutaj można było za poznać się z twórczością typu performance, wideo i instalacje, a także skorzystać z bogatego zbioru wydawnictw artystycznych. Galeria ta należała do rzadkich miejsc artystycznych, bez-



Fot. Ilona Łukjanuk

Aleksandra Sieńkowska z mężem i córkami na tle swoich prac - wystawa jubileuszowa artystki w Muzeum w Koszalinie, 2000 rok.

interesownych i przyjaznych zarówno artystom jak i odbiorcom. Zniknięcie jej spowodowało istotną lukę w naszym życiu artystycznym.

W 2003 roku odbyła się w Galerii Sztuki Współczesnej w muzeum wystawa z okazji 35-lecia pracy twórczej **Włodzimierza Kolk**, związanej z Koszalinem od 1969 roku. Jej fascynujące prace malarskie znalazły swoich odbiorców nie tylko w Polsce, ale i we Francji, Włoszech, Danii, Niemczech, Bośni-Hercegowinie, Słowacji, Bułgarii, Holandii.

W 2004 roku miała miejsce w naszej Galerii szczególna wystawa, związana z uczczeniem 50-lecia pracy twórczej Ryszarda Lecha. Na wystawie tej podziwiać mogliśmy prace malarskie i graficzne z lat 1953 - 2003, z których wiele poświęconych było motywom z naszego regionu. Niestety, była to równocześnie ostatnia wystawa artysty. Ryszard Lech zmarł 24 stycznia 2005 roku.

W 2005 roku Dział Sztuki Współczesnej przy-

gotował wystawę „Nestorzy Plastyki Koszalińskiej”, która miała podkreślić symbolicznie 60-lecie polskiego życia plastycznego na tych ziemiach. Prezentowana była gościnnie w Bałtyckiej Galerii Sztuki, gdzie wyeksponowano ok. 100 prac (malarstwa, rysunku, grafiki, tkaniny) z zasobów własnych działu. Znalazły się tu prace: **Stanisława Bekasenas**a, **Jerzego Fedorowicza**, **Ireny Kozery**, **Bolesława Kurzawińskiego**, **Ryszarda Lecha**, **Jerzego Niesiołowskiego**, **Ludmiły Popiel**, **Ryszarda Siennickiego**, **Aleksandry Sieńkowskiej**. Wystawa ta miała zarazem przypomnieć tradycję pierwszych wspólnych wystaw koszalińskich, organizowanych w ówczesnym salonie WDK (dzisiejszy MOK). Miejsce to od 1955 roku przez wiele lat było salonem plastyki koszalińskiej, gdzie systematycznie odbywały się „wystawy wiosenne” i „wystawy jesienne”.

Największym wydarzeniem artystycznym, spośród wystaw organizowanych w Koszalinie



Fot. Ilona Łukjaniuk

Wernisaż jubileuszowy Włodzimierza Kolk - Muzeum w Koszalinie 2003 rok
(od lewej: prezydent M. Mikietyński, art. plast. M. Łęgowski i autorka wystawy Włodzimierz Kolk.

w latach 2000 - 2005, była wystawa plakatów **Joana Miró**. W 2004 r. pojawiła się szansa wprowadzenia do Koszalina świetnej wystawy plakatów tego artysty, która była prezentowana w całej okazałości na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie. W pierwszej wersji miało ją przejąć Muzeum w Koszalinie, ale jego dyrektor nie był zainteresowany tą ekspozycją, więc trafiła ona do Bałtyckiej Galerii Sztuki w MOK. 23 lipca 2004 roku odbył się tam bardzo uroczysty wernisaż z udziałem właściciela kolekcji dr. **Nielsa Trydinga** oraz z udziałem przedstawicieli władz miasta Kristanstad ze Szwecji, gdzie kolekcja ta została zdeponowana w miejscowym muzeum. Po raz pierwszy w Koszalinie mogliśmy obejrzeć prace światowej sławy artysty jakim był Joan Miró (1893 -1983), świadek rodzącej się sztuki nowoczesnej, przyjaciel kubitów, dadaistów i surrealistów, według **Andre Bretona** „najpiękniejsze pióro w kapeluszu surrealizmu”. Była to wystawa wyjątkowa, ponieważ przedstawiała kolekcję tworzoną przez wiele lat przez Nielsa Trydinga (z zawodu lekarza), który był w przyjacielskich kontaktach z artystą

i pozyskał wiele tzw. oryginalnych plakatów bezpośrednio z pracowni Joana Miró.

Szkoda jednak, że nie można było w Koszalinie podziwiać całego zbioru tych plakatów. Salki ekspozycyjne w Bałtyckiej Galerii pomieściły zaledwie skromną część kolekcji, a największe prace z trudem wciskały się w przestrzeń pomiędzy podłogą a sufitem. Mimo wszystko robiła ona wspaniałe wrażenie. Za umożliwienie obejrzenia tej wystawy w Koszalinie należą się słowa uznania Prezydentowi miasta **Mirosławowi Mikietyńskiemu**, który pilotował ją od samego początku i wspierał swoim patronatem. Wystawa ta też wpisała się we współpracę kulturalną pomiędzy dwoma miastami zaprzyjaźnionymi jakimi są Koszalin i Kristanstad.

Kristanstad ma świetną i słynną kolekcję plakatów Joana Miró. Koszalin posiada znaną i cenną kolekcję sztuki współczesnej obejmującą obecnie ponad 1500 dzieł, w tym wiele prac polskiej awangardy artystycznej. Kristanstad ekspozuje sztukę współczesną w pięknym i nowoczesnym miejscu, czyli w Konsthalle. Koszalin, niestety, nie ma takiego miejsca, a muzeal-



Fot. Ilona Łukjanuk

Ryszard Lech z żoną Mirosławą na swojej jubileuszowej wystawie w Muzeum, 2004 rok.

na galeria mieści się w jednym z pomieszczeń zaprojektowanych ponad 100 lat temu na potrzeby ówczesnego młyna.

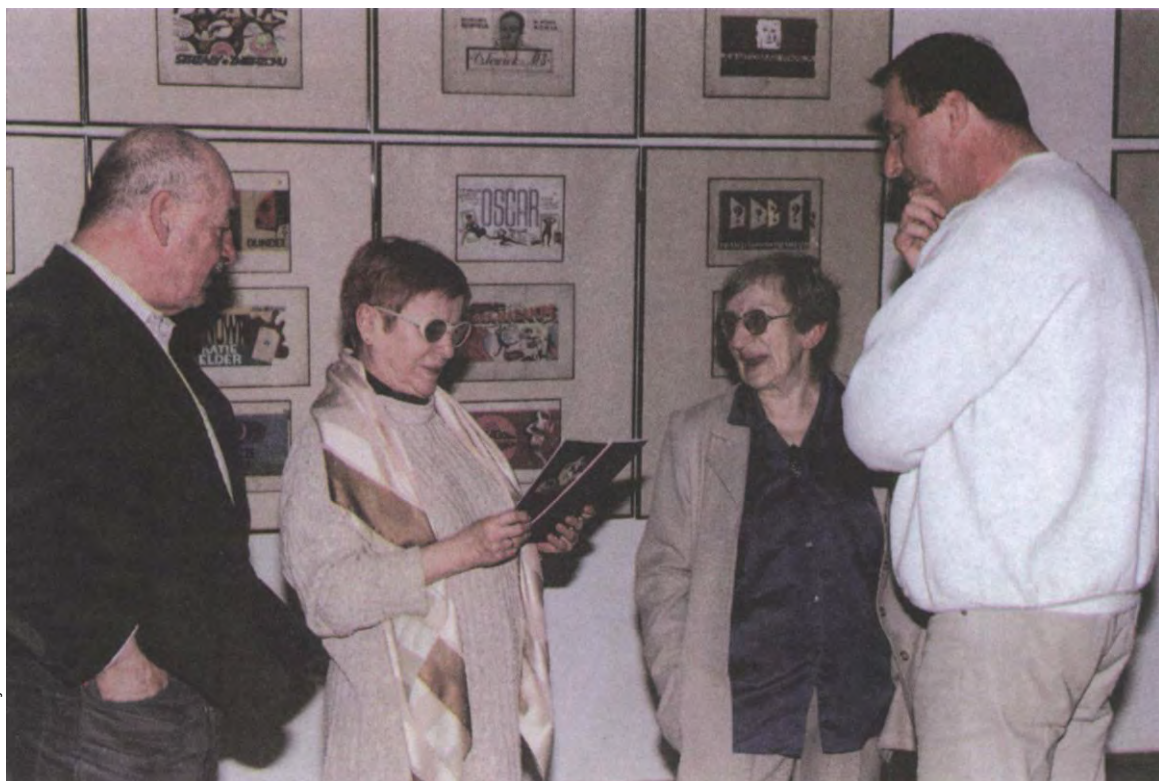
Koszalin, ośrodek akademicki, kulturalna stolica Pomorza Środkowego, zasługuje na centrum sztuki współczesnej z prawdziwego zdarzenia, które obok funkcji naukowych podjęłoby trudną rolę edukacji odbiorców sztuki współczesnej, edukacji prowadzonej już na miarę XXI wieku. Niedobrze się dzieje kiedy imprezy typu: kabalet, kiermasze, jarmarki wypierają sztukę ambitną, sztukę wysoką, a Koszalin przecież jest kojarzony jako organizator (historycznych już - niemniej ciągle ważnych dla sztuki polskiej) Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

60 lat Polskiej obecności na tych ziemiach, tworzenie nowej rzeczywistości, w której ogromną rolę odegrała kultura i sztuka, wymaga od nas nie tylko chwili refleksji, ale i konkretnych działań na rzecz rzetelnego udokumentowania tego etapu historii, w którym ważną rolę

odegrali artyści związani z naszym regionem. Pamiętając o całej historii Pomorza zadbajmy przede wszystkim o to, co stanowi tą najlepszą naszą częśćkę, czyli sztukę polską, którą tu przynieśliśmy i którą rozwijamy na miarę naszych możliwości.

Sztuka wysoka cieszy się dobrą koniunkturą w świecie, a turystyka kulturalna staje się coraz bardziej popularna, ale jednocześnie coraz bardziej wymagająca. Nowoczesne centra sztuki i kultury, które tak licznie powstają w wielu miastach Europy, jak również i Polski, stają się wizytówką kulturalną życia wielkomiejskiego, animując wydarzenia o wysokiej wartości artystycznej i merytorycznej.

Myślę, że Koszalin jak najbardziej zasługuje na swój koszaliński BEAUBOURG - miejsce dla sztuki na miarę XXI wieku. Apeluję o godne miejsce dla Sztuki.

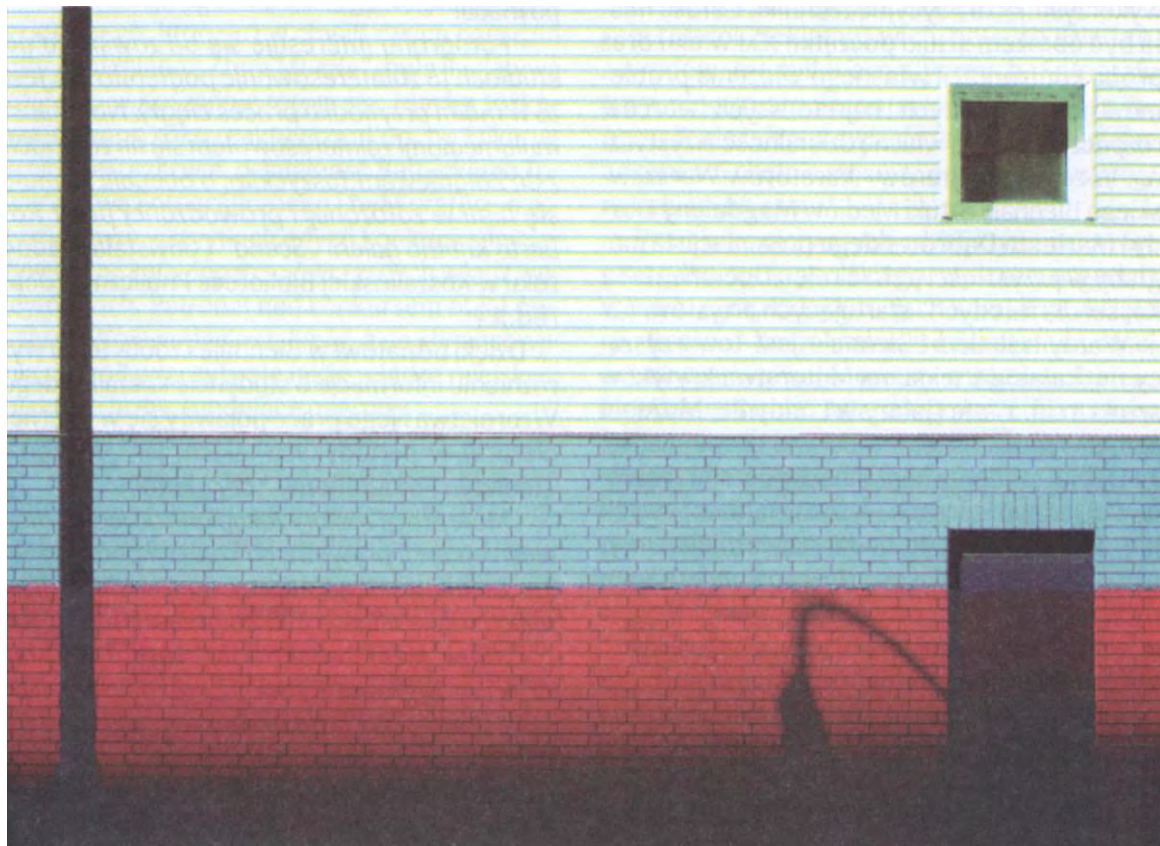


Fot. Ilona Łukjanuk

Wernisaż monograficzny Ryszarda Siennickiego (od lewej Juliusz Sienkiewicz, Ewa Nawrocka, Jadwiga Ślipińska, Bogdan Gutkowski), Muzeum w Koszalinie 2000 rok.

Sukces w kręgu nowych mediów

Wyróżnienie I Warszawskiego Biennale Sztuki Mediów dla studenta Politechniki Koszalińskiej



Wyróżnione prace Andrzej Golca

1 grudnia 2005 roku w stołecznym Domu Artysty Plastyka otwarto wystawę prac nadesłanych na I Warszawskie Biennale Sztuki Mediów. Współorganizatorami konkursu były: Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, Muzeum Gugenheima w Bilbao oraz okręg warszawski Związku Polskich Artystów Plastyków.

Część konkursowa adresowana była do wyższych szkół artystycznych - plastycznych i fotograficznych - w Europie. Profesor pracowni mógł wytypować studenta, który, jako jedyny, będzie reprezentował swoją uczelnię. W rezultacie zgłoszono 18 studentów. Reprezentowali oni polskie uczelnie (m.in.: Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu

i we Wrocławiu, Akademią Fotografii w Warszawie, Europejską Akademią Fotografii), a także uczelnie z Wiednia, Mińska, Moskwy, Sofii. Wśród zakwalifikowanych do konkursu znalazł się student Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej **Andrzej Golc**. Towarzyszył mu (niżej podpisany) mgr **Stanisław Wolski**, opiekun koła naukowego „Nowe media”.

Pokonkursowa wystawa dla studentów i prowadzących ich profesorów miała charakter prezentacji internetowych, a celem była próba odpowiedzi na aktualne dziś pytanie: w jakim stopniu rozwój technik multimedialnych umożliwia pracę twórczą i wypowiedź artystyczną.

Prezentowali się młodzi twórcy, którzy wy-

korzystują nowe techniki z pogranicza wideo, fotografii, fotomediów, ale też ci, którzy odwołują się do doświadczeń zarówno sztuki konceptualnej jak i sztuki zaangażowanej czy krytycznej, i prezentują codzienność niejednokrotnie wykorzystując tradycyjne techniki. Całość miała być obrazem sztuki początku XXI wieku oraz próbą konfrontacji własnego widzenia problemów oczami młodych i najmłodszych twórców rozpoczynających własną działalność artystyczną. W zamyśle autorów - kuratorów Warszawskiego Biennale Sztuki Mediów **Magdaleny Durdy** i **Mariusza Dąbrowskiego** prezentacja ta mogłaby w przyszłości pełnić rolę „Documenta” z Kassel dla młodych i startujących artystów.

Ważnym śladem I Biennale jest towarzyszący mu katalog z tekstami autorstwa krytyków sztuki m.in. z Tate Galery w Londynie, Muzeum Sztuki Współczesnej w Moskwie i Kopenhadze.

Debiut studenta koszalińskiej uczelni zaowocował jednym z trzech wyróżnień honorowych jury Biennale. Jest to bodaj najważniejsze wyróżnienie koszalińskiego artysty od czasu nagrody w latach 70. dla Ewy Jędrzejewskiej-Drygas w konkursie malarskim im. Jana Spychalskiego w Poznaniu.

Oto co o udziale w I Warszawskim Biennale Mediów i zdobyтым wyróżnieniu mówi Andrzej Golc:

- Uczestnictwo w Biennale jest wynikiem mojego pobytu na plenerze multimedialnym w sierpniu 2005 roku w Lubieszewie. Część mojej wystawy zaprezentowanej w Warszawie po raz pierwszy eksponowałem właśnie tam. Udział w Biennale zaproponował mi profesor Józef Robakowski, który po obejrzeniu wystawy uznał, że prace mogą wziąć udział w konkursie.

- Udział w Biennale był dla mnie szansą na zaistnienie na tak zwanym „rynku sztuki”, również do nawiązania ważnych dla mnie kontaktów z czołową grupą artystów polskich i europejskich. Mam nadzieję, że dostanę propozycje wystaw w kraju, a może i za granicą. Poza tym był to bodziec do działania, ponieważ takie obcowanie ze sztuką daje nowe impulsy i naprowadza na nowe tory. Była to doskonała wystawa. To, co widziałem, ma na pewno duże znaczenie dla sztuki. Mimo, że sztuka mediów istnieje już jakiś

czas i ma bogate tradycje, stale prężnie się rozwija, a techniki cyfrowe znacznie ten rozwój wzbogacają.

Zapytany o to, od jak dawna interesuje się fotografią i nowymi mediami, Andrzej Golc odpowiada:

- Fotografią interesuję się od zawsze, a na studiach to zainteresowanie pogłębiło się. Jest to w moim przypadku proces ciągły. Natomiast multimediami zainteresowałem się na zajęciach z dr. Zbigniewem Taszyckim, a obecnie zajmuję się nimi w założonej i prowadzonej przez Roberta Knutha galerii „Scena” (powstała w 2005 roku w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej - dop. red.).

Dzięki udziałowi w Biennale i zdobytemu wyróżnieniu informacje o studencie koszalińskiego Wzornictwa i jego prace pojawiły się w Internecie oraz w periodykach takich, jak „Arteon”, „Biuletyn Fotograficzny” czy „Foto”.

- Moje prace zostały zakupione do jednej z najważniejszych prywatnych kolekcji pana Dariusza Bieńkowskiego z Łodzi. Są tam obok dzieł takich fotografików, jak: Zbigniew Dłubak, Karol Hiller, Józef Robakowski, Antoni Mikołajczyk czy Zygmunt Rytka. Jest to moje największe osiągnięcie i bardzo się z tego cieszę, że w tak fantastycznym zbiorze znalazło się miejsce i dla mojej fotografii. Andrzej Golc jest na uczelni bardzo aktywnym studentem. Brał udział w dwóch wystawach „Topless” w Galerii Radia Koszalin, w warsztatach koła naukowego „Nowe media”, a ostatnio udziela się w „Kabuum”. - Jest to nieformalny związek, w którym od trzech lat tworzę razem z kolegami. Można powiedzieć, że jest to poszerzony „Topless”, czyli grupa twórcza, która powstała w kole naukowym „Inne media”. W jego ramach zrealizowaliśmy już trzy wystawy w Polsce i jedną w Niemczech w Neubrandenburgu. Obecnie w galerii „Scena” realizujemy projekt „Casting”.

Zapytany o plany na przyszłość A. Golc mówi: - Ożenić się! Wystawiać. Wziąć udział we Biennale Fotografii w Warszawie. Chciałbym też rozwijać galerię „Scena”, a przecież czeka mnie jeszcze dyplom. Proszę mojego promotora o wyrozumiałość.

Dziesięć „Złotych Muszli”

Organizacja ogólnopolskiego konkursu fotograficznego, który już w chwili swych narodzin otrzymał miano „Złota Muszla”, była inicjatywą znanego w Koszalinie fotografa, **Marka Jóźkwa**. W 1995 roku reaktywował on, po kilkusetletniej przerwie, działalność Bałtyckiego Towarzystwa Fotograficznego i był kuratorem artystycznym wszystkich edycji konkursu. Inicjatywa ta zyskała poparcie ówczesnych władz wojewódzkich. Patronat nad konkursem objął ówczesny Wojewoda Koszaliński, a do sfinansowania nagród włączyły się także władze miejskie i niektóre firmy, fundujące nagrody.

Nazwa konkursu - wymyślona przez inicjatora - kojarzy się przecież nie tylko z nadbałtyckim położeniem Koszalina, ale także - poprzez skojarzenie ze znanym obrazem Boticellego - z narodzinami niepowtarzalnego piękna. Wręczana zdobywcy Grand Prix statuetka - prawdziwa muszla - stała się przez te minione dziesięć lat symbolem doskonałych zdjęć, emblematem konkursu, który z czasem osiągnął zasięg międzynarodowy i stał się rozpoznawalnym hasłem wśród polskich fotografów, popularyzując w ten sposób nasze miasto i jego twórcze i artystyczne środowisko.

Organizując w 1996 roku pierwszą edycję „Złotej Muszli” członkowie Bałtyckiego Towarzystwa Fotograficznego nie przypuszczali zapewne, że idea otwartych konkursów fotograficznych spotka się z entuzjastycznym odzewem tych wszystkich zapaleńców, którzy „łapią” przez swój obiektyw to, co istnieje wokół, a co jest często niewidoczne dla innych. Bo przecież fotografią, wspaniałym wynalazkiem I połowy XIX wieku, noszącym - jak inne muzy - piękne, kobiece imię - pasjonuje się wiele osób, niezależnie od statusu, płci, wieku, kraju, wykształcenia i poziomu życia. Fotografia to wyjątkowe medium, w którym, jak w niewielu innych, technika jest tak mocno spleciona ze sztuką, a które dostępne jest nieomal dla wszystkich. Jej wynalezienie i rozpowszechnienie zaważyło na dziejach malar-

stwa, kartografii i edytorstwa, było akceleratorem rozwoju reklamy i wielu nowych dziedzin i zawodów, nie tylko artystycznych. Fotografia trwa niewzruszenie na swej silnej od dawna pozycji, nie tylko w świecie sztuki, wchłaniając, adaptując i chętnie stosując coraz to nowsze wynalazki techniczne.

Przez kilka pierwszych edycji konkursu, wówczas tylko ogólnopolskiego, wystawy organizowano w różnych instytucjach Koszalina: w Galerii „Region” Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, w sali wystawowej Muzeum, a także w „Bałtyckiej Galerii Sztuki” Miejskiego Ośrodka Kultury, gdzie pokonkursowa wystawa znalazła wreszcie swoje stałe miejsce. Tu, corocznie we wrześniu, jury ogłasza uroczyście swój werdykt, a prezydent miasta Koszalina otwiera ekspozycję, będącą efektem pracy uczestników kolejnej „Złotej Muszli”.

Każda jej edycja jest trudnym zadaniem nie tylko dla organizatorów, ale także dla jury konkursu, w skład którego zapraszani są znawcy i jednocześnie twórcy fotografii. Oceniali nadsyłane prace tacy fachowcy jak profesor Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu **Witold Przymuszała**, **Marek Burdynowski** z firmy Mass Media w Kolonii, **Witold Danilkiewicz** z Hamburga, członek Związku Polskich Artystów Fotografików oraz **Wojtek Szwej** z Life Art Communication w Montrealu.

Formuła tego konkursu zmieniała się podczas tych dziesięciu lat poprzez wprowadzanie coraz to nowych kategorii fotografii - od ekologicznej, portretowej, reportażowej po reklamową. Dla oceniających prace jurorów nieważny był podział na fotografię tradycyjną, komputerową, kolorową czy też czarno-białą. Liczył się tylko i wyłącznie efekt artystyczny, kompozycja, refleks i umiejętność spojrzenia na otaczający nas świat. Z kilku tysięcy zdjęć, prezentowanych na dziesięciu już pokonkursowych wystawach „Złotej Muszli”, pamiętamy wspaniałe portrety - naturalistyczne i metafizyczne - **Józefa Galika** z Bia-



łogardu i **Marka Hallady** z Rzeszowa, świetne reportaże dziennikarskie autorstwa **Karola Skiby** z Kołobrzegu i **Radosława Koleśnika** z Koszalina. Były też relikty folkloru kaszubskiego i topienie Marzanny, złapane w obiektyw przez **Eugeniusza Nurzyńskiego** z Gdańska oraz barwny teatr uliczny z Bielska-Białej, uchwycony w ruchu przez **Szymona Burego**. Podziwialiśmy egzotycznych tancerzy na fotografiach **Witolda Danilkiewicza** i **Edwarda Funke**, elementy architektury, barwne pasy uprawnych pól, krajobrazy przemysłowe i wiele innych, fascynujących tematów. Były prezentowane wszystkie techniki, od tej tradycyjnej, poprzez „gumę” i obróbkę negatywu po kolaże i wysublimowane techniki komputerowe. Obok zdjęć w kolorze i stylizowanych sepią prezentowały się te graficzne, czarno-białe, których bronią jest dawny wdzięk i narosła przez dziesięciolecia patyna.

W roku 2000 „Złota Muszla” stała się Przeglądem Fotografii Krajów Nadbałtyckich, w którym wzięli udział autorzy z Estonii, Litwy i Niemiec, a w następnych latach pojawiły się fotografie z Czech oraz - w ostatniej, jubileuszowej, X edycji - z Argentyny, Belgii, Francji, Indii, Izraela i Szwecji. Decyzją organizatorów kolejny, XI konkurs będzie nosić miano Międzynarodowego Przeglądu Fotografii.

Laureatem jubileuszowej, X edycji „Złotej Muszli” został **Piotr Rosiński** z Łodzi, który za cykl portretów otrzymał od Prezydenta Koszalina podczas uroczystego otwarcia wystawy

symboliczną muszlę - Grand Prix. Wielokrotnie wyróżniany w tym konkursie Eugeniusz Nurzyński otrzymał za zdjęcia „Kurpie” nagrodę Wojewody Zachodniopomorskiego. Starosta Koszaliński uhonorował **Andrzeja Borowca** z Lublina i **Tomasza Pietryszkę** za interesujące zdjęcia przyrodnicze, natomiast Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata” **Krystyny i Edwarda Funke** ufundowała nagrodę dla **Celiny Małgorzaty Dziedziny**, która pokazała ciekawy reportaż z Afryki.

Można było obejrzeć fascynujące zdjęcia reportażowe **Krzysztofa Gołucha** z Knurowa i **Radosława Koleśnika** z Koszalina, malarskie w swym wyrazie fotografie fragmentów samochodów **Nilsa Erika Jerlemaara** ze Szwecji oraz ukazujące dewastację środowiska fotografie **Karola Walaszczyka** z Radomska i **Mariusza Pawła Mazura** z Lublina.

„Złota Muszla” miała w swych założeniach pobudzić artystycznie i poprzez wzajemny kontakt doskonalić warsztatowo wszystkich, dla których fotografia stała się nie tylko metodą spędzania wolnego czasu, nie tylko sposobem utrwalania doznań, ale także - a może przede wszystkim - formą twórczej inwencji. Ważnym aspektem konkursu była również popularyzacja fotografii i pokazanie jej różnorodności, zarówno tematycznej, jak i formalnej. Dziesięcioletni dorobek

tego konkursu pozwala stwierdzić, że założenia te zostały zrealizowane, a ilość zdjęć, uczestników i rozmach międzynarodowy przerosły oczekiwania organizatorów z Bałtyckiego Towarzystwa Fotograficznego.



Osieki i „Osieki”

„Letnia stolica sztuki” - mawiał o Osiekach Julian Przyboś, częsty gość tamtejszych Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki. Czym były Osieki? Czym są? Czym być powinny? Przedstawiamy poniżej wielogłos w kwestii, którą umownie nazwaliśmy tak, jak w tytule - Osieki i „Osieki”. Wierzymy, że płynie stąd głębsza refleksja na temat wartości tradycji i naszych powinności wobec niej.

Małgorzata Kołowska

Ostatni przejaw awangardy polskiej

Rozmowa z **Jerzym Fedorowiczem**, twórcą Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach, odbywających się w latach 1963-81.

Z jakiej idei zrodziły się „Osieki”, w 1963 roku nazwane Studium Pleneru Koszalińskiego, później - aż do 1981 r. - znane jako Spotkania Artystów, Krytyków i Teoretyków Sztuki?

- Podejmując jakieś zadanie człowiek myśli

przede wszystkim, aby zrealizować własną ideę. Także my nie myśleliśmy o konsekwencjach społecznych i politycznych podejmowanego przedsięwzięcia. Musieliśmy natomiast pokonać co niemiara trudności. Pamiętam pierwszą rozmo-



Fot. Ilona Łukjanuk

Jerzy Fedorowicz tworzył tradycję osieckich spotkań artystów, naukowców i teoretyków sztuki. Walentyna Orłowska jako kustosz Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie opiekuje się kolekcją osiecką.

wę z ówczesnym wojewodą koszalińskim, który zapytał: a kto coś podobnego jeszcze robi? Odpowiedziałem, że nikt i nigdzie. - No, to po co wam to? - odrzekł. Dopiero z czasem, kiedy władza zobaczyła, że o Osiekach się pisze – między innymi w angielsko- i francuskojęzycznych magazynach „Polska” - wytworzył się swego rodzaju snobizm. Ale istniała „czarna lista łyżwańskiego” artystów niepożądanych i trzeba było znajdować kompromisy na zasadzie „ja się zgadzę, ale załatwcie, żeby towarzysza Garztecka w Trybunie Ludu pozytywnie napisała”. Trzeba było być „agentem na cztery strony”!

- **Aby pokonać te wszystkie trudności potrzebna była nie byle jaka determinacja. Jakie były jej źródła?**

- W tamtym czasie Polska była pustynią informacyjną, odizolowaną od świata, a tu, w Koszalinie spotkaliśmy się w kilka osób, które miały od lat bliskie kontakty z polską awangardą. Ludmiła Popiel, Irena Kozera, także ja i inni artyści odczuwaliśmy różnice, jakie dzieliły nas od

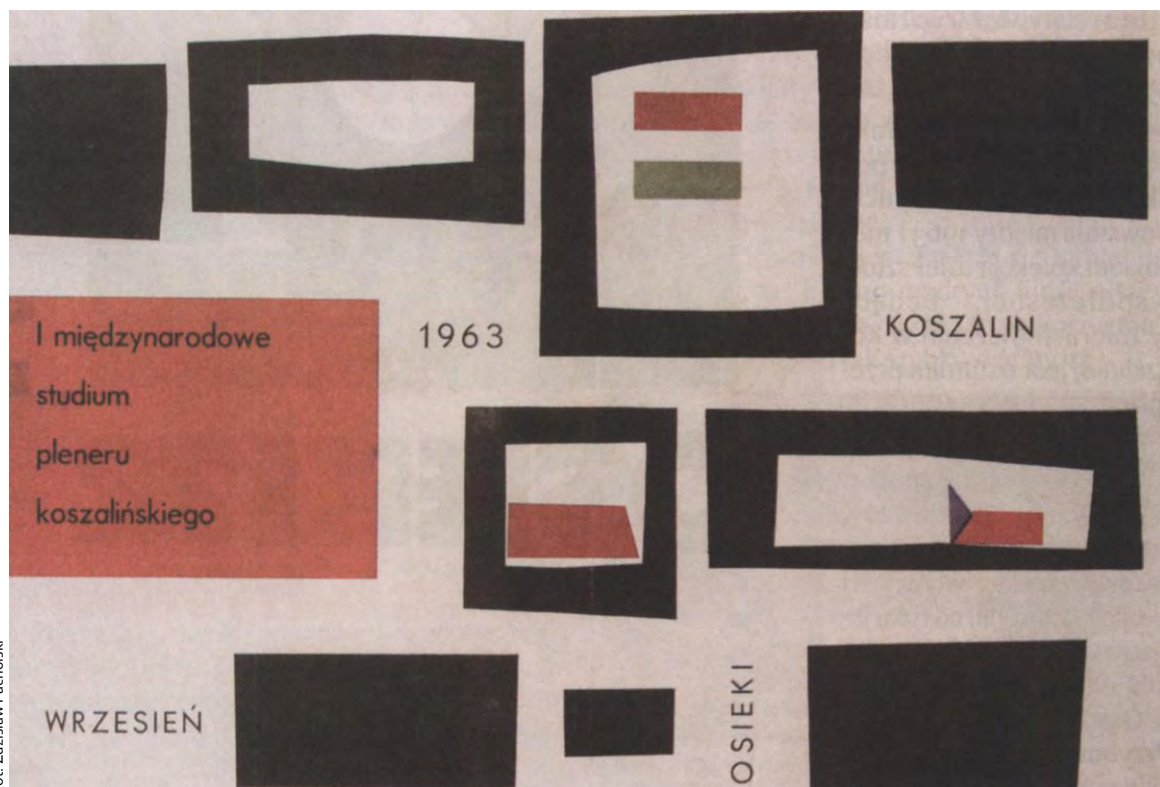
Włoch czy Francji. Ja sam wielokrotnie spędzałem po pół roku we Włoszech. Po powrocie do Koszalina widzieliśmy całą miałość prowincji. W ówczesnej, skutej lodem ideologicznym rzeczywistości trudno było sobie wyobrazić normalne funkcjonowanie artystów czy filozofów. Osieki były miejscem na tyle izolowanym - a przez to bezpiecznym z punktu widzenia władzy - że możliwe się okazało zaistnienie marginesu wolności intelektualnej, o którą nam chodziło. Nigdy jednak nie obywało się bez trudności ze strony sterujących państwem.

Później rzecz przybrała w kraju charakter epidemiczny - w latach 60. i 70. w Polsce odbywało się około 600 plenerów i plenerków. Żaden z nich jednak nie odegrał roli takiej, jak Osieki.

- **Czy, gdyby nie stan wojenny, „Osieki” przetrwałyby do dziś, zachowując swoją rangę?**

- Myślę, że nie. Każda formuła organizacyjna jest ograniczona.

W Polsce w latach 20. i 30. XX wieku bardzo



Fot. Zdzisław Pacholski

silnie zaistniała awangarda w sztuce, jako przeciwstawienie wobec akademizmu i pozostałości po fin de siècle'u. To była artystyczna formacja ponad rządowa, ponad ustrojowa. Artystami nie są ci, którzy należą do twórczych związków bądź są nominowani, ale ci, którzy stają w awangardzie.

Po impresjonistach sztuka przestała interesować się rzeczywistością zewnętrzną obrazując ją, a zaczęła badać samą siebie. Przyspieszenie procesów poznawczych sprawiło, że i ten obszar poszukiwań się wyczerpał. Wszystko już było! Dziś sztuka się skomercjalizowała: mamy do czynienia z jednej strony z rodzajem pamiętkarstwa, z drugiej - obrazoburstwem. Sztuka chce sprawiać przyjemność, dogadzać. Albo szokować, jak preparowanie ludzkich zwłok, na co zresztą znalazło się przyzwolenie społeczne wśród tych, którzy przy tej okazji chcieli zdobyć zatrudnienie i środki do życia. Wobec takiego relatywizmu wartości awangarda straciła rację bytu.

Z końcem Osiek w roku 1981 roku skończyła się polska awangarda w sztuce. Powstała między 1963 i 1981 rokiem kolekcja dzieł sztuki współczesnej, będąca w zbiorach Muzeum w Koszalinie, jest ostatnim przejawem działania awangardy polskiej.

Oba te zjawiska: spotkania artystów, naukowców i teoretyków sztuki, jako wyraz intelektualnej aktywności skoncentrowanej co roku jesienią w Osiekach (letnia stolica sztuki polskiej - jak o Osiekach mówił **Julian Przyboś**), oraz kolekcja, jako ślad uczestniczenia w awan-

gardzie światowej końca XX wieku i dokument problematyki, którą artyści zgłębiali - to fenomen czasu w obrębie kultury polskiej. Sprawą ważną jest obecnie umiejętne wykorzystanie tych wartości, również w procesach edukacyjnych.

Osobną zupełnie sprawą jest kategoryzacja etyczna dowiezywania się do „Osiek” obecnie istniejących poczynąń organizacyjnych. Oceny w tej kwestii zależne są od naszej wrażliwości i zakresu rozumienia własności praw autorskich. W moim przekonaniu „Osieki” jako zespół artefaktów mają swój początek i koniec, wyznaczone datami 1963-1981.



Fot. Zdzisław Pacholski

„Kopyrajt” dla spotkań

Na moje szczęście, żyjąc w Koszalinie w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych miałem możliwość organizowania plenerów jako tzw. komisarz artystyczny - w ramach Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (kilka plenerów ceramicznych) oraz w ramach Związku Polskich Artystów Plastyków (warsztaty w Ustce) i jako współkomisarz i uczestnik Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

Oczywiście, idea spotkań była zupełnie inna niż plenerów ceramicznych i patrząc z dzisiejszego dystansu uważam, że nazwa „Plenery Osieckie”, spotykana w różnych miejscach, jest zupełnie nieadekwatna do tego, co powinno się rozumieć pod tytułem Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki. Co roku było inne zawołanie, inne hasło, lecz było ono punktem wyjścia bardziej do rozważań i dyskusji, niż do namalowania obrazu „na temat”. Oczywiście, powstawały obrazy i obiekty. Często ze względu na swoich autorów bardzo znaczące. Dały one początek sporym zbiorom sztuki współczesnej w Koszalinie, gromadzącym bardzo ważne nazwiska związane z polską sztuką.

Równie ważna, a może najważniejsza w tamtym czasie była atmosfera intelektualna towarzysząca „Osiekom” oraz udział znanych autorów. Wśród nich byli: prof. **Bohdan Sucho-dolski**, prof. **Stanisław Fijałkowski**, **Artur Sandauer** i wielu innych znanych naukowców oraz postaci charakterystycznych dla sztuki ówczesnej, jak: **Jerzy Bereś**, **Andrzej Partum** czy **Józef Robakowski**. Więcej w tym względzie mogłaby napisać **Walentyna Orłowska** jako historyk sztuki od lat „przypisana” do Spotkań w Osiekach.

Nie można również pominąć „anegdotycznej” strony spotkań: sporo było sytuacji, w których ujawniała się lotność umysłów, elokwencja oraz poczucie humoru uczestników. Myślę, że uzbie-

rałoby się tego na wcale pokazać publikację. Wspominam Osieki jako przygodę intelektualną, jako spotkanie z mądrymi ludźmi, możliwość usłyszenia ich na żywo. Określaliśmy wtedy pobyt w Osiekach jako „ładowanie akumulatorów”. Nigdy później nie udało mi się uczestniczyć w tego typu zdarzeniach.

Nie wiem jak jest teraz z Osiekami, lecz jeśli są jednym z wielu lokalnych miejsc, gdzie się tylko produkuje obrazy olejne lub temperowe, to działania te winno się nazywać „plener malarzski” po prostu. Sądzę, że nazwa spotkania winna mieć swój „kopyrajt” tak, by nikt nie do-wartościowywał się historią tego miejsca.

Dzisiaj rzadkością są osobiste kontakty ludzi, jeszcze radsze - bezpośrednie rozmowy o kulturze. Kontakty komórkowe, bądź internetowe wymagają procedur, które eliminują emocje, dygresje, refleksje. Kulturę tworzą nie tylko nadawca - przekaz - odbiorca, lecz przede wszystkim to, co dookoła tego się dzieje, co temu towarzyszy, cały kontekst czasu i miejsca. Nie tylko komunikat - obraz, lecz okoliczności temu towarzyszące. Sądzę, że kontynuowanie idei spotkań, jako kontekstu sztuki, miejsca wymiany myśli między ludźmi kultury i nauki jest konieczne i najważniejsze.

Moim marzeniem jest znaleźć się tam choć raz i posłuchać bardzo mądrych ludzi, a tacy naprawdę jeszcze żyją i trzeba to wykorzystać.

Śpieszmy się, bo tak szybko odchodzą...



Osieki 1974 z prawej: Paweł Niedzielski - komisarz pleneru

Co sędzę o obecnych plenerach w Osiekach

Moje spotkania z Osiekami zaczęły się w roku 1970, kiedy służyłem pomocą techniczną przy organizacji pleneru, a skończyły się w roku 1980, kiedy byłem jego współkomisarzem wraz z **Andrzejem Ciesielskim** i **Józefem Robakowskim**.

Przez te 10 lat osiem razy byłem uczestnikiem plenerów osieckich. Oczywiście, musiały one odbić swoje piętno, zarówno w sposobie myślenia o sztuce jak i na mojej pracy twórczej.

Od roku 1970 po dzień dzisiejszy, byłem organizatorem lub współorganizatorem bardzo wielu plenerów o różnym charakterze artystycznym i programowym, z udziałem zarówno bardzo młodych jak i starszych, doświadczonych artystów. Tak więc myślę, że mogę coś powiedzieć na temat plenerów w Polsce.

Ktoś, kiedyś spytał mnie, co sędzę o obecnych Osiekach - mając na myśli plenery osieckie po roku 1990, na których byłem dwa razy. **Jedyną rzeczą, która łączy te dwa wydarzenia artystyczne, to tylko bardzo urokliwe miejsce,** które teraz jest bardzo nowoczesne i wygodne (ale bez „KOSZMARKA”...).

Obecny plener w Osiekach jest jednym z setek plenerów w Polsce, niewyróżniającym się niczym, no, może tym, że uczestniczy w nim nieproporcjonalnie duża grupa gości zagranicznych, zresztą zupełnie przypadkowych.

Czy można powrócić do modelu dawnych Osiek? Zmieniło się wszystko. Ustrój, finanse, ZPAR sztuka, układy międzyludzkie i wreszcie - technicznie - same Osieki.

Dawne plenery osieckie mogły przetrwać aż

19 lat tylko dlatego, że ówczesne władze prawie nie wtrącały się w artystyczny profil pleneru, traktując go jako wentyl bezpieczeństwa oraz imprezę na pokaz, przy tym szczerze go finansując. Obecnie musiałby się zmienić sposób i zasady finansowania, tak prywatnego jak i państwowego. Bo bez poparcia finansowego i protektoratu moralnego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego ten maleńki fragment naszej rodzimej kultury, jakim są plenery osieckie, nie rozwinie się prawidłowo i nie przysporzy blasku naszemu regionowi.

Założenia artystyczne tych historycznych plenerów były aktualne przez 19 lat. Idee zawarte w manifestach plenerów wypełniły się i wybrzmiały do końca. Rezultatem jest wspaniała kolekcja sztuki współczesnej, zdeponowana w Muzeum w Koszalinie.

Nowe, twórcze oblicze Osiek jest możliwe tylko pod warunkiem ścisłej współpracy władz miasta, sponsorów, środowiska plastycznego oraz nowego zdefiniowania założeń twórczych i programowych.

Bardzo bogate zbiory osieckie, które moim zdaniem nie są w pełni wykorzystane edukacyjnie na terenie Polski, mogłyby się stać podstawą do moralnej kontynuacji dawnych plenerów osieckich.

Kto powiedział, że plener ten musi odbywać się w Osiekach?

Tradycja to nie tylko miejsce:

To idea nowej sztuki.

To nowe spojrzenie na sztukę.

To nowe myślenie o sztuce.



Fot. Archiwum

Tadeusz Kantor w trakcie przygotowania „Panoramicznego Happeningu Morskiego” Osieki 1967 r.

Marcin Szeląg

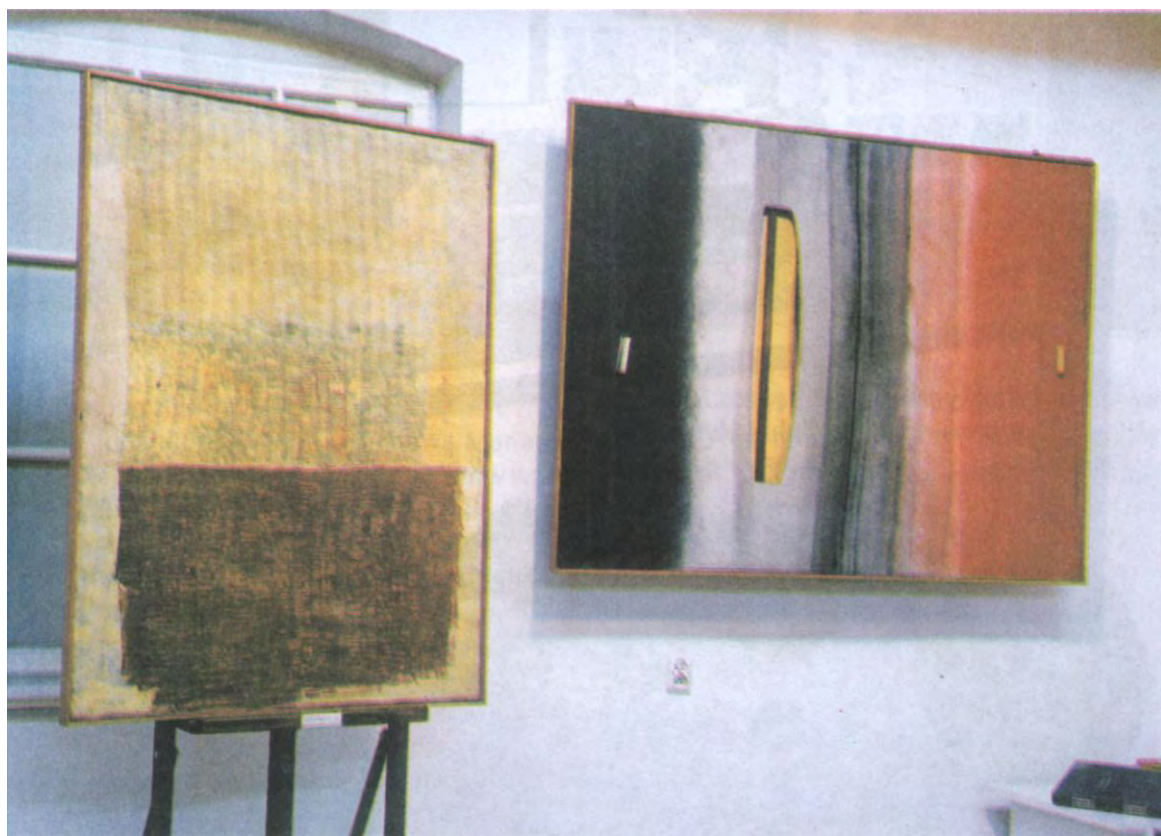
Kolekcja „osiecka”

- nie do przecenienia!

Kolekcja sztuki współczesnej w Muzeum w Koszalinie należy do jednych z najważniejszych zbiorów sztuki polskiej drugiej połowy XX wieku. O jej wyjątkowości na mapie zbiorów publicznych decyduje nie tylko fakt jej oryginalnej zawartości, na którą składają się prace kanonicznych dla powojennych dziejów sztuki polskiej artystów, jak: **Jerzy Bereś, Henryk Berlew, Marian Bogusz, Andrzej Dłużniewski, Jan Dobkowski, Tadeusz Kantor, Jerzy Fedorowicz, Stanisław Fijałkowski, Natalia Lach-Lachowicz, Alfred Lenica, Maria Łunkiewicz-Rogoyska, Adam Marczyński, Andrzej Par-tum, Maria Pinińska-Bereś, Józef Robakow-**

ski, Erna Rosenstein, Jerzy Rosołowicz, Kaje-tan, Sosnowski, Henryk Stażewski, Ryszard Winiarski. Ich twórczość omawiana jest w każdej publikacji poświęconej polskiej sztuce współczesnej, w Koszalinie reprezentowani są natomiast dziełami istotnymi i nieprzypadkowymi.

Fenomenem kolekcji, wyjątkowym w skali ogólnopolskiej, jest również jej trzon złożony z prac powstałych podczas plenerów w Osiekach. Kolekcja, na którą składają się przecież nie tylko dzieła sztuki, ale również pokaźna dokumentacja, tworzy więc niepowtarzalny zapis materialny jednej z najważniejszych imprez cyklicznych w powojennej Polsce. Sama idea powołania zbioru



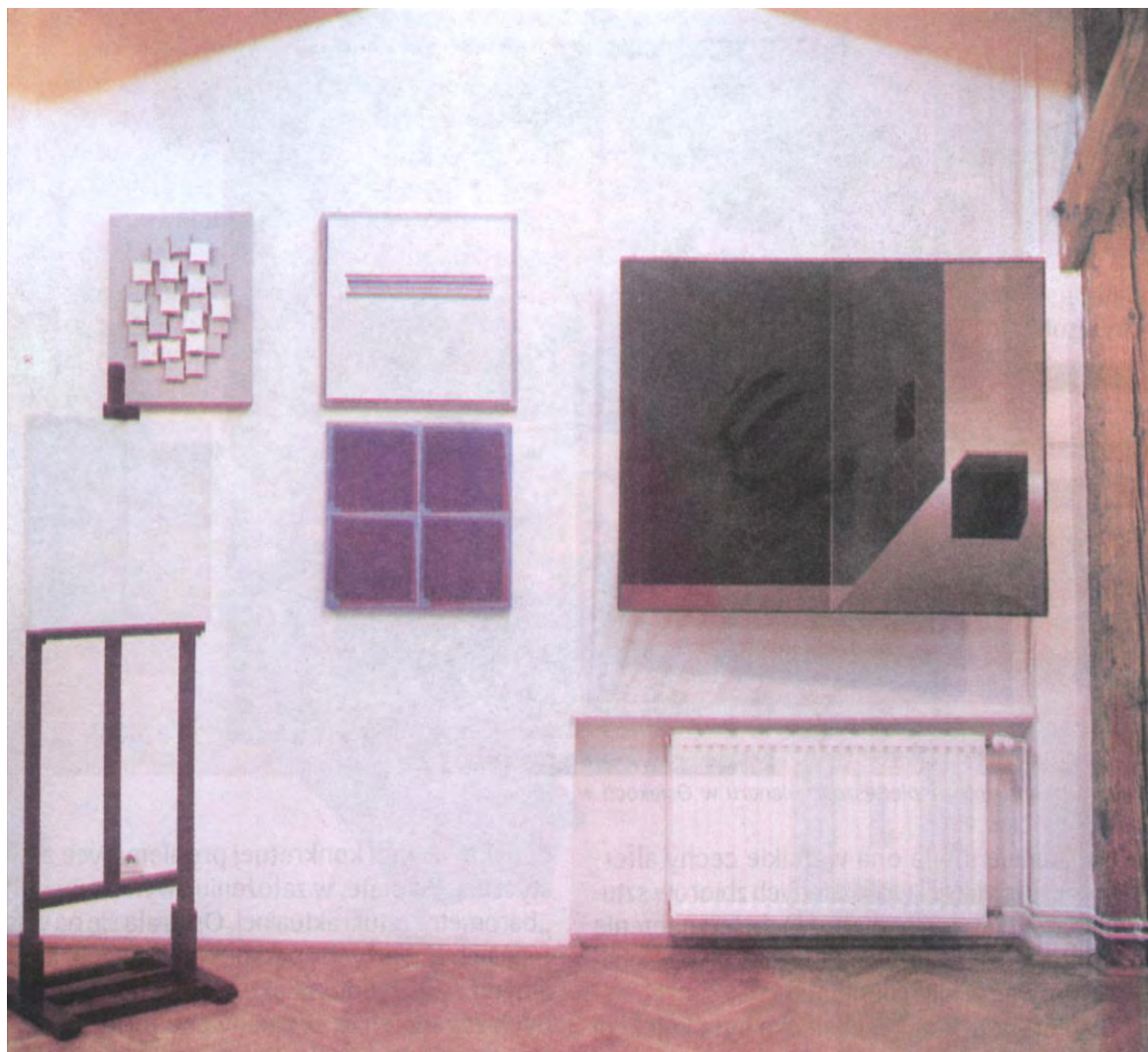
Prace Mariana Bogusza

Fot. Ilona Łukjanuk



Fot. Ilona Tułganiuk

Fragment wystawy „Osieki - dokumenta” w Muzeum w Koszalinie 1993 r. „Taczki wolności” Jerzego Beresia.



Fot. Ilona Łukjanuk

Prace Henryka Stażewskiego

rów historycznie miała też bardzo doniosłe znaczenie. Idea ta, związana z inicjatywą Mariana Bogusza, który przekazał fragment zbiorów warszawskiej galerii „Krzywe Koło” z myślą o powołaniu w Koszalinie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, z jednej strony przywoływała chlubne tradycje okresu dwudziestolecia międzywojennego, kiedy to **Władysław Strzemiński** przekazał muzeum łódzkiemu kolekcję grupy a.r., tworząc tym samym jeden z najwcześniejszych zbiorów muzealnych sztuki awangardowej na świecie. Z drugiej stanowiła swoisty wyraz niezgody na organizację życia artystycznego w PRL, będąc przykładem inicjatywy oddolnej, wykraczającej

poza ówczesną logikę i praktykę scentralizowanej polityki kulturalnej komunistycznej Polski.



Fot. Archiwum

Jerzy Fedorowicz w Osiekach w 1964 r.



Praca Alfreda Lenicy z pierwszego pleneru w Osiekach w 1963 r.

W tym sensie miała ona wszelkie cechy alternatywnej propozycji wobec innych zbiorów sztuki najnowszej w polskich muzeach. Jej znaczenie historyczne jest więc wyjątkowe. Można je scharakteryzować w kilku punktach.

Po pierwsze, kolekcja osiecka była kolekcją powstającą jako skutek wyborów kuratorów muzealnych, lecz stanowiła kreację artystów. Po drugie, przez fakt, że w początkowej fazie składała się wyłącznie z darów, wyposażono ją w atrybut zbiorów społecznych. Po trzecie, niezależność kolekcji dawała jej jednocześnie ciekawy wymiar w realiach polskiego kolekcjonerstwa publicznego okresu PRL. Odchodziła ona od koncentracji na lokalnym środowisku artystycznym (związanej z zasadami organizacji życia artystycznego w PRL), poprzez założenie oparcia zbiorów na twórczości uczestników plenerów, na które zapraszano artystów z całej Polski. Po czwarte, kolekcja sztuki, nie zaś encyklopedyczny zespół nazwisk, ponieważ złożyły się na nią prace pochodzące z kolejnych plenerów,

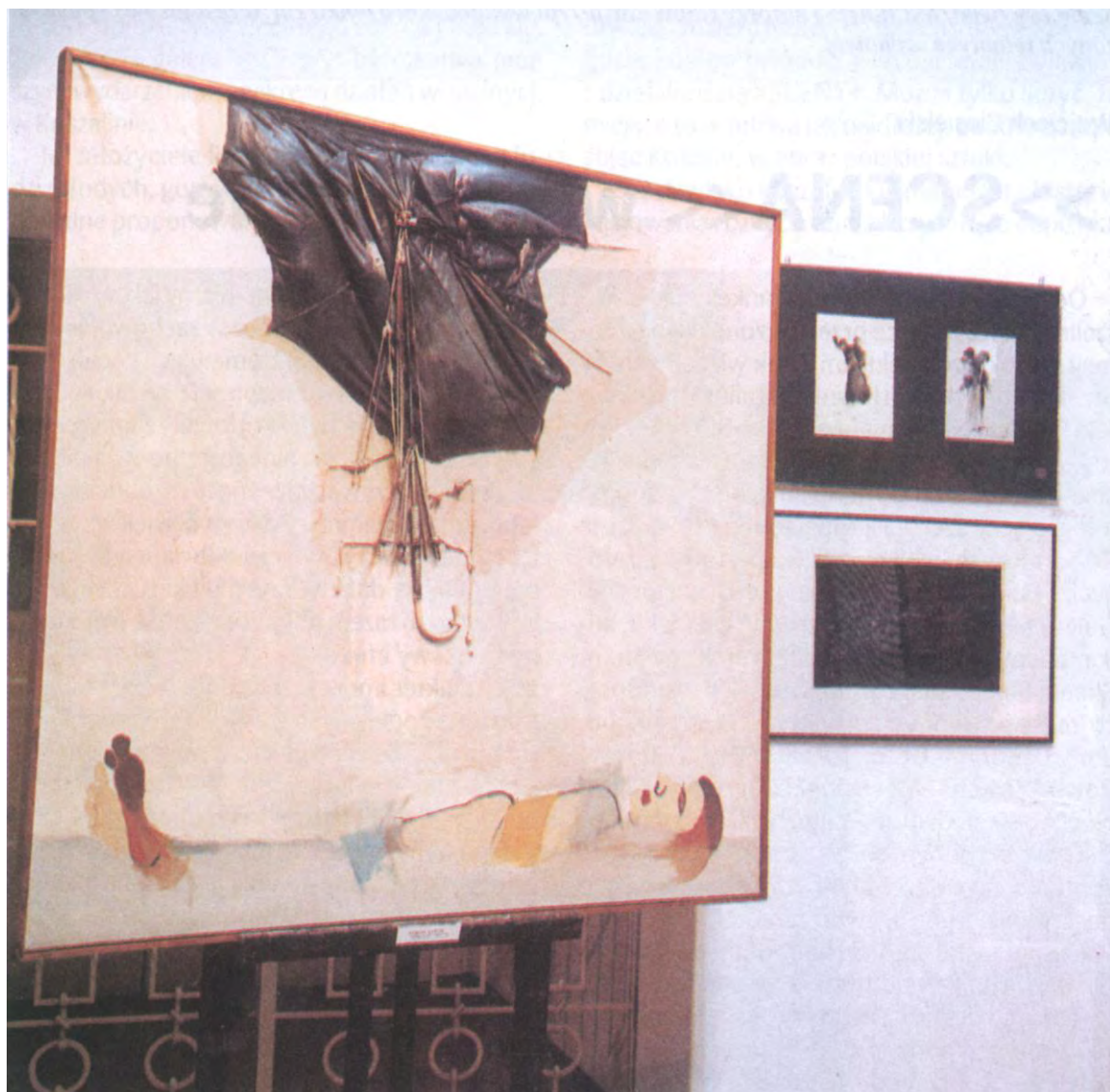
dedykowanych konkretnej problematyce artystycznej. Po piąte, w założeniu swym stanowiła „barometr” sztuki aktualnej. Opierała się na wartościach otwartych i perspektywicznych, aktualnych ze względu na aktualność podejmowanych zagadnień oraz stosowane formuły artystycznych wypowiedzi. Po szóste, kolekcja, dzięki swej specyficznej funkcji dokumentacyjnej została wyposażona w te materialne ślady sztuki współczesnej, które wymykały się innym instytucjom, a które decydowały o charakterze spotkań w Osiekach, zwłaszcza te, które wychodziły poza tradycyjne pojęcie dzieła sztuki. Pojawiały się tu więc realizacje, jakich próżno szukać w innych kolekcjach muzealnych w Polsce - przede wszystkim sztuka tworzona w klimacie doświadczeń konceptualizmu.

Myśląc o kolekcji sztuki współczesnej w Muzeum w Koszalinie i podejmując wobec niej decyzje ważne na jej przyszłość, warto więc zwrócić uwagę na wspomniane przeze mnie charakterystyczne dla niej cechy. One bowiem

świadczą o jej wyjątkowym znaczeniu artystycznym i historycznym. Pozwalają porównać je ze zbiorami takich instytucji, jak Muzeum Sztuki w Łodzi czy Galeria 72 w Chełmie Lubelskim. W pejzażu zbiorów publicznych powojennej Polski wyróżniają się one ze względu na towarzyszące im powstaniu formuły kolekcjonerskie i sztukę, jaką dzięki temu udało się w nich zgromadzić.

Nie ulega wątpliwości, że zbiory sztuki współczesnej w Muzeum w Koszalinie wykraczają poza lokalny charakter instytucji, w której się znaj-

dują. Nadają jej rangę ogólnopolską, sytuując ją w tym zakresie w rzędzie najważniejszych muzeów w Polsce. Warto o tym pamiętać i stale podkreślać, zwłaszcza dzisiaj, gdy zagadnienia kolekcjonowania sztuki współczesnej i budowa muzeum sztuki współczesnej stanowią gorący temat debat o perspektywach kultury i sztuki polskiej. Nie można dopuścić do tego, aby w perspektywie tej zabrakło właściwego miejsca dla zbiorów sztuki współczesnej Muzeum w Koszalinie.



Prace Tadeusza Kantora

Fot. Ilona Łukajniuk

Skene – w staroż. teatrze gr. - drewniany barak wzniesiony (z inicjatywy Ajschylosa, ok. 465 r. p.n.e.) na stycznej orchestry, po stronie przeciwległej do theatronu, jako przebieralnia dla aktorów; jego frontową ścianę wykorzystano jako tło dla akcji dramatu (pałac, świątynia) i zaopatrzone w troje drzwi, którymi aktorzy wchodzili na proskenion, odpowiednik dzisiejszej sceny.

Demoscena - potocznie tym określeniem nazywa się nieformalne zrzeszenie twórców (subkultura użytkowników komputerów) zajmujących się tworzeniem tzw. dem. Początki demosceny sięgają początków lat osiemdziesiątych, kiedy to prężnie działała tzw. crackscena. Crackerzy <<http://pl.wikipedia.org/wiki/Cracker>> dołączali najczęściej do złamanych przez siebie programów tzw. intra. Z czasem intra ewoluowały: coraz ważniejsza stawała się ich funkcja estetyczna, coraz częściej kładziono nacisk na wykorzystywanie coraz to nowych efektów. Wraz z intrami ewoluowała też część cracksceny, przekształcając się w demoscenę. Coraz bardziej skomplikowane dema wymusiły łączenie się scenowców w grupy, gdzie każdy z członków miał jakąś specjalizację: kod, grafika, muzyka, design. Warto dodać, że demoscenę tworzą nie tylko programiści, ale także muzycy, graficy, twórcy ASCII-Artu <<http://pl.wikipedia.org/wiki/ASCII-Art>> i autorzy zinów <[http://pl.wikipedia.org/wiki/Zin_\(czasopismo\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Zin_(czasopismo))> poświęconych tematyce scenowej.

Wojciech Ciesielski

>>SCENA<< w Koszalinie

Od października 2005 roku funkcjonuje w Koszalinie nowe miejsce przeznaczone dla prezentacji szerokiego spektrum sztuk wizualnych. W przestrzeni byłej kotłowni Koszalińskiej Biblioteki Publicznej zaistniała galeria >SCENA<. Jest to kolejna już próba zorganizowania w tym mieście galerii o szerszym niż lokalne znaczeniu i integrującej szerszą grupę ludzi. Prowadzi ją **Robert Knuth**, malarz, muzyk, performer, założyciel Paul Pozozza Museum w Düsseldorfie, Galerii Delikatesy Avantgarde w Gdańsku, autor wielu audiowizualnych projektów m.in. Skann, Kain i Abel, Lazur Excess. Do współpracy zaprosił młodych artystów z grupy „Kabuum” (**Andrzej Golc**, **Tomasz Czaja**, **Daniel Pawlak**, **Michał Meresiński** i **Grzegorz Ciemciach**) oraz studentów Politechniki Koszalińskiej.

Otwarcie odbyło się 21 X 2005 roku i od razu spotkało się z ogromnym odzewem, przybyło bardzo wielu gości, zwłaszcza ludzi młodych. Pokazany został autorski film, który realizowany był w czasie przygotowania galerii do użytku. Na różnych etapach sprzątania, wynoszenia gruzu i adaptacji pomieszczeń pojawiały się sytuacje i gesty, przychodzili goście. Wszystko to zostało skrupulatnie zarejestrowane kamerą.

Powstał film, równie spontaniczny jak zarejestrowane akcje i performances, zachowujący ich chronologiczny układ. Dominującą cechą realizacji wydaje się być inspiracja wynikająca ze specyfiki wnętrza byłej kotłowni - zapuszczonej i wymagającej generalnego remontu hali pod biblioteką, przywodzącej na myśl bunkier, halę fabryczną, kazamaty. Swój wydźwięk w realizacjach odnalazła również historia usytuowania biblioteki na dawnym niemieckim cmentarzu. Wszystko to razem połączone dało bardzo mocny i ciekawy efekt.

Charakter improwizacji podkreślała muzyka **Mazzolla** podkładana „na żywo”, reagująca z obrazami na ekranie, budująca dramatyczne napięcie, dopowiadająca i dopełniająca. Notabene po oficjalnym pokazie i po krótkiej przerwie pokazano film jeszcze raz, muzyka została zagrana na nowo. Nastąpiła ponownie jej pełna identyfikacja z obrazem, zostały przemieszczone akcenty, wydźwięk uległ zmianie w stosunku do pierwszej projekcji. Tym samym sprawiła, że dwa razy został pokazany zupełnie inny film. Zaproszonego specjalnie na ten pokaz Mazzollowi, artyście o europejskiej renomie, znanemu między innymi w dźwiękowych performances realizowanych

razem z Robertem Knuthem, towarzyszyli młodzi ludzie związani ze >SCENĄ<, tworząc razem harmonijny układ.

W ten sposób zainicjowane miejsce od razu wpisało się jako ważny i wartościowy element koszalińskiej kultury. Ma nie tylko szanse zaistnieć w lokalnym odbiorze, odpowiadając na ogromne zapotrzebowanie tego typu sytuacji, co właściwie już się stało, ale także nawiązać szerokie kontakty z resztą kraju, włączając się w główny nurt wydarzeń artystycznych. Jest to pierwsza po kilkuletnim okresie zastoju taka inicjatywa, tym bardziej przez to wartościowa i warta opieki. W skali całego roku wydaje się, że otwarcie galerii >SCENA< było najważniejszym wydarzeniem z zakresu działań wizualnych w Koszalinie.

Jej założyciele liczą przede wszystkim na ludzi młodych, gotowych się zaangażować w różnorodne proponowane akcje jak pokazy anima-

cji, warsztaty sitodruku, pokazy performance czy monodramy. Zdobyciu nowych współpracowników służą „castingi”. Słowo to zostaje użyte przez autorów >SCENY< w przewrotny sposób. Przychodzący młodzi ludzie, oczywiście, mogą zaprezentować swoje umiejętności (w każdej sferze aktywności twórczej), nie rywalizując jednak o żadną konkretną nagrodę czy stanowisko, ale w zamian dostając możliwość pokazania się właśnie. Zaplanowane trzy spotkania cieszyły się dość dużym zainteresowaniem ujawniając tym samym ogromne zapotrzebowanie na tego typu miejsca i działania. Wypowiedzi o podobnym wydźwięku znaleźć można na forach internetowych, gdzie komentowane są wydarzenia związane z działalnością >SCENY<. Można tylko liczyć, że miejsce to przetrwa jak najdłużej, ponownie wpisując Koszalin w obraz polskiej sztuki.

Środowisko koszalińskie ma bogatą historię inicjowania różnych działań czy miejsc odpowia-



Kierujący Galerią „SCENA” Robert Knuth i współpracujący z nim studenci wzornictwa.

dających na najnowsze trendy i dokonania w sztuce. Niestety, istnieje również bogata tradycja zaprzepaszczania szans związanych z takimi instytucjami. Zawsze bowiem owe miejsca czy imprezy organizowane były przez jednostki o silnych indywidualnych charakterach, które częstokroć mogły liczyć na oparcie jedynie w swoim uporze i poczuciu pewnej misji oraz na przyjaźń bądź życzliwość podobnych im osób.

W ten trudny układ spróbował wpisać się Robert Knuth, który jako jedyny zgłosił się do konkursu na dyrektora nowej galerii w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, artyści z „Kabuum” oraz wszyscy z galerią współpracujący. Zaproponowali oni jednak sytuację odmienną od tradycyjnie rozumianej galerii. >SCENA< według zamierzeń jej autorów jest przede wszystkim miejscem spotkań jej twórców, zapraszanych gości i widzów, miejscem dialogu i dyskusji. - *To będzie żywe miejsce prób, działań intuicyjnych, czucia sztuki, a nie jej wyjaśniania. Rodzaj forum piszących, filmujących, fotografujących, tańczących, występującego przeciw konwenansom i konwencjom* - mówi Robert Knuth. Nasuwają się tutaj skojarzenia z modelem zaproponowanym przez Jerzego Ludwińskiego - muzeum gry. Wymyślona przez niego przestrzeń obejmować miała różnorodne pola działalności twórczej, stymulując nowe zjawiska i postawy poprzez ich zderzenie ze sobą, wywołując ich dialog.

Można zrozumieć zniknięcie z obrazu polskiej sztuki osieckich Spotkań Artystów, Teoretyków i Naukowców, które kształtowały obraz koszalińskiej sztuki w czasach PRL-u. Był to naturalny proces związany z jednej strony z przemianami ustrojowymi, a z drugiej z wyczerpaniem się pewnej formuły, na której opierały się plenery. Jednak odpowiedź na pytanie czemu zniknęły z kulturalnej przestrzeni Koszalina galeria „Moje Archiwum” czy „Europejskie Spotkania Artystów” w Bornem Sulinowie jest zdecydowanie trudniejsza i podobnie jak zamiana koszalińskiego BWA na „Dom Sztuki i Architektury”, który także nie miał szans funkcjonować zbyt długo, wskazuje na pewien schemat, niekorzystny dla obrazu miasta, jako całości. Zapotrzebowanie na

tego typu miejsca jednak nadal istniało, czego wyrazem stało się swoiste „zejście do podziemi”, a mianowicie wkroczenie sztuki do barów i pubów koszalińskich, takich jak „Kawiarnia Galeria Box” czy „Centrala Artystyczna”. Nie jest to jednak dobra sytuacja i dopuszczalna jedynie jako element towarzyszący, a nie główny nurt. Tym bardziej, że nawet ona nie zapewnia takim miejscom przetrwania, jak stało się to w przypadku „KGB”.

Nasi za granicą

„... I TAK MOI KOCHANI ZALEGŁEM WASZYM SERCAMI I BŁOGO GRZMIĄ SŁOWA PAMIĘCI. WDZIĘCZNY JESTEM, BO PŁYNĄ Z SERC MI BLISKICH. O ILE ZUBORZAŁEM TO Z BRAKU UŚCISKÓW WASZYCH DŁONI. KRAŻĘ SĘPIĄ MYŚLĄ Z POD ŻEBER UCZUĆ UKŁADAJĄC BARWY SKIBAMI MIELESZA, A MIMO TO TLI SIĘ SKRAWEK STRZĘPU WACIAKA I ULECIAŁEM NA RESZTKACH LOTEK W ZAPOMNIENIE...” Berlin, 13.V.1985 (pisownia oryginalna).

Tak pisał do nas ponad 20 lat temu, zza żelaznej kurtyny wówczas jeszcze, nasz wspaniały, „nasz” - wszak przemieszkał 14 lat w Koszalinie, MELCHIOR ZAPOLNIK. Malarz i rzeźbiarz, niezależny i niepokorny, nie znalazłszy aprobaty u jedyne go wtedy liczącego się mecenasa, w 1979 roku wyjechał do Berlina. Wszystkie powstałe od tamtej pory dzieła pozostają obecnie u bliżej nieznan ych właścicieli. W Koszalinie ostały się rzeźby do zliczenia na palcach jednej ręki oraz nieliczne rozproszone obrazy, kilka w posiadaniu Muzeum. Niewiele to, by pamięć o niezwykłym twórcy trwała i przetrwała. Jego mocne słowa są równie mocne jak jego dzieła. Oby były ponadczasowe.

Ironizując, można by uznać, że Melchior Zapolnik w pewnym sensie zrobił karierę za granicą sprzedając się, pomimo ogromnej konkurencji bardzo dobrze, bo na pniu.

A jaka jest i była kondycja koszalińskich twórców w pięcioleciu 2000-2005 w sensie ich obecności poza granicami Polski?

ANDRZEJ CIESIELSKI, w Koszalinie od 1971, laureat nagrody Polcul Foundation w Sydney, przez wiele lat prowadził swoje unikatowe MOJE ARCHIWUM, które stało się ewenementem na skalę krajową. W 2000 roku zaproszony został, w doborowym światowym towarzystwie, do udziału w VIII Edycji KONSTRUKCJA w PROCESIE: „Ta ziemia jest kwiatem”. Ekspozycja miała miejsce w słynnym Czerwonym Spichrzu w Bydgoszczy, a uczestniczyli w niej prominentni twórcy z całego globu. Ta „encyklopedyczna” wystawa współczesnej sztuki objechała, nie

przymierzając, cały świat.

Następne, zagraniczne występy Ciesielskiego to „Energien einen Landschaft” w Kunsthalle w Rostocku w maju 2002 oraz Projekt „Paszport” - X edycja „FORUM-OST-WEST” prezentowana w Domu Kultury im. Zandersa w Bergisch Gladbach w październiku 2002.

15 października 2004 Projekt „PASZPORT” miał swoją kulminację w postaci wystawy w Parc Departemental de L'Abbaye Salle au Bucher aux Moines w Liessies we Francji.



Malarstwo i rysunek VII – Galeria Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie 2001



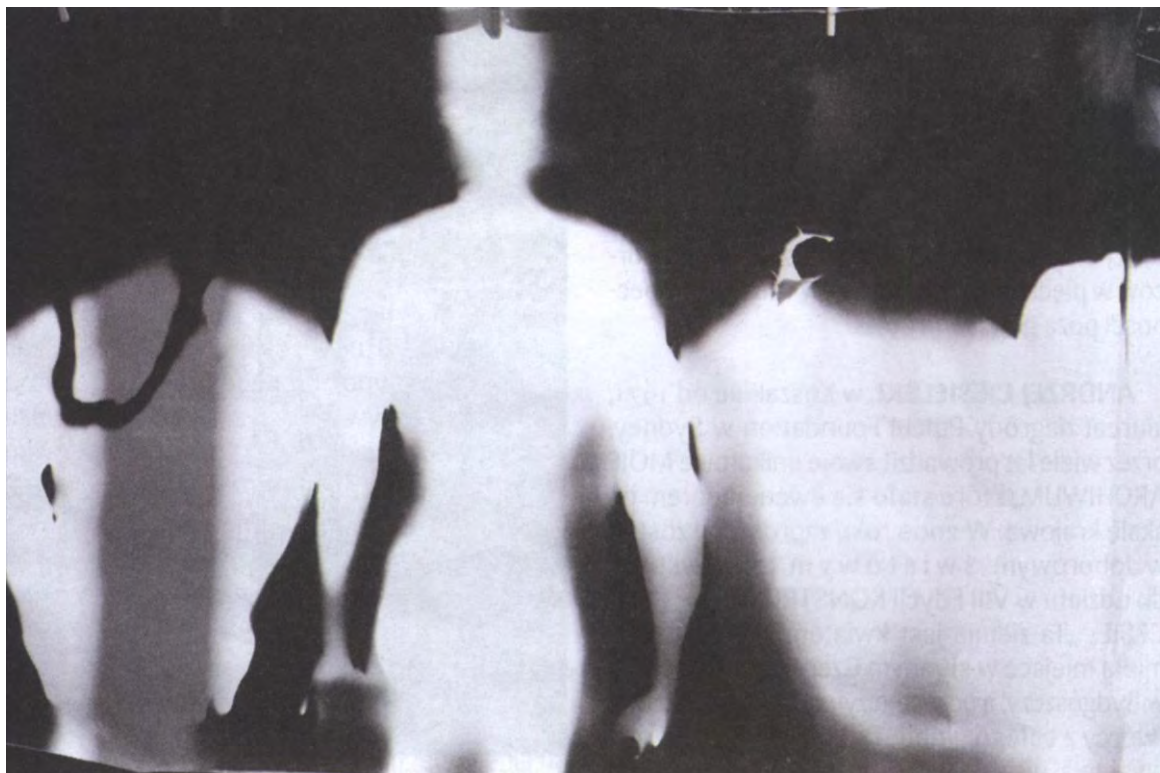
„Energie pejzażu”, Kunsthalee, Rostock 2002

Przedsięwzięcie „Paszport” przyczyniło się do powstania ponadnarodowej sieci artystów współpracujących ze sobą. Obejmuje ona twórczość około setki artystów z Polski, Niemiec, Francji i Holandii, a koncepcyjnie stanowi projekt badający zagadnienia komunikacji oraz sztuki zbiorowej.

Monumentalne instalacje Andrzeja Ciesielskiego z premedytacją i przekorą nazywane przezeń

„malarstwo i rysunek”- zatrzymują widza, każą przystanąć, by wraz z autorem udać się na poszukiwanie indywidualności ukrywającej się w tysiącach zapalek i papierowych kwadratów benedyktyńsko nanoszonych na pościeli ogromnych plansz.

ZDZISŁAW PACHOLSKI, artysta fotografik, w Koszalinie i fotografii „od zawsze”, członek



„Silent Majority” Niemcy 2004 r. – „The days after, after the days”.



Fot. Zdzisław Pacholski

„Silent Majority” BWA – Poznań 1987 r.

Związku Polskich Artystów Fotografików, uczestniczył dotychczas w licznych wystawach w kraju i za granicą, od Niemiec po Brazylię i Stany Zjednoczone.

W minionym pięcioleciu Pacholski wziął udział w następujących przedsięwzięciach: Projekt 2000, wystawa Niemcy - Holandia; Projekt „Schwarz Rot Gold” - Niemcy 1998 - 2000, uczestnictwo w wystawie „Medytacje” 2001 - prezentowanej w świątyniach Niemiec; w roku 2002 udział w wystawie THE DAYS AFTER, AFTER THE DAYS oraz w 2004 „Zu Gast” w Liesborn Abteil Museum w Niemczech.

Zupełnie szczególnym pośród powyższych przedsięwzięć było Kulturforum Rheine i związana z nim wystawa „The day after, after the days”, zaaranżowana w autentycznym „Atom bunker” oddanym we władanie artystom. Pacholski wystawił tu swoją, wykonaną onegdaj na plenerze w Turnie monumentalną „Silent majority”. Ta, z założenia socjologiczna praca komentująca sytuację społeczno-polityczną w komunistycznej Polsce, dzięki nowemu kontekstowi miejsca nabrała nowego wymiaru i przestrzeni znaczeniowej.

Artyści wciąż usiłują podejmować dialog



Fot. Zdzisław Pacholski

„Nasłuch wnętrza” Mediationkunst – Niemcy 2003 r.

z rzeczywistością, który zdaniem Pacholskiego w Polsce stracił ostatnimi laty na swojej doniosłości. Stymulujące niewątpliwie dla tego dialogu jest uczestnictwo w festiwalach sztuki poza granicami Polski; polscy artyści w nowej europejskiej ojczyźnie mogą czuć się w pełni podmiotowo, nawet jeżeli państwowy, czy też samorządowy mecenat pozostaje niedoskonały.

„forma miasta jest metaforą pamięci”

Joseph Rykwert - „How to Play the Environment Game” 1973

„ekscytująca przyszłość powinna być zakotwiczona w bezpiecznej przeszłości”

Kevin Lynch - „The Image of the City” 1960

Ryszard Nakonieczny

Architektoniczne dialogi z przeszłością

Koszalin chlubi się średniowieczną metryką, choć niektóre atuty dawnej świetności utracił już bezpowrotnie. Obecny obraz miasta jest konsekwencją zniszczeń wojennych oraz następstwem niewłaściwych decyzji administracyjnych podejmowanych w trakcie odbudowy. W celu przywrócenia pierwotnej czytelności jądra miasta kilkakrotnie przeprowadzono „chirurgiczne” cięcia i transplantacje nowej zabudowy w historycznym kontekście. Skutki tych działań ujawniły postępującą ewolucję decyzji aparatu administracyjnego wobec zarządzanej infrastruktury historycznej miasta.

Porównując działania początkowe z niedawno zakończonymi, zaobserwować można radykalną zmianę sposobu myślenia, dotyczącego metod dialogu architektury współczesnej z tradycją.

Estetyka środowiska zbudowanego wyróżnia 4 podstawowe modele takich relacji (Niezabitowski 1997), które ujmuję w następujący sposób, jako:

1. Postawę negacji, kwestionującą jakiegokolwiek pozytywne wartości historycznego środowiska zbudowanego dla przyszłości, co w konsekwencji prowadzi do jego likwidacji i wyburzania jako elementu bezwartościowego;

2. Postawę tolerancji, czyli niezależnego współistnienia dwóch odrębnych podmiotów, bez wzajemnych odniesień. Architekt, kreując współczesną zabudowę, nie wyciąga żadnych wniosków z takiego sąsiedztwa, dopuszczając wszelkie możliwe rozwiązania formalne na zasa-

dzie funkcjonowania obok siebie autonomicznych elementów przestrzennych;

3. Postawę akceptacji, z której wynika wzajemna współzależność i dopasowanie elementów nowych do już zaistniałych. Architekt, projektując obiekt, korzysta z historycznych kodów stylistycznych i strukturalno - przestrzennych w aspekcie ich zgodności z formą, funkcją i konstrukcją istniejącego systemu historycznego. Możliwe są tu takie rozwiązania jak kopia, imitacja (zapożyczanie i naśladowanie wybranych elementów krajobrazu kulturowego) czy pastisze (ironia, żart).

4. Postawę twórczej kontynuacji, opierającą się na ciągłości tradycji poprzez kreowanie za pomocą metafory, metamorfozy lub transformacji raczej pierwotnej atmosfery, niż „dosłownego powtarzania kodów czy elementów składowych” jak pisze Niezabitowski. Maria Gołaszewska stwierdza dodatkowo, iż „sztuka zużywa się, powszednie, staje się nudna, natrętna, już nieodkrywcza, gdy zastyga w określonej, stabilizującej się formie ekspresji. Następuje jakby „zmęczenie materiałowe” dzieł sztuki, a co za tym idzie zmiana mechanizmu uzyskiwania satysfakcji estetycznej, gdy stępiła się siła oddziaływania dotychczas dominujących wartości estetycznych”. Metafora może stać się tu podstawowym środkiem ekspresji i przybrać postać np.: alegorii, hiperboli czy katachrezy. Transformacja metamorficzna może dotyczyć zarówno treści i symboliki, struktury przestrzennej albo relacji między formą a jej kontekstem oraz innych jesz-

cze elementów. (Kwiatkowska, 2005).

Układ urbanistyczny Koszalina, który przetrwał zniszczenia wojenne, jest wartościowym elementem historycznym, co wydaje się bezsporne. Objęty jest ochroną konserwatorską. Zawiera w sobie relikty dawnej struktury:

- szachownicowego miasta lokowanego na prawie lubeckim w 1266 roku

- trzech przedmieść wykształconych w XVII wieku przed dawnymi, a nieistniejącymi już dziś bramami miejskimi, wraz z uzupełnieniami ich układu z XIX i XX w.

- przedmieścia fryderycjańsko-wilhelmińskiego, rozplanowanego w latach 1818-1820, z późniejszymi rozbudowami z czasów republiki weimarskiej i III Rzeszy.

W ostatnim 50-leciu organizm ten stał się poligonem doświadczalnym, na którym ujawniły się wszystkie 4 modele postaw obrazujące różne możliwości postępowania: od skrajnie likwidatorskiego do twórczego opartego na wyważonej kreacji, kontynuującej symbole i kody kontekstu historycznego.

Ad 1. Arbitralna decyzja o nie odbudowywaniu utraconych elementów tkanki urbanistycz-

nej może być przykładem arogancji wobec spuścizny historycznej, chęci odcięcia się od pruskiego dziedzictwa kulturowego i cywilizacyjnego. „Systematyczne niszczenie starej struktury, zastępowanej zabudową tymczasową i prowizoryczną, przeprowadzenie głównych tras komunikacyjnych przez środek historycznego centrum miasta kosztem jego pierwotnej zabudowy - zablokowało możliwości harmonijnego rozwoju śródmieścia, twierdzą arch. **Dariusz Herman** i arch. **Piotr Śmierzewski** z miejscowej pracowni HS99. Uwidoczniła się w ten sposób postawa negacji dawnej struktury zabudowy, którą usuwano jeszcze po 1965 roku, jak miało to miejsce z kwartałem po zachodniej stronie katedry i przed fasadą kościoła św. Józefa. Miejsca te jednak ostatnio zostały poddane rewaloryzacji i zabudowane nowymi zespołami mieszkalno-usługowymi: „Milenium” (ukończonym w 2002 r.) i „Merkury” (ukończonym w 2005 r.). Reprezentują już zupełnie inne nastawienie do środowiska otaczającego, co zostało opisane dalej.

Ad 2. Nowa doktryna realizmu socjalistycznego, nakazującą poszukiwania pierwiastków narodowych w architekturze, ujawniła się w obiek-



Fot. Zdzisław Pacholski

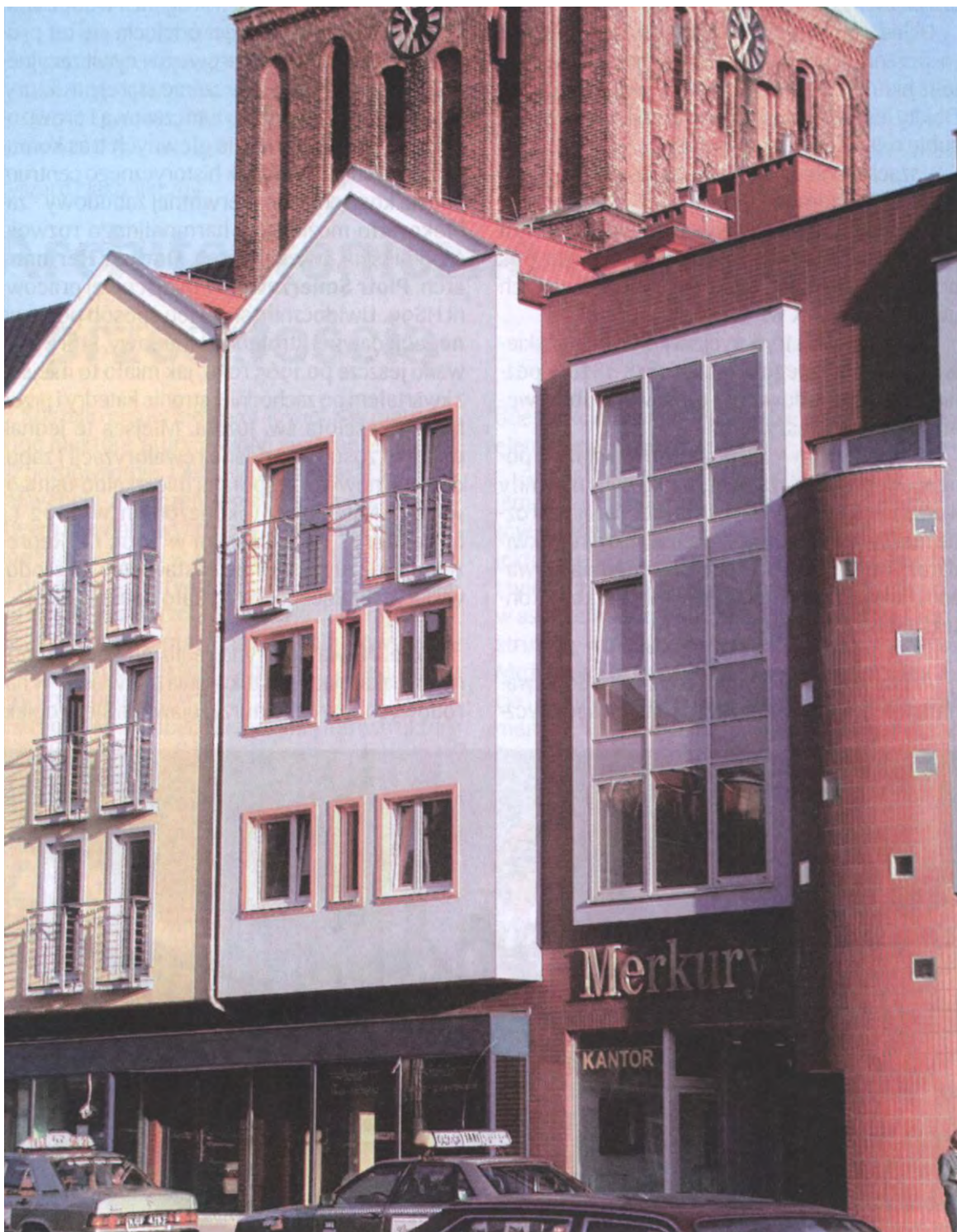
MILENIUM

OBIEKT: ZESPÓŁ MIESZKALNO - USŁUGOWY MILENIUM

LOKALIZACJA: kwartał pomiędzy ul. 1 Maja, Bolesława Krzywoustego, Biskupa Czesława Domina, Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Koszalinie

REALIZACJA: 1997 - 2002

AUTORZY: architekci Grzegorz Błaszczyk, Tomasz Samborski



Fot. Autor

MERKURY

OBIEKT: ZESPÓŁ MIESZKALNO - USŁUGOWY MERKURY

LOKALIZACJA: działka nr 341 położona przy ul. Zwycięstwa 46-50 w Koszalinie

REALIZACJA: 2003 - 2005

AUTORZY: architekci Grzegorz Błaszczyk, Tomasz Samborski

tach powstałych na reliktach zabudowy: zniszczonej skutkami wojny bądź świadomie wyburzonej po jej zakończeniu. W zabudowie nowo-projektowanej zmieniono jednak dawne gabaryty. Pierzeje Rynku podniesiono o 1 kondygnację, nie honorując przy tym dawnych podziałów własnościowych. Rozszerzono średniowiecze ulice. Przeniesiono ratusz w inne miejsce - niezgodne z tradycją. Wszystko to spowodowało zanik dawnego charakteru miasta. Powstała nowa autonomiczna jednostka przestrzenna o całkowicie odmiennej estetyce opartej po części na formach socrealistycznych tzw. kostiumu neohistorycznego, lansującego obce renesansowo-barokowe wzory „typowo” polskiej architektury, swobodnie interpretowanej, bez jakichkolwiek odniesień miejscowych. Przykładem jest zabudowa autorstwa arch. **Romualda Cerebież-Tarabickiego** przy Rynku z lat (1952-1954). Obok estetyki klasycznej istotną rolę w śródmieściu odegrał repertuar form późnomodernistycznych, odmienny od poprzedniego, który wyparł socrealistyczną stylistykę po 1955 roku. Najważniejszą rolę odgrywa w tej grupie: ratusz, ukończony w 1962 roku (arch. Władysław Michałowski) i Dom Handlowy „Saturn” z 1961 roku. Oba są interesującymi i wartościowymi przykładami nurtu rzeźbiarskiego o zabarwieniu ekspresyjno-konstrukcyjnym nie tylko dla Pomorza Zachodniego, ale i dla Polski. Ich sąsiedztwo z historycznymi obiektami takimi jak: katedra, plebania, kościół św. Józefa, cerkiew (dawna kaplica zamkowa) czy fragmenty murów obronnych odbywa się poprzez odrębne i autonomiczne współistnienie zróżnicowanych podmiotów stylistycznych na zasadzie wzajemnej **tolerancji**.

Ad 3. Postawa akceptacji historycznego dziedzictwa kulturowego rozwinęła się w architekturze, na bazie ruchów protestu i kontestacji wobec braku poszanowania środowiska człowieka przez nadmierne uproszczenia idei modernistycznych wynikające ze stosowania technologii prefabrykacji wielkopłytywowej. Rodzący się alternatywny ruch postmodernistyczny poszukujący nowego wyrazu w powrocie do klasycz-

nych i historycznych reguł budowy formy i detalu stał się podstawą zasad określających odmienne niż wcześniej relacje nowego obiektu wobec środowiska, w którym ma on zaistnieć. Taka nowa postawa uwidoczniła się w Koszalinie podczas rewitalizacji kwartałów śródmiejskich, położonych w bezpośrednim sąsiedztwie obiektów sakralnych: kościoła św. Józefa (zespół mieszkalno-usługowy „Milenium”, ukończony w 2002 roku) i katedry Niepokalanego Poczęcia NMP (zespół mieszkalno-usługowy „Merkury”, ukończony w 2005 roku). Oba autorstwa duetu arch. **Grzegorza Błaszczyka** i arch. **Tomasza Samborskiego** z Kołobrzegu. W zespole „Milenium”, na główną dominantę przestrzenną projektanci wyznaczyli neogotycki, ceglany kościół z 1869 roku, przed którym wykreowano niewielki plac. Oś kościoła stała się osią całego założenia przestrzennego, wzdłuż której rozpięto pieszyciąg komunikacyjny.

Zastosowano podział na parcele o nieco innym niż pierwotnie charakterze działek. Zróżnicowano kubatury poszczególnych obiektów, stosując wielość rozwiązań bryłowych, konstrukcyjnych, materiałowych i kolorystycznych, co wykluczyło monotonię przestrzeni, która zdaje się dominować wokół rynku. Przy ogólnie pozytywnym wyrazie całości dostrzec można jednak kontrowersyjne zjawisko, zagłuszania oryginalnych elementów miasta poprzez wielką różnorodność i wybujałość formalną zespołu. Obiekty skupiają całą uwagę na sobie.

Zastosowana ekspresja całości mogłaby być bardziej wyważona i powściągliwa, a kolorystyka w niektórych miejscach mniej intensywna.

W zespole mieszkalno-usługowym „Merkury”, katedrę obrano obiektem nie tylko dominacji wysokościowej, ale także źródłem zapożyczeń formalnych. Wydaje się, że niektóre jej elementy takie jak: ceglana struktura ściany oraz charakter ostrych trójkątnych szczytów dachów naw bocznych zostały wprzęgnięte w repertuar form nowego zespołu, szczególnie w jej najbliższym sąsiedztwie. Zespół ten w większym stopniu identyfikuje się z otoczeniem zarówno gotyckiej katedry jak i modernistycznych budynków: rzeźbiarskiego DH „Saturn” i ceramicznego banku

w głębi. Zastosowane formy są już bardziej wyważone niż ma to miejsce w kompleksie „Milenium”.

Szkoda, że autorzy stosując nowe możliwości techniczno - materiałowe, nie zwrócili uwagi na rodzime, występujące tu od średniowiecza konstrukcje ryglowe (Fachwerk), widoczne jeszcze na dawnych fotografiach miasta. Chciałoby się widzieć jeszcze więcej szlachetnych materiałów takich jak kamień, cegła, szorstki tynk, drewno, ceramika, blacha miedziana, kraty metalowe i inne. Można by w niektórych fragmentach wprowadzić więcej mikrostruktury ścian i detalu. Trafne wydaje się być nawiązanie do modernistycznych form przestrzennych od strony DH „Saturn”, ale wątpliwości budzi to, że zastosowano tu balkony w typie tzw. streamline style, które nie występują na miejscu. Są charakterystyczne przede wszystkim dla międzywojennej Gdyni, Warszawy czy Katowic. Bardziej uzasadnione byłoby zastosowanie rodzimego repertuaru form przedwojennego nurtu budownictwa modernistycznego.

Tutejszy modernizm lat 20. i 30. był bardziej powściągliwy, mocno skubizowany i niezbyt rozczłonkowany. Zaowocował znakomitymi obiektami takimi, jak: sąsiedni narożny bank (ul. Zwycięstwa 37), o licowanej cegłą elewacji, czy gmach sądu (ul. Waryńskiego 7), będący przykładem z kręgu architektury „Neues Bauen”, o tynkowanej strukturze ścian. Rodzime domy staromiejskie nie posiadały dużej ilości loggi, balkonów i tarasów. Niespójne wydaje się jednocześnie stosowanie na tym samym fragmencie zespołu dachu płaskiego w połączeniu ze spadzistym. Niewielkie uwagi krytyczne nie przesądzają jednak o dużej wartości estetycznej obu zespołów.

Ad 4. Postawę twórczej kontynuacji, jako najtrudniejszy sposób integracji z kontekstem, można uchwycić w zrealizowanym w 2001 roku budynku „Głosu Pomorza”, autorstwa koszalińskiej pracowni HS 99 (arch. Dariusz Herman i arch. Piotr Śmierzewski). Obiekt kontrastuje prostotą z sąsiedztwem zdefiniowanym silnymi dominantami: gotyckiej, ceglanej cerkwi oraz kła-

sycystycznego Pałacu Ksiąząt Pomorskich. Architektom udało się wytworzyć indywidualną formę o racjonalnym kształcie. Język estetyczny jest skromny, wręcz powściągliwy, bez nadmiernego epatowania fakturami, kolorami i różnicowaniem formy. Obiekt nie udaje minionych form architektonicznych i nie przywdziewa kostiumów stylizacji. Stara się swoim współczesnym wyglądem określonym przez odpowiednią skalę, bryłę i proporcje, nie odciągać uwagi od elementów definiujących swoje otoczenie. W szczerzy sposób prowadzi dialog z historycznym kontekstem, bez zatracenia swojej tożsamości, nie naruszając jego struktury, a wręcz przeciwnie dodając mu nowe atuty poprzez kreację placu przed kościołem, którego jednym z ościeży stara się być (oś placu jest osią kościoła). „Prostota nie oznacza tu prostactwa, lecz subtelność i wyrafinowanie”. Zdaje się, iż architekci są wierni dewizie **Ludwiga Mies van der Rohe**: „mniej znaczy więcej”.

Konkluzja.

Opisane zespoły architektoniczne na pewno wnoszą indywidualny bagaż własnych środków estetycznych i rozwiązań formalnych, wzbogacając środowisko zbudowane miasta, ale czy jednocześnie kreują wyjątkową aurę miejsca, czyli „genius locci”, pokaże w przyszłości czas. August Perret stwierdził, iż: „przywilejem architektury jest tworzenie miejsc magicznych, będących całkowicie wytworami ducha”.

Niech nie będzie już nigdy działań deprecjujących historię środowiska zbudowanego, a jedynie umiejętne poszanowanie przeszłości połączone z twórczą kreacją we wszystkich aspektach rewaloryzacji nie tylko Koszalina, ale i w każdego miejsca, które wymaga takiej interwencji. Szanujmy „dyskretny urok prowincji”, bo jest niepowtarzalny.

MUZEALNICTWO

W dniach 28 i 29 października 2005 r. odbyła się w Koszalinie międzynarodowa konferencja naukowa „Goci na Pomorzu Środkowym”, zorganizowana przez: Muzeum w Koszalinie, Instytut Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Zakład Archeologii Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego. Konferencję poświęcono pamięci przedwcześnie zmarłej mgr Krystyny Hahuły, pracownika Działu Archeologii Muzeum w Koszalinie, która rozpoczęła badania w Nowym Łowiczu w roku 1988 i prowadziła je do 2001 r.

Andrzej Kasprzak

Goci na Pomorzu Środkowym

Wybór tematu konferencji nie był przypadkowy. Od kilkunastu lat Dział Archeologii Muzeum w Koszalinie prowadzi ratownicze badania na niezwykle interesującym cmentarzysku kurhanowym w Nowym Łowiczu na Pojezierzu Drawskim. Stanowisko to związane jest z obecnością na Pomorzu ludności tzw. kultury wielbarskiej. Warto więc przyrzeć się nieco społeczności, która z tysiące lat temu zamieszkiwała Pomorze Środkowe. Okazuje się bowiem, że historia naszego regionu zaczyna się dużo, dużo wcześniej niż stosunkowo dobrze udokumentowane czasy średniowieczne.

Pojęcie „Goci” to określenie etniczne, znane z łacińskich oraz greckich przekazów pisanych. Po raz pierwszy pewne informacje o Gotach pojawiają się w „Geografii” **Strabona**. Dzieło to, powstałe w początkach I w. po Chr., wzmiankuje lud Boutonoi, który większość badaczy poprawia na Goutonoi. Z kolei **Pliniusz Starszy** wzmiankuje w „Naturalis Historiae” lud Gutonów. Praca ta opublikowana została w roku 77 po Chr., jednak informacje w niej zawarte odnoszą się do czasów nieco wcześniejszych.

Zdecydowanie najwięcej informacji dostarczają nam dzieła **Tacyta**: „Germania” oraz „Roczniki”. Autor ten tworzył na przełomie I i II w., a informacje, którymi dysponował prezentowały stan wiedzy o Barbarzyńcach z 2 poł. I w. po Chr. Dzieła Tacyta wzmiankują Gutonów mieszkających za Lugiami (czyt. na północ od nich), a zatem gdzieś na południowym wybrze-

żu Bałtyku. Gotów wzmiankuje również pisząc po grecku autor z Aleksandrii Ptolemeusz w początkach II w. po Chr. Według niego w okolicach rzeki Wistula mieliby mieć swoje siedziby Gytonowie. Z zupełnie innej perspektywy należy rozpatrywać informacje, których dostarcza nam „Getica” Jordanesa. Dzieło to powstało stosunkowo późno, bo ok. połowy V w. Jest w rzeczywistości obszernym streszczeniem niezachowanej pracy innego rzymskiego pisarza Kasjodora. Wartość jej polega przede wszystkim na źródle informacji, z których czerpał Kasjodor, a za nim Jordanes. Getica powstała w oparciu o tzw. *prisca carmina*, czyli pieśni gockie przekazywane przez tradycję ustną. Znaczenie *prisca carmina* przejawia się w tym, że prezentują Gotów poprzez pryzmat ich samych, a nie ludzi z zewnątrz. Nie podlegają zatem różnego rodzaju stereotypom, zafałszowaniom czy wręcz wpływom propagandy rzymskiej. Ponadto dzieło to w całości poświęcone jest Gotom, a nie jedynie ich wzmiankuje.

Niezależnie od miejsca, czasu powstania poszczególnych dzieł czy różnic w nazewnictwie, wszyscy autorzy lokalizują Gotów nad Bałtykiem, zarówno u ujścia Wisły, jak i dalej na zachód. Jest to o tyle istotne, że pozwala nam korelować przekazy pisane z badaniami archeologicznymi prowadzonymi na tym terenie.

Współczesna archeologia

nie posługuje się nazwami etnicznymi. Jej

badania obejmują zjawiska odnoszące się do sfery materialnej danego ludu, a zatem tego, co udaje się wydobyć i „wyczytać” z ziemi. Dotyczy to przedmiotów codziennego użytku, ozdób, broni, jak również obrządku pogrzebowego czy pozostałości po budowlach lub miejscach kultu. Całość tych zjawisk dająca się zaobserwować na danym obszarze i w konkretnym czasie pozwala na wyodrębnienie tzw. kultur archeologicznych, będących określeniem sztucznym, urobionym jedynie dla celów badawczych. W przypadku stanowiska w Nowym Łowiczu mamy do czynienia z ludnością, którą archeolodzy zaliczają do kultury wielbarskiej. Nazwa tej jednostki kulturowej pochodzi od stanowiska w Malborku-Wielbarku, gdzie odkryto dużą ilość zabytków charakterystycznych dla tej kultury.

Warto również zwrócić uwagę na fakt, że zdecydowana większość przedmiotów, które pozwalają na wydzielanie kultur archeologicznych pochodzi ze stanowisk sepulkralnych, a nie osadniczych.

Powyższe rozważania mają na celu uwypuklić różnicę pomiędzy tym, co przekazują nam

źródła historyczne a tym, co udaje się wywnioskować na podstawie badań archeologicznych. Łączenie nazw plemion z konkretnymi kulturami archeologicznymi jest zabiegiem niezwykle ryzykownym. Działanie takie uzyskało nawet swoje niepochlebne określenie - *kossinizm*, od nazwiska znanego niemieckiego archeologa **Gustawa Kossiny**, który celował w tego typu praktykach. Jednak w przypadku Gotów możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa identyfikować ich z kulturą wielbarską. Rzadki to przypadek kiedy dwie różne kategorie źródeł pokrywają się w tak dużym stopniu. Wybór tematu konferencji wydaje się w takim wypadku jak najbardziej uzasadniony.

Istnienie kultury wielbarskiej przypada na okres tzw. wpływów rzymskich, co w chronologii bezwzględnej odpowiada okresowi od początków I w. do 2 poł. IV w. po Chr. Już sama nazwa wskazuje, że jest to czas istnienia Imperium Rzymskiego, kiedy to ludność żyjąca poza granicą utrzymywała z Rzymianami ożywione kontakty zarówno militarne, jak i handlowe. Dowo-



Fot. R. Prochowicz

W okolicach Nowego Łowicza odkryto cmentarzysko kurhanowe kultury wielbarskiej.



Ignacy Skrzypek z Muzeum w Koszalinie był przewodnikiem podczas sesji wyjazdowej konferencji „Goci na Pomorzu Środkowym”.

dem tych kontaktów są licznie znajdowane w *Barbaricum* przedmioty o proveniencji rzymskiej: broń, ozdoby, metalowe i gliniane naczynia, monety. Z *Barbaricum* do Cesarstwa – docierali niewolnicy, surowce (bursztyn, skóry) oraz - chętnie zaciągający się do armii rzymskiej - rekruci.

Schyłek okresu wpływów rzymskich wiąże się z najazdem na Europę Hunów, którego konsekwencją były wielkie przemieszczenia ludności. Dały one nazwę kolejnej jednostce chronologicznej, znanej jako wędrówki ludów. Zaawansowane badania archeologiczne nad okresem wpływów rzymskich pozwoliły na stworzenie dosyć precyzyjnej chronologii relatywnej. W jego najwcześniejszy odcinek wpisuje się niewątpliwie stanowisko z Nowego Łowicza.

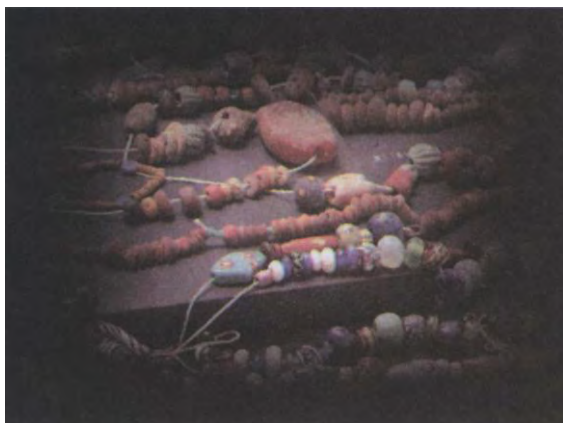
Cmentarzysko w Nowym Łowiczu

leży na Pojezierzu Drawskim, około 15 km na południe od Drawska Pomorskiego. Położone jest w sercu największego w Europie terenu ćwiczeń wojskowych - Poligonu Drawskiego. Stanowisko usytuowane jest na szczycie najwyższego w okolicy garbu morenowego, którego południowe i wschodnie stoki mocno opadają w kierunku starego koryta rzeki Drawy. Ten obecnie zabagniony zbiornik wodny jeszcze w XIX w. stanowił arterię komunikacyjną, wykorzystywaną

z pewnością także przez społeczności pradziejowe. Nekropolia położona jest niezwykle malowniczo, porasta ją majestatyczny las sosnowy, według informacji leśników zasadzony około 1902 r.

Stanowisko znajduje się w obrębie istniejącej do końca wojny wsi Neu Lobitz (obecnie Borowo). Do odkrycia cmentarzyska doszło pod koniec XIX w., kiedy ówczesna właścicielka tego terenu **Anna Sylwia von Wangenheim** prowadziła wycinkę lasu. Na zaobserwowanych wówczas nasypach ziemnych przeprowadziła amatorskie badania, rozkopując 3 kurhany. W jednym z nich natrafiła na grób ciepłopalny datowany na okres wpływów rzymskich. Znalezione w nim gliniane naczynia i brązowe ostrogi. Wyniki zostały opublikowane w szczecińskim czasopiśmie „Monatsblätter der Pommerschen Gesellschaft für Geschichte und Altertumskunde” z roku 1894. Zapomniane cmentarzysko odkryte zostało ponownie przez Krystynę Hachułę w latach 80. XX w. Badaczka ta prowadziła prace archeologiczne w Nowym Łowiczu w latach 1988 - 2001. Po jej śmierci badania kontynuowane są przez Muzeum w Koszalinie oraz Instytut Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Jak wspomniano wyżej, stanowisko z Nowego Łowicza jest cmentarzyskiem kurhanowym kultury wielbarskiej. Zajmuje ono teren o po-



Takiej biżuterii nie powstydziliby się współczesne eleganci.

wierzchni ok. 2 ha. Dotychczas przebadano 49 spośród 68 kurhanów, których średnica waha się od 5,0 do 15,0 m, przy wysokości dochodzącej do 1,5 m. Poza nasypami ziemnymi prace prowadzone są na przestrzeni międzykurhanowej, gdzie również natrafiono na liczne groby. W Nowym Łowiczu obserwujemy - charakterystyczny dla kultury wielbarskiej obrządek pogrzebowy - birytualizm, który charakteryzuje się występowaniem obok siebie kremacji i inhumacji. Stosunek grobów szkieletowych do ciałopalnych (jamowych i popielnicowych) wynosi ok. 1:1. Zazwyczaj pod nasypem kurhanowym znajdują się 1 lub 2 pochówki. Do wyjątków należą kurhany z większą ilością grobów. Znajdowane w Nowym Łowiczu zabytki stanowią wyposażenie typowe dla kultury wielbarskiej: fibule, kolie paciorków, klamerki S-owate, wisiorki, sprzączki, okucia końca pasa, grzebienie, przęśliki, naczynia gliniane. Co jest charakterystyczne dla kultury wielbarskiej, brak w grobach broni oraz przedmiotów wykonanych z żelaza. Większość ozdób metalowych wykonana jest z brązu, niekiedy ze srebra, rzadko ze złota.

Niezwykle interesującym okazało się odkrycie pod nasypami kurhanowymi pozostałości palenisk, a wręcz unikatowym znaleziskiem są ślady starożytnej orki. Tego typu praktykę udało się uchwycić jedynie na dwóch innych stanowiskach: w Gronowie, pow. drawski oraz w Odrach, pow. chojnicki.

W oparciu o wyposażenie grobowe udało się

zaobserwować, że cmentarzysko rozwijało się od części południowo-zachodniej, gdzie znaleziono przedmioty datowane na fazę B2a (2 połowa I w.), w kierunku północno-wschodnim, skąd pochodzą groby datowane na fazę C1a (początek III w.). Dodatkowo kilka kurhanów, mających najpóźniejszą metrykę znajduje się w centralnej części stanowiska.

Badania w Nowym Łowiczu, stan. 2 koncentrują się na cmentarzysku kurhanowym kultury wielbarskiej. Jednak natrafiono tutaj również na przedmioty dużo starsze, pochodzące ze schyłkowego paleolitu i mezolitu, a także z IV i V okresu epoki brązu. W okolicach Nowego Łowicza zarejestrowano jeszcze 3 inne stanowiska archeologiczne: dwa z nich wiązane są z kulturą łużycką (stanowiska 3 i 4), jedno to grodzisko wczesnośredniowieczne z XII w (stanowisko 1).

Badania w Nowym Łowiczu stan. 2 potrwają jeszcze przez kilka lat. Próba podsumowania dotychczasowych osiągnięć badawczych stała się wspomniana na wstępie konferencja „Goci na Pomorzu Środkowym”. W wygłoszonych referatach oraz w trakcie dyskusji dominującym tematem była oczywiście problematyka obecności Gotów na Pomorzu Środkowym. Zaprezentowana została wnikliwa analiza dostępnych nam źródeł pisanych, odnoszących się do interesującego nas terenu. Zaprezentowano wyniki badań ostatnich lat na stanowiskach wiązanych z obecnością na Pomorzu Gotów. Niezwykle istotne było także przedstawienie podłoża kulturowego interesującego nas okresu (nieco wcześniejsze kultura jastorfska i kultura oksywska) oraz kwestie zaniku kultury wielbarskiej.

Skarb Gotów

Cennym i niezwykle interesującym uzupełnieniem konferencji było otwarcie w gmachu Muzeum w Koszalinie wystawy „Biżuteria Gotów”. Ekspozycja ta, przygotowana przez Muzeum Archeologiczne w Poznaniu, dostępna była zwiedzającym w listopadzie i grudniu ubiegłego roku. Prezentowane na wystawie przedmioty dowodzą, że żyjące dwa tysiące lat temu племя tworzyły społeczeństwa stojące na wysokim poziomie kulturowym, o czym świadczy

rozbudowane złotnictwo, brązownictwo i rogownictwo.

W drugim dniu konferencji odbył się objazd naukowy, podczas którego uczestnicy mieli możliwość zapoznania się ze śladami obecności Gotów na Pomorzu. W programie przewidziano zwiedzanie dwóch interesujących stanowisk: szerzej omówionego Nowego Łowicza oraz rezerwatu archeologicznego z kręgami kamiennymi w Grzybnicy.

Międzynarodowa konferencja naukowa

„Goci na Pomorzu Środkowym” okazała się przedsięwzięciem ze wszech miar udanym. Wysoki poziom zaprezentowanych referatów, żywiłowa dyskusja oraz duża liczba uczestników dowiodły niesłabnącego zainteresowania problematyką gocką. Zawężenie obszaru zainteresowań jedynie do Pomorza Środkowego pozwoliło bliżej przyjrzeć się obszarowi, który dotychczas uważano za peryferyjny w kulturze wielbarskiej, a który stanowił początkowy etap wędrówki plemienia Gotów ku wybrzeżom Mo-

rza Czarnego i dalej w kierunku granic Imperium Rzymskiego. Nie sposób wyobrazić sobie historii późnego Cesarstwa bez Gotów. Późniejsze państwa Ostrogotów w północnej Italii czy Wizygotów na Półwyspie Iberyjskim były bezpośrednimi spadkobiercami tradycji rzymskiej. Dzisiaj pozostaje nam jedynie satysfakcja, że lud, który odcisnął tak wielkie piętno w dziejach Europy, ukształtował się w dużym stopniu na terenie Pomorza, w tym Pomorza Środkowego.

W obradach udział wzięli badacze problematyki gockiej ze wszystkich najważniejszych ośrodków naukowych w Polsce oraz goście z Niemiec. Licznie stawili się także słuchacze nie zajmujący się zawodowo omawianą problematyką, których przywiodła chęć poznania bliżej ludności tworzącej oblicze naszego regionu prawie dwa tysiące lat temu. W sumie przez salę kinową Biblioteki Publicznej, gdzie odbywały się obrady, przewinęło się ok. 100 osób.



Fot. Ilona Łukjaniuk

Skarb Gotów

„... podtrzymujemy dobrą opinię Polaków w świecie, jako tych, którzy troskliwie chronią, zabezpieczają i rewaloryzują wszelkie zabytki kulturowe z przeszłości niezależnie od tego, jaką grupę społeczną: stanową, etniczną czy wyznaniową one reprezentują. Są to przecież sprawy dorobku historycznego kultury ogólnoludzkiej. Także ludowe zabytki Pomorza Zachodniego mają wartość obiektywną, uniwersalną.” (prof. Józef Burszta)

Lija Szadkowska

Jamno – wyspa kulturowa na Pomorzu Zachodnim

Jamneńska kultura ludowa jest od wielu lat przedmiotem prac i dyskusji etnografów, językoznawców i historyków. W latach 80. XIX wieku kulturą jamneńską zainteresowali się niemieccy uczeni **Ulrich John** i **Aleksander Meyer Cohn**. Ich uwaga była skupiona przede wszystkim na sztuce jamneńskiej, strojach oraz zdobnictwie. **Walter Borchers**, niemiecki etnograf, w latach międzywojnia prowadził badania na terenie Jamna i Łabusza. W jego publikacjach możemy znaleźć szerokie i szczegółowe opisy barwnej i fascynującej jamneńskiej sztuki zdobniczej.

Najbardziej zasłużonymi polskimi badaczkami niewątpliwie były prof. **Agnieszka Dobrowolska** i prof. **Bożena Stelmachowska**. Zajmowały się one zagadnieniami związanymi z genezą kultury jamneńskiej, wpływami i mieszaniami się kultur w obszarze nadbałtyckim. Pracownicy Katedry Etnografii UAM w Poznaniu w latach 1960-1963 pod kierunkiem prof. **Józefa Burszty** prowadzili badania na terenie Jamna i Łabusza. Badania ukierunkowane były pod kątem tworzenia się nowej kultury na wsi koszalińskiej. Zinventaryzowano przy okazji zastane zabytki, które później znalazły się w miejscowych muzeach.

W latach 1969-1972 pracownicy Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, muzeum koszalińskiego oraz Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Koszalinie podjęli etnograficzne badania terenowe. Zinventaryzowano wówczas i zakupiono zabytkowe obiekty kultury materialnej m.in. sprzęty gospodarstwa domowego,



Fot. Ilona Łukjanuk

W sąsiedztwie muzeum powstał miniskansen kultury jamneńskiej.

sprzęty rolnicze, meble i zabytki rzemiosła tkackiego.

W 1980 r. w Hamburgu została wydana monografia historyczno-etnograficzna Jamna autorstwa Rity Scheller. Publikacja ta została wysoko oceniona przez J. Bursztę, który napisał: „...jest to monografia o rzadko spotykanym bogactwie treściowym”.

Hugona Ostrowska-Wójcik, Anna Mosiewicz oraz Juliusz Sienkiewicz to etnografowie, którzy w swej pracy muzealnej wiele czasu poświęcili kulturze jamneńskiej.

W połowie lat 70. powstała koncepcja realizacji skansenu wsi jamneńskiej autorstwa Juliusza Sienkiewicza. Z przyczyn obiektywnych do realizacji tego pomysłu nie doszło.

Największe liczebnie zbiory jamneńskiej kultury ludowej: meble, sprzęty, ceramika i ele-

menty odzieży znajdowały się w berlińskim muzeum, niestety, nie przetrwały działań II wojny światowej. Jamneńskie zabytki posiadały również muzea w Szczecinie, Białogardzie, Trzebiatowie i Koszalinie. W wyniku działań administracyjnych i powstania Muzeum Pomorza Środkowego (1965 r.), zbiory jamneńskiej kultury w całości zostały przekazane z Koszalina do Słupska. Zabytki jamneńskie, które posiada Muzeum w Koszalinie, zostały pozyskane w latach 1970-1972 drogą penetracji terenowej.

Bogactwo kulturowe Jamna dawno już zauważono i wykorzystywano do promocji Koszalina, czego przykładem może być rekonstrukcja wnętrza chałupy jamneńskiej z okazji wystawy rzemieślniczej w Koszalinie w 1912 r. W 1929 r. w muzeum koszalińskim otworzona została wystawa pokazująca zabytki jamneńskiej kultury. Z chwilą powstania w Koszalinie Muzeum Archeologiczno-Historycznego najcenniejsze zbiory jamneńskie znalazły się na wystawie „Jamno i okolice”.

Jamneński folklor

Fascynacja kulturą jamneńską nie ominęła również i mnie. Od 1982 r. rozpoczęłam intensywną pracę badawczą nad folklorem jamneńskim, dziedziną dotąd przez etnografów niekniętą. Współpraca i kontakty z niemieckimi przyjaciółmi, szukanie materiałów w archiwach dały efekty. Zgromadziłam materiały, zawierające nuty, opisy tańców pomorskich, teksty piosenek. Pozyskałam informacje dotyczące stroju jamneńskiego. Długoletnia praca nad jego rekonstrukcją zakończyła się sukcesem. Obecnie można go oglądać w całej krasie na wystawie w muzeum koszalińskim.

Nawiązałam współpracę z zespołem folklorystycznym „Kalina” z Dobrzycy. Od 1986 r. zespół ten, w strojach jamneńskich, tańczy, śpiewa i promuje folklor pomorski. Ma również w swoim repertuarze widowisko „Wesele jamneńskie” wg mojego scenariusza. Ten repertuar wiele razy pokazywany był na festiwalach folklorystycznych w Niemczech, Francji oraz w Polsce, gdzie spotkał się z ogromnym zainteresowaniem. Zespół otrzymał wiele nagród i wyróżnień. Za promowanie folkloru jamneńskiego kierownik zespołu Jerzy Łuczak w 1997 r. otrzymał nagrodę wojewody koszalińskiego.



Fot. Ilona Łukjanuk

Kuźnia jamneńska.

„Wyspa kulturowa.

Wieś Jamno pod Koszalinem”

23.05.2001 r. otwarta została stała wystawa „Wyspa kulturowa. Wieś Jamno pod Koszalinem”. Temu wydarzeniu towarzyszyła impreza plenerowa „Wesele jamneńskie” w wykonaniu zespołu „Kalina”, z oracjami, melodiami, przystrojonym wozem wiannym panny młodej. Na wystawie pokazano najcenniejsze zabytki pochodzące ze zbiorów muzeów w Szczecinie, Słupsku i Koszalinie, a także zrekonstruowany strój i obrzęd weselny. Zaprezentowany został także film oświatowy o Jamnie, zrealizowany przez Muzeum w Koszalinie. Te wydarzenia podsumowały moją wieloletnią pracę badawczą.

Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało wystawie trzecią nagrodę w kategorii wystaw etnograficznych w ogólnopolskim konkursie na najciekawsze wydarzenie muzealne roku „Sybilla 2001”.

Wystawa „Wyspa kulturowa. Wieś Jamno pod Koszalinem” prezentowana jest w zagrodzie rybackiej ze wsi Dąbki, którą Muzeum zakupiło i przeniosło na posesję muzealną w 1983 r. Datowany na rok 1869 obiekt składał się pierwotnie z trzech elementów: chałupy, budynku stodołno-inwentarskiego i chlewika. Wszystkie budynki zbudowane są w konstrukcji słupowo-ryglowej z wypełnieniem szachulcowym, dachy są kryte trzciną. Przy przeniesieniu zagrody odtworzono wiernie siedlisko, zgodnie z jego pierwotnymi wymiarami, stosunkiem poszczególnych ele-

mentów do siebie, orientacją w stosunku do stron świata i usytuowaniem do drogi wiejskiej. Zrekonstruowane obejście jest niekompletne, ponieważ stodoła spłonęła w 1979 r., zdecydowano się więc na pokazanie rzutu przyziemia stodoły z zaznaczeniem jej pierwotnego układu.

Pierwsze pomieszczenie to wnętrze izby jamneńskiej z najbardziej charakterystycznymi dla tej grupy etnicznej sprzętami. Pokazane są tu zrekonstruowane wnęki łóżkowe z zasłonami, na których wykonany jest nadruk według starych technik klockowych. Skrzynie ustawione zostały przy otworach wnękowych, tzn. w miejscu, jakie zajmowały w dawnej izbie.

W izbie drugiej znajdujemy parę nowożeńców w zrekonstruowanych weselnych strojach ludowych, w otoczeniu sprzętów wiannyh: skrzyni z pościelą, bielizną osobistą, ręcznikami itp. Łóżko z baldachimem, kredens („szelbiąg”) z zawartością oraz fotel również stanowiły posag panny młodej. Są tu też kołyska, kołowrotek oraz drobne podarunki narzeczonego: deseczka tkacka, przepustnica, maglownica.

W kuchni, małej komorze i sieni zgromadzone są różnorodne sprzęty gospodarstwa domowego. Kuchnia, oprócz mebli i ceramiki charakterystycznych tylko dla tej grupy etnicznej, zawiera również przedmioty, które używane były przez ludność wiejską na całym Pomorzu. Obok powszechnie znanych naczyń kuchennych (garnki, misy, talerze, dzbanki) prezentowane są plecione naczynia zasobowe, talerze oraz różnego rodzaju i zastosowania koszyki. Niecki - dłubanki, klepkowe naczynia do wody i produktów sypkich uzupełniały niezbędne wyposażenie kuchni. Na szczególną uwagę zasługują maselnice - wisząca, bijakowa, kolebkowa i na korbę.

W trzeciej izbie zgromadzone są sprzęty związane z tkactwem ludowym. Pokazane tu narzędzia ilustrują wszystkie cykle obróbki wełny, lnu i konopi: grzebienie do zrywania główek lnu; cierlice, trzepaki, szczotki - służące do wstępnej obróbki surowca; przęślice, kołowrotki - do obróbki nici; motowidła, snowadła - do nawijania nici oraz warsztat tkacki do wyrobu tkaniny. Na szczególną uwagę zasługują klocki do drukowa-



Fot. Ilona Łukjaniuk

Izba paradna w chacie jamneńskiej.



Zaplecek krzesła

nia tkanin i zachowany fragment materiału z nadrukiem.

W Jamnie drugim obok tkactwa wiodącym rzemiosłem było stolarstwo. Z tego też powodu w dużej komorze pokazany został warsztat stolarski z pełnym wyposażeniem. Oprócz narzędzi zaprezentowane zostały wzorniki zapiecków zydli, foteli i krzeseł, jak też i szablony, według których wykonywano dekoracje malarskie.

W chlewiku eksponowane są przedmioty związane z rolnictwem: radło, kultywator, cep,

wialnia oraz różnego rodzaju haczki do kopania i spulchniania gleby. Narzędzia do kopania torfu i jego obróbki są tu licznie reprezentowane ze względu na to, że w Jamnie torf był w powszechnym użyciu, jako materiał opałowy. Narzędzia kłusownicze, myśliwskie - klepce, potrzaski i rybackie - różne odmiany ościeni, są przykładem wysokiego poziomu kowalstwa w Jamnie. Wszystkie zgromadzone na wystawie przedmioty tworzą specyficzny, miniony obraz codziennego życia mieszkańców Jamna.

* * *

Myślę, że dzięki realizacji tych przedsięwzięć wiedza o kulturze jamneńskiej wyszła poza wąski krąg etnografów, a dzięki działaniom edukacyjnym stała się częścią wiedzy o historii i kulturze naszego regionu. Można zadać pytanie, czy o kulturze jamneńskiej wiemy już wszystko? Odpowiadam: nie. Na opracowanie czeka kultura duchowa: wierzenia, obrzędy, zwyczaje, legendy.

Dziedzina najbardziej ulotna, niezapisana ulega zapomnieniu.



„Wesele jamneńskie” z udziałem zespołu „Kalina”

Włodzimierz Wysocki.

Czy pamiętasz ten dom...

25 sierpnia 2005 roku mieszkańcy Koszalina oraz goście z różnych stron Polski mogli po raz ostatni obejrzeć wystawę pt. „Wysocki. Czy pamiętasz jeszcze tamten dom...”, zorganizowaną przez dr Marlenę Zimną z okazji 25. rocznicy śmierci wybitnego rosyjskiego poety, aktora i wykonawcy własnych utworów - Włodzimierza Siemionowicza Wysockiego.

Ekspozycja, prezentująca wczesne lata życia słynnego twórcy piosenki autorskiej oraz przybliżająca złożone losy jego rodziny, zajęła istotne miejsce w historii imprez organizowanych przez Muzeum Włodzimierza Wysockiego w Koszalinie, zasługiwała też na szczególną uwagę odbiorców. Wystawa podjęła niezwykle ważny, często niedostrzegany, bądź też świadomie pomijany w studiach nad biografią barda, problem żydowskości w życiu śpiewającego aktora. Dzięki zebranym przez dr Zimną licznym materiałom faktograficznym zwiedzający mogli poznać nie tylko sylwetkę pieśniarza, rozpoczynającego swoją drogę twórczą, lecz również prześledzić historię jego żydowskich przodków. Należy podkreślić, że Wysocki był synem halachicznego Żyda rosyjskiego pochodzenia i Rosjanki. I choć został wychowany w tradycji rosyjskiej, to nigdy nie wyparł się swoich semickich korzeni, co widoczne jest również w wielu jego utworach poetyckich.

Zorganizowana w Koszalinie wystawa wniosła znaczący wkład w rozwój współczesnej wysockologii, gdyż koncentrując się na żydowskiej stronie biografii pisarza w pewnym sensie stworzyła nową perspektywę interpretacyjną dla poezji barda - bogatej zarówno w warstwie gatunkowej, jak i tematycznej oraz ideowej. Ekspozycja uzmysłowiła licznym wielbicielom talentu Wysockiego, że w studiach nad jego twór-

czością poetycką nie można pominąć semickiego pochodzenia artysty, który w istocie rzeczy był osobowością funkcjonującą na pograniczu kultur. Autor, obok znanego poety-emigranta - Aleksandra Galicza - jako jedyny spośród wielu przedstawicieli gatunku piosenki autorskiej podjął udaną próbę oryginalnego połączenia w swoim dorobku dwóch pierwiastków narodowych oraz perspektyw historyczno-kulturowych.

Wystawa „Wysocki. Czy pamiętasz jeszcze tamten dom...” była interesującą opowieścią o pisarzu oraz jego najbliższych. Odzwierciedliła jednocześnie dramatyczne losy rosyjskiej społeczności żydowskiej, na której olbrzymie piętno wywarły lata okupacji hitlerowskiej oraz wulgarny radziecki antysemityzm. Dzięki niej można lepiej zrozumieć historię rosyjskich przedstawicieli narodu wybranego, którzy przebywając w obcym dla siebie kontekście kulturowym poszukiwali własnych korzeni oraz rodzimej tradycji. Z chwilą, kiedy zwiedzający ekspozycję opuścili budynek Miejskiego Ośrodka Kultury przy ul. Zwycięstwa 105 - miejsce, gdzie przez cztery tygodnie prezentowana była wystawa, odżył problem swoistej „bezdomności” barda, która na trwałe wpisała się w jego biografię.

Włodzimierz Wysocki urodził się 25 stycznia 1938 roku w Moskwie, w domu przy ulicy Trzebiej Mieszczańskiej. Od tamtego momentu jego krótkie, bo zaledwie 42 - letnie życie przypominało nieustanną tułaczkę. Już jako dziecko przyszły poeta pozbawiony był prawdziwego ciepła domowego ogniska. Wczesne dzieciństwo Wysockiego zbiegło się bowiem z okresem wojny i okupacji. Później były kolejno lata spędzone z ojcem i jego drugą żoną Eugenią Lichołatową w Niemczech w Eberswalde, następnie z macochą w Moskwie na Bolszom Karietnom, pośród licz-

nej rzeszy przyjaciół - w przyszłości czołowych twórców rosyjskiej kultury. Dorosłe życie Włodzimierza Wysockiego, kiedy zasłynął już jako genialny poeta i pieśniarz oraz utalentowany aktor teatralny i filmowy, w rzeczywistości miało wiele cech wspólnych z tułaczym dzieciństwem i wczesną młodością. Liczne koncerty po najodleglejszych zakątkach Związku Radzieckiego, wielomiesięczna praca na planach zdjęciowych kolejnych filmów, gościnne występy z Teatrem na Tagance oraz wyjazdy zagraniczne w latach 70., wszystko to sprawiało, że Wysocki często przebywał poza tak bliską swemu sercu Moskwą.

Istotnym faktem z jego biografii pozostaje również to, iż poeta przez długi czas nie miał możliwości powrotu do własnego domu. Należy podkreślić, że władza nie tylko zadbała o to, aby ukochany przez lud, a nienawidzony przez nią samą bard wolności, nie doczekał się za życia tomiku swoich wierszy. Za element kampanii, mającej na celu zaszczucie poety można uznać także odkładanie w czasie momentu przydzielenia mu mieszkania. Lokal spółdzielczy przy ulicy Małej Gruzińskiej Wysocki otrzymał dopiero w 1975 r." a więc na pięć lat przed śmiercią. Do tego czasu aktor skazany był na łaskę i niełaskę rodziny oraz znajomych, którzy niejednokrotnie dawali mu schronienie i pomagali stworzyć choć namiastkę własnego domu.

Koszalińska wystawa „Wysocki. Czy pamiętasz jeszcze tamten dom...”, sprawia, że przez pryzmat biografii autora „Polowania na wilki” mimowolnie nasuwają się skojarzenia z wywodzącą się ze średniowiecza opowieścią o Żydzie Wiecznym Tułaczem, skazanym na ciągłą wędrówkę i zażywającym wytchnienia tylko na czas posiłku. Podanie staje się szczególnie aktualne w kontekście losów Włodzimierza Wysockiego.

Kiedyś poeta korzystał z życzliwości bliskich sobie ludzi, goszczących go pod swoim dachem. Obecnie pamięć o Wysockim pielęgnuje dr Marlena Zimna, która „dzieli się” z poetą własnym mieszkaniem, prowadząc w nim jedyne w Polsce prywatne Muzeum Włodzimierza Wysockiego. Dzięki determinacji dyrektora Zimnej Kosza-

lin stał się prężnie działającym centrum wysocologicznym, które odwiedzają wielbiciele twórczości artysty nie tylko z Polski, ale także z wielu innych krajów - Rosji, Finlandii, Węgier, USA, Izraela. Pod patronatem muzeum od wielu lat organizowane są rozmaite projekty kulturalne, poświęcone oślawionemu „Hamletowi z gitarą” - wystawy, międzynarodowe konferencje naukowe, festiwale filmów dokumentalnych.

Nie ulega wątpliwości, że wystawy i festiwale poświęcone Wysockiemu nie powinny mieć „tułaczego” charakteru, a 15 tysięcy eksponatów prywatnego muzeum - „gnieździć się” w ciasnych pokojach jednego z bloków mieszkalnych. Może już czas, aby przy okazji kolejnej wysocologicznej imprezy nastąpiło uroczyste otwarcie nowego Muzeum Włodzimierza Wysockiego przy ulicy, nazwanej imieniem autora „Kapryśnych koni”...

Zenon Suszycki

Radio - retro

Pierwsze w Polsce Muzeum Radia powstało w Koszalinie

Otwarcie ekspozycji muzealnej w zabytkowym pałacyku, będącym pierwszą siedzibą Radia Koszalin przy ulicy Piłsudskiego 49, stało się ważnym wydarzeniem dla radiowców i sympatyków radiofonii i radiotechniki. Od tego czasu dobrze służy promocji Radia Koszalin, które ma do zaoferowania słuchaczom i mieszkańcom Koszalina, regionu i kraju ciekawe zbiory historyczne i współczesne. Wycieczki mogą po obejrzeniu muzeum zapoznać się z najnowocześniejszą technologią w nowym budynku rozgłośni przy ulicy Piłsudskiego 41.

Informacje o tym rozeszły się szerokim echem w całym kraju. O inicjatywie zarządu wspartej uchwałą Rady Nadzorczej głośno było w telewizji, programie I i III Polskiego Radia, w prasie codziennej i specjalistycznych pismach, między innymi w „Świecie radia”.

Nakręcony został profesjonalny film o radiu retro. Obszerne informacje o ekspozycji i liczne zdjęcia znajdują się na stronie internetowej www.radio.koszalin.pl oraz na stronach internetowych kilku kolekcjonerów. Trwają prace nad przygotowaniem wielu wydawnictw, które rów-



Kolekcjoner Jerzy Gogacz prezentuje swój największy patefon i stare płyty.

niez trafią do sprzedaży. Na naszej antenie ukazują się popularne już programy „Na skali retro” prowadzone przez dziennikarzy redakcji muzycznej.

Część zbiorów należy do kolekcjonerów z Warszawy, którzy nieodpłatnie na kilka lat przekazali je Radiu Koszalin w depozyt. O randze eksponatów świadczą przyjazdy do Koszalina zainteresowanych kolekcjonerów z całego kraju.

Inicjatywa stworzenia placówki muzealnej, gromadzącej zbiory dotyczące historii radia, w tym także historii tych ziem, spotkały się z poparciem i pomocą nie tylko kolekcjonerów. Fachowymi radami służą nam dyrektorzy muzeów ze Słupska i Koszalina oraz słuchacze, którzy nieodpłatnie przekazują radia, nagrania, plakaty, płyty i inne przedmioty związane z radiofonią.

W roku 2005 zorganizowana została specjalna wystawa z okazji 80-lecia Polskiego Radia, która prezentowana była w kilkunastu miejscowościach województw zachodniopomorskiego i pomorskiego oraz dwukrotnie w Warszawie - w Dniu Otwartym Polskiego Radia oraz w Polskim Komitecie Olimpijskim z okazji 80-lecia sportu na antenie Polskiego Radia. Ponad miesiąc mieszkańcy Słupska mogli zapoznawać się z naszą ekspozycją w Muzeum Pomorza Środkowego na specjalnie zorganizowanej wystawie z okazji 10-lecia programu miejskiego Radia Koszalin w Słupsku.

W naszych zbiorach mamy pierwsze radia polskiej produkcji z lat dwudziestych, których właścicielem jest kolekcjoner **Maurycy Bryx**. W maju 2005 roku w Muzeum spotkali się kolekcjonerzy z Polski oraz z Litwy na seminarium poświęconym historii polskiej radiotechniki. Oprócz nich referaty przygotowali i przedstawili uczniowie Młodzieżowej Szkoły Dziennikarskiej przy Radiu Koszalin. W siedzibie Muzeum mieszczącej się w pierwszej siedzibie Rozgłośni przy ul. Piłsudskiego 49 co miesiąc odbywają się koncerty „Salonu retro” z udziałem dawnych gwiazd polskiej estrady, połączone z prelekcjami na temat dziejów polskiej radiofonii.

Wokół Muzeum Radia skupiło się wielu star-

szych i młodych sympatyków radiotechniki. Przychodzą tu na konsultacje, naprawiają stare odbiorniki, pomagają przy organizacji nowych wystaw. W Politechnice Koszalińskiej powstaje nawet pierwsza praca magisterska poświęcona naszym zbiorom muzealnym. Ekspozyty muzealne są chętnie wykorzystywane przy różnych plakatach i wydawnictwach oraz publikacjach prasowych. W roku 2005 na kalendarzu Radia Koszalin znalazło się zdjęcie odbiornika z lat dwudziestych, natomiast na 2006 rok wydany został kalendarz „Magia radia” zawierający już więcej zdjęć, który błyskawicznie znalazł odbiorców.

W Muzeum Radia we wrześniu 2005 roku jeden z telewizyjnych kanałów komercyjnych przy okazji prezentacji Koszalina nakręcił kilkunutowy program i wywiad o najciekawszych eksponatach. Podobny program ukazał się w 2005 roku w telewizji kablowej Max.

Zainteresowanie Muzeum wykazują nie tylko indywidualni zwiedzający i szkoły, ale i wycieczki z jednostek wojskowych i Straży Granicznej. Niejednokrotnie Muzeum otwierane jest w niedziele, aby żołnierze mogli obejrzeć eksponaty i posłuchać wykwalifikowanego przewodnika.

Z ogromnym zainteresowaniem spotkało się „Muzeum na plaży”, czyli wystawa zabytkowych odbiorników, patefonów i gramofonów oraz sprzętu radiowego pokazywana latem w kilkunastu miejscowościach nadmorskich. Wczasowicze mogli obejrzeć ciekawe eksponaty, wziąć udział w licznych konkursach ze znajomości historii Polskiego Radia, a ci najmłodsi nawet samodzielnie włączyć gramofon i odtworzyć nagrania ze starych płyt. Z miejsc, w których pod kilkoma namiotami znajdowała się wystawa, dziennikarze Radia Koszalin nadawali kilkugodzinny program na żywo, prowadzili też liczne imprezy dla wielotysięcznej publiczności.

MISCELLANEA

„Miesięcznik” jest najmocniejszym potwierdzeniem starej prawdy, że prowincjonalizm to rodzaj postawy lub charakterologicznego skrzywienia, a nie klątwa czasu i miejsca.

Piotr Kuncewicz

Narzędzie kulturowego uszlachetniania

Wydawanie pisma społeczno-kulturalnego jest zabiegiem równie szlachetnym, co i ryzykownym, dlatego polski rynek wydawniczy straszy „czarnymi dziurami” po wielu sławetnych tytułach takich czasopism. Tym większym sukcesem „Miesięcznika” wydawanego w Koszalinie przez **Marię Ulicką** jest jego prawie już sześćioletnia obecność w życiu intelektualnym nie tylko regionu środkowopomorskiego, ale także kraju, co rzadko udaje się pismom niszowym, bo za takie należy uważać pisma niskonakładowe, mające ambicje wykraczania poza standard periodycznej prasy kolorowej o charakterze towarzysko-sensacyjnym i usługowo-apologetycznym wobec prominentnych środowisk życia biznesowego i politycznego.

„Miesięcznikowi” udało się i nadal - mam nadzieję - udawać się będzie podejmowanie problemów społeczno-kulturalnych regionu w szerokim kontekście krajowym i europejskim. Twórcy pisma - **Maria** i **Ryszard Uliccy** pozostali wierni swojemu „manifestowi” sprzed prawie już sześciu lat, w którym napisali, że idea tego odważnego przedsięwzięcia wyrosła z przekonania, że na terenie Pomorza żyją tysiące ambitnych i myślących ludzi.

Szeroki - krajowy i europejski oddech „Miesięcznika” czerpie tlen nie tylko z „kadrowego zaplecza”, w którym się skrzy dosłownie od dobrych nazwisk publicystów, naukowców i dziennikarzy, ale także z doboru tematyki, która zmusza piszących i czytających do postrzegania świata jako systemu naczyń połączonych,

a historii jako cywilizacyjnego continuum, którego ogniwem jest współczesność przeżywana „tu i teraz”.

Poręczny format i oryginalna szata graficzna, a także najszlachetniejszej wody eklektyzm, to dwa dodatkowe walory pisma, które „rozpięta” przestrzeń życia umysłowego ponad koso-drzewiną konsumpcyjnego wyścigu szczurów i codziennym mieleniem wolnorynkowych żaren, które, niestety, niezbyt chętnie oddają część swojego „urobku” na wspomaganie kultury, a zwłaszcza pism kulturalnych i literackich.

Statystyczna analiza zawartości 66 wydanych dotąd numerów (w tym - kilku podwójnych) pozwala stwierdzić, że „Miesięcznik” stał się swoistą „pieczęcią” życia umysłowego i kulturalnego regionu oraz niezastąpionym informatorem i recenzentem jego bogatej i nie zawsze z perspektywy Warszawy zauważanej - oferty kulturalnej. Warto dodać, że jest informatorem i recenzentem szczególnie życzliwym, co nie znaczy, że bezkrytycznym. Jest to wartość niecodzienna na rynku prasowym, którego standardy informacyjne i recenzenckie zaczynają wyznaczać tabloidyzujące się pisma uwikłane w „bitwę o czytelnika”.

W ten sposób skromny, ale utalentowany i pracowity zespół redakcyjny „Miesięcznika” realizuje kolejne założenie „ideowej deklaracji” jego twórców, którzy nie ukrywali, że mają ambicję współdziałania z ludźmi pragnącymi zrekompensować straty spowodowane likwidacją „starych” województw, co groziło i nadal zagra-

za instytucjom i inicjatywom, decydującym o poziomie lokalnego życia kulturalnego i intelektualnego. To im poświęcone są stałe cykle - „Z pomorskich albumów” (autor - Maria Ulicka) i „Ludzie z pasją” (autor - Izabela Nowak), które złożyły się na specjalny, wydany w 2003 roku numer jubileuszowy, będący początkiem budowania większej całości wydawniczej, którą zapowiada redakcja.

Wizytówką każdego pisma, a pisma społeczno-kulturalnego w szczególności, jest jego pierwsza strona i czołówka. W przypadku „Miesięcznika” są to wywiady miesiąca (autor - Ryszard Ulicki). Pismo zaskakuje czytelnika rozmowami z ogromną paletą najwybitniejszych postaci różnych dziedzin życia regionu i kraju, dowodząc w ten sposób, że współczesne dziennikarstwo nie zna granic ni kordonów i że „stąd” można prowadzić mądry i ciekawy dyskurs z „wielkimi” tego świata.

Te „pierwszostronnicowe” wywiady nie są jedynym sposobem wpisywania się „Miesięcznika” w wartościowy nurt życia umysłowego kraju i Europy (reportaże **Ewy Werner**). „Miesięcznik”, zakorzeniając się (a to szczególnie rzadki dziś przypadek) w historię regionu widzianą okiem muzealników, archeologów i etnografów (artykuły **Anny Mosiewicz**) oraz historyków - odkrywa pradziejowe źródła europejskiej tożsamości, która nie wymaga, jak się okazuje, politycznego deklarowania i strzelistych aktów akcesyjnych - zwłaszcza na całym Pomorzu od Szczecina do Gdańska przez Koszalin i Słupsk, aż gdzieś po Wałcz i Piłę.

Pismo ma niezwykle wyczulenie na mniej dostrzegane rodzaje twórczości, które po latach systemowego dekretnowania ich aktywności zostały w nowych warunkach wyraźnie zmarginalizowane. Jest to cała sfera tak zwanej twórczości amatorskiej uprawianej przez ludzi najróżniejszych zawodów i kategorii wiekowych.

Osobnym - godnym szczególnej uwagi rysem linii programowej „Miesięcznika” - jest jego niezawodna obecność w działaniach inspirowanych przez krajowy kalendarz imprez, inicjatyw i wy-

darzeń kulturalnych. Nie jest to obecność rutynowa ani serwitutowa, lecz w pełni twórcza i inspirująca. Dzieła **Jana Pawła II, Iwaszkiewicza, Norwida, księdza Twardowskiego, Gałczyńskiego, Wawrzkiwicz, Chopina, Mozarta**, współczesna dramaturgia i teatr, a nawet film - oglądane i przeżywane są z lokalnej perspektywy, która oferuje mniej rocznicowego czy kampanijnego - wielkomiejskiego koturnu, a więcej głębokiej duchowości, wcale nie prowincjonalnej proveniencji.

Bo tam, w kolebce „Miesięcznika” odbywa się od dziesiątków lat wielka impreza pod symbolicznym tytułem „Młodzi i Film”, tam ma również długą historię i korzenie „Światowy Festiwal Chórów Polonijnych” z całą jego historyczną już zmiennością i otoczką warsztatową. Tam nadal żyje jeden z najstarszych i najciekawszych plenerów w Osiekach oraz odbywają się od lat konkursy poetyckie i recytatorskie rangi krajowej. Tam działa prężnie Państwowa Filharmonia (o niej i o pozostałych wydarzeniach muzycznych pisze kompozytor i krytyk **Kazimierz Rozbicki**), Bałtycki Teatr Dramatyczny, Teatr Pozycji „Dialog”, Muzeum w Koszalinie, Muzeum im. Włodzimierza Wysockiego, Politechnika Koszalińska, Bałtycka Wyższa Szkoła Humanistyczna... Podobnie jest i dzieje się w niedalekim Słupsku - słynnym ze swojego Biura Wystaw Artystycznych, zbioru portretów Witkacego, Pomorskiej Akademii Pedagogicznej i pianistycznego festiwalu, którego wielkim admiratorem był niezapomniany **Jerzy Waldorf**. Tam powstają wybitne dzieła plastyczne, muzyczne i literackie, myśl naukowa i ferment intelektualny wolny od kompleksów, czego potwierdzeniem jest właśnie „Miesięcznik”, który dorobił się niepowtarzalnej „kreski” autorstwa **Tomka Rogowskiego** i zupełnie fenomenalnej - czarno-białej, a więc trochę ubiegłowiecznej retrospektywy fotograficznej autorstwa **Jerzego Patana**, która nie tylko rozczula, ale również emocjonalnie wiąże losy i doświadczenia pokoleń zapisujących karty polskiej historii tamtej części Pomorza.

Prawdziwą „perłą w koronie” pisma jest felietonistyka (**Broniarek, Żuliński, Wawrzkiwicz, Pastusiak, Trzcińska, Kołowska, Korman, Żelazny** itd.), której różnorodność, temperatura i głębia zainteresowań mogłaby zaspokoić potrzeby nie tylko jednego, ale kilku wręcz ambitnych periodyków.

„Miesięcznik” jest najmocniejszym potwierdzeniem starej prawdy, że prowincjonalizm to rodzaj postawy lub charakterologicznego skrzywienia, a nie klątwa czasu i miejsca. Docierając do największych i najważniejszych środowisk polskiego życia kulturalnego i politycznego zwraca ich uwagę nie tylko na środkowopomorski fenomen wszystkich pozytywnych i negatywnych przemian polskiego przełomu wieków, ale staje się również sygnałem uogólniającym ten proces.

Nazwany przez **Krzysztofa Teodora Toeplitza** „pozytywnym ewenementem na skalę krajową” każdym kolejnym numerem potwierdza swoją wyjątkową pozycję na polskim rynku czytelnictwa. Otwarty na problemy wsi i małych miast nie stroni od filozoficznych dysput, przegarnia literacki debiut i wysoką kulturę, daje satysfakcję ludziom różnych zawodów i specjalności, którym nieobojętny jest los i cywilizacyjna pozycja ich „Małej Ojczyzny”. Podejmuje problematykę mniejszości narodowych i europejskich aspiracji obu pomorskich województw. Promuje ludzi twórczych i ich dzieła. Ba, nawet je - te dzieła - nagradza, czego dowodem jest od lat przyznawany za osiągnięcia w dziedzinie kultury-sic! - kulinarno-gastronomicznej Srebrny Widelec, zaś z okazji swojego pięciolecia ustanowił wyróżnienie w postaci Koszalińskich Drzewek Sukcesu, których twórcą jest utalentowany kowal-artysta **Zbyszko Majba** z Ustronia Morskiego. Drzewka są i będą nagrodami za zasługi twórców w promocji Koszalina, który dzięki ich działaniom od wielu lat znacząco wpisuje się w krajobraz kulturalny Polski, Europy i świata. Na początku lutego 2006 roku pierwsze dwa drzewka redakcja wręczyła twórcom i realizatorom długoletniego, znanego już na świecie

przedsięwzięcia pod nazwą „Młodzi i Film” oraz Muzeum im. Włodzimierza Wysockiego i jego twórczyni - **Marlenie Zimnej**.

Jednym słowem - „Miesięcznik” chce być nie tylko lustrem czasu, ale także narzędziem kulturowego uszlachetniania dokonujących się zmian, których wymiar technologiczny nierzadko przytłacza duchowość mającego z nich korzystać człowieka. I to mu się udaje, a przy okazji udaje się Koszalinowi - niedawno miastu wojewódzkiemu, a dziś powiatowemu - posiadającemu od prawie sześciu lat swoje pismo społeczno - kulturalne. A to z warszawskiej perspektywy znaczy więcej niż posiadanie trakcji tramwajowej, która w Polsce jest synonimem wielkomiejskości. Bez względu na to, jak się potoczą losy „Miesięcznika”, już dziś wiadomo, że będzie przez dziesięciolecie nieocenioną kopalnią wiedzy o regionie, o jego twórczych mieszkańcach, ich kulturze i życiu umysłowym.

Leslie Brent (Lothar Baruch) - profesor st. Mary's Hospital Medical School w Londynie.

Jest jedynym żyjącym z trójki badaczy, którzy w 1960 roku otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny, za odkrycia immunologiczne, na których opiera się współczesna transplantologia.

Profesor Leslie Brent urodził się w Koszalinie przed 80 laty jako Lothar Baruch. Mieszkał z rodziną (drobni kupcy) przy dzisiejszej ulicy Dworcowej 4. W 1937 roku został wywieziony najpierw do sierocińca dla żydowskich dzieci w Panków, a rok później - po „nocy kryształowej” - jednym z pierwszych dziecięcych transportów do Anglii. To ocaliło mu życie. Reszta jego rodziny została rozstrzelana pod Rygą w 1942 roku.

W lipcu 2005 roku prof. Leslie Brent gościł w Koszalinie. Reminiscencje z tej wizyty opisał w poniższym artykule, który przedrukowujemy za „Magazynem Stowarzyszenia Uchodźców Żydowskich”.

O tej niezwykłej wizycie powstał też reportaż radiowy autorstwa Anny Rawskiej z Radia Koszalin. Audycja ta została nominowana do IX edycji Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarzy.

Leslie Baruch Brent

O tym, jak zacząłem wierzyć w cuda

Jestem naukowcem, a dokładniej mówiąc - immunologiem i jako taki nie wierzę w cuda. Tego lata jednakże przeżyłem tydzień, który wprawił mnie w zdumienie. Niniejsza reminiscencja jest bardzo osobistym zapisem tegoż tygodnia; jestem jednak przekonany, że aspekt osobisty został podczas niego przewyższony przez coś o wiele bardziej ważkiego: oczywistą potrzebę Polaków do nadrobienia swojej antysemickiej przeszłości.

Urodziłem się 80 lat temu w Köslin, wówczas niewielkim, handlowym mieście niemieckim na Pomorzu (Hinterpommern), leżącym pomiędzy Szczecinem i Gdańskiem. W późnych latach dziewiętnastego stulecia wzniesiono tam wielką synagogę, która istniała aż do jej zburzenia podczas „kryształowej nocy”, kiedy to zrównano z ziemią także oba - „stary” i „nowy” - cmentarze niemieckie znajdujące się na zewnątrz miasta.

Armia rosyjska poważnie zniszczyła miasto w 1945 r.; od tego momentu stało się ono całkowicie polskie, bez jakichkolwiek śladów niemieckich (poza pewną liczbą przedwojennych budynków) czy żydowskich. Köslin stał się Koszalinem.

W 1989 roku zdecydowałem się odwiedzić miasto po raz pierwszy od czasu ucieczki zeń w 1936 roku. Towarzyszyli mi wówczas moja pierwsza żona Joannę i mój syn Simon. Z uwagi na rozrost miasta i rozległą jego odbudowę z trudnością mogłem się w nim odnaleźć, chociaż park, pobliskie lasy oraz wybrzeże pozostały takimi, jakimi je pamiętałem. Pośród niektórych charakterystycznych budynków, jakie przetrwały, ku mojemu zdziwieniu znalazł się także ten jeden stojący w pobliżu dworca, w którym, w małym mieszkanku na trzecim piętrze, mieszkała w latach trzydziestych moja rodzina oraz ja. Nie znałem tam żywej duszy, tym bardziej nieoczekiwanym stał się katarktyczny efekt tamtej wizyty.

Pięć lat temu otrzymałem faks od **Zdzisława Pacholskiego** (Zibi), zawodowego fotografa z Koszalina, w którym informował mnie o znalezieniu kamienia nagrobnego mojego dziadka. Odkryto go leżącego w strumieniu, który płynął obok starego żydowskiego cmentarza; obecnie spoczywa on w lokalnym muzeum jako jedyny eksponat żydowski w regionie. Jak się okazało, był to kamień nagrobny brata mojego

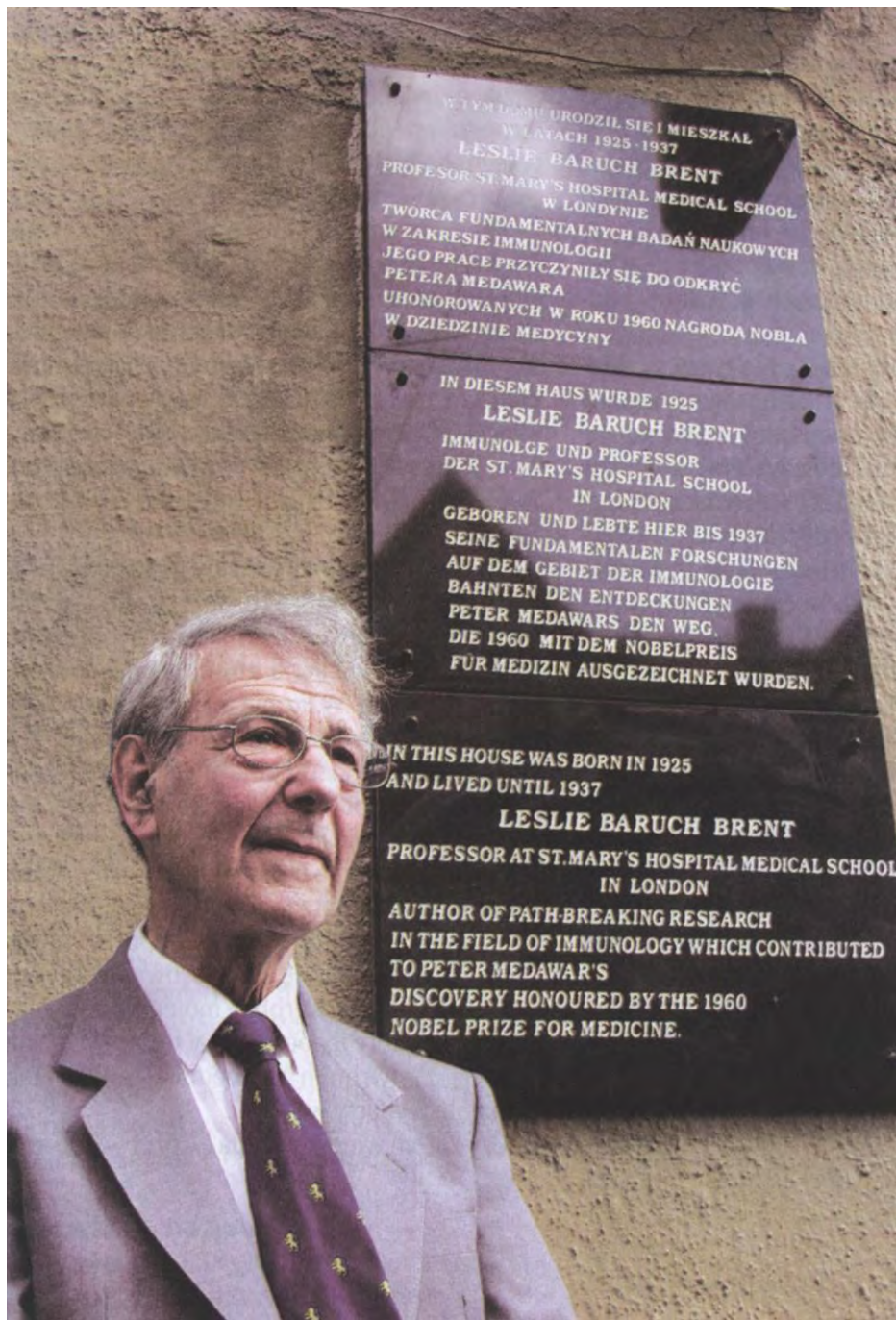
dziadka, Davida Barucha, urodzonego w 1840 roku.

Cztery lata temu wraz z moją drugą żoną Carol powróciliśmy do Koszalina, by przyjrzeć się kamieniowi oraz poznać, pośród innych, Zibiego i jego żonę, Ninę. Tym razem mieliśmy tu przy-

jaciół. Byłem teraz w stanie docenić miasto i to, czym się stało od czasu mego dzieciństwa. Zibi, znakomity fotograf, jest także głęboko zainteresowany żydowską historią Koszalina. W 2003 r. odkrył strony internetowe Brytyjskiego Towarzystwa Transplantacyjnego. Odnotowywały one

uroczystości związane z pięćdziesiątą rocznicą pierwszej publikacji artykułu w „Nature”, który doprowadził jego głównego autora, profesora P. Medawara do Nagrody Nobla. Sam byłem młodszym asystentem profesora i współautorem. Zibi zasugerował Prezydentowi Koszalina, że z człowiekiem, który obecnie nazywa się Leslie Baruch Brent, coś by trzeba było zrobić. I stało się tak, że jeszcze tego samego roku otrzymałem od Prezydenta Koszalina solenne zaproszenie do spędzenia tygodnia w tym mieście, w towarzystwie Carol, w charakterze gościa honorowego.

Przybyliśmy do Koszalina na początku lipca; prze-



Fot. Zdzisław Pacholski

żyłem tam wówczas najbardziej niezwykley tydzień w moim życiu. Byliśmy traktowani jak celebrities. Program przygotowany dla nas obejmował wizytę w Archiwum Państwowym, gdzie mogłem obejrzeć wpisy o narodzinach, ślubach i śmierci członków mojej rodziny (wszystkie starannie zachowane w niemieckich, oprawnych w skórę tomach), wizyty w muzeum (gdzie kamień nagrobny mojego stryjecznego dziadka stoi pośród pięknie zaaranżowanych eksponatów z przeszłości miasta) i w Izbie lekarskiej, gdzie wręczono mi świadectwo honorowego członkostwa, pierwszego w historii towarzystwa. Przed wyjazdem prezydent podarował mi oprawiony w skórę folder zawierający dokumenty mojej rodziny pięknie przekopiowane na welinowy papier.

Na moją cześć zorganizowano także sympozjum naukowe poświęcone transplantologii, w którym udział wzięli uczestnicy z Warszawy, Gdańska i Szczecina (przedstawiłem na nim także mój skromny przyczynek). Jeden wieczór spędziliśmy w teatrze (Teatrze Propozycji „Dialog” - dop. red.), w którym stłoczyło się 120 osób, wyłącznie po to, by zadawać mi pytania na temat mojego życia.

Byłem nieźle zakłopotany, gdy poproszono mnie o odsłonięcie dużej tablicy pamiątkowej w językach polskim, niemieckim i angielskim na ścianie domu, w którym mieszkałem z moją rodziną. Ostatni wieczór spędziliśmy na dedykowanym mi koncercie w katedrze (kiedyś: Marienkirche).

Wyjeżdżając z Koszalina wiozłem ze sobą pułdło prezentów: szereg książek o Koszalinie, trzy obrazy, film wideo (w wersji niemieckiej), popiersie Hipokratesa, kufel i inne pamiątki oraz najważniejsze: moje dokumenty rodzinne i butelkę po winie z fragmentem etykiety z gwiazdą Dawida i literami hebrajskimi. Tę przedwojenną butelkę znaleziono na miejscu po cmentarzu. Henryk Romanik, nie tylko ksiądz, ale także poeta, napisał o tym długi poemat, w którym symbolicznie powiązał losy tej butelki z losami moimi i mojej rodziny. Ksiądz podarował mi angielską

wersję tego poruszającego utworu.

Jednakże najbardziej doniosłym i wzruszającym wydarzeniem było dla mnie ponowne otwarcie starego cmentarza żydowskiego. Miejsce to, po identyfikacji, zostało uporządkowane i ogrodzone płotem z zielonej siatki. W stalową bramę wmontowano gwiazdę Dawida, a we wnętrzu ogrodzenia umieszczono wielki głaz narzutowy z tablicą w językach polskim i hebrajskim, mówiącą o historii cmentarza. Nieregularnego kształtu powierzchnię przed głazem wysypano białymi kamykami, posadzono także małe cyprysowe drzewko.

W ceremonii uczestniczył prezydent Koszalina, biskup oraz dwaj księża (jeden z nich, **Henryk Romanik** pomagał w przygotowaniach zdzierzenia), dwóch Żydów z Gdańska (jeden z nich był rabinem) i dwóch z Koszalina, przedstawiciela naczelnego rabina z Warszawy (Dyrektor Fundacji Ochrony Kultury Żydowskiej w Polsce) oraz profesor chirurgii transplantacyjnej. I, jak zwykle, Zibi, rejestrujący wszystko dla potomności.

Carol i ja ponownie byliśmy gośćmi honorowymi ceremonii, która rozpoczęła się dwiema minutami ciszy ku pamięci ofiar zamachów bombowych w Londynie, a której przyglądało się około 100 osób. W liczbie tej było 30 osób narodowości żydowskiej żyjących w mieście - był to pierwszy raz kiedy pojawili się razem jako grupa (nawet sobie nie zdawałem sprawy, że w mieście mieszkają jacykolwiek polscy Żydzi).

Sama ceremonia była głęboko wzruszająca, a otwarcie cmentarza, mam nadzieję, pomoże Żydom w Koszalinie odzyskać ich społeczną tożsamość. Zamierza się, w stosownym czasie, przenieść kamień nagrobny mojego stryjecznego dziadka, który zapoczątkował tę nadzwyczajną odyseję, z powrotem na cmentarz, skąd był tak brutalnie wydarty w 1938 r.

Czy zatem wierzę w cuda? Cóż, być może.

Tłumaczył: Jupi Podlaszewski

Święto kina w Koszalinie

Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film” na stałe wrósł w kulturalny krajobraz Koszalina. Nic dziwnego, skoro za nami już 24 edycje. I choć wiele się w ciągu lat zmieniło: nazwa (kiedyś były to Koszalińskie Spotkania Filmowe „Młodzi i Film”), formuła czy wreszcie termin, to jedno pozostaje niezmiennie: te kilka festiwalowych dni to święto kina, czas, w którym można obejrzeć wiele dobrych filmów z całego świata. Filmów „z powiewem świeżości”, jak ujął to jeden z członków zeszłorocznego jury, bo przecież to festiwal debiutów, święto bardzo młodego kina.

W 2005 roku Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film” odbył się w dniach 21-25 czerwca, wracając tym samym do tradycji letnich spotkań filmowych. Rozpoczął i wzbogacił ofertę kulturalną Koszalina w czasie trwania sezonu wypoczynkowego na wybrzeżu. Organizatorami festiwalu, jak co roku, byli: Miasto Koszalin i Stowarzyszenie Filmowców Polskich.

Dwa konkursy

Tradycyjnie filmy prezentowane były w dwóch konkursach: międzynarodowym debiutów fabularnych i krajowym etiud studentów szkół filmowych. Projekcje odbywały się w kinach „Kryterium” i „Kryterium-Alternatywa”, a seanse specjalne w amfiteatrze.

W konkursie międzynarodowym znalazło się 14 filmów fabularnych m.in. z Niemiec, Anglii, Rosji, Francji, Węgier i Polski. Polskę reprezentowały: „PitBull” Patryka Vegi, „Pręgi” Magdaleny Piekorz, „Siedem grzechów popcultury” Domana Nowakowskiego i Adama Bortnowskiego oraz „Emilia” Piotra Matwiejczyka.

Nazwiska, nazwiska...

Wzorem lat ubiegłych, patronatem honorowym objął festiwal Prezydent RR Aleksander Kwasiński. W Komitecie honorowym zasiadli: pre-

zes SFP Jacek Bromski, minister kultury Waldemar Dąbrowski, prezes Zarządu TVP S.A. Jan Dworak, dyrektor Canal+ Dominique Lesage i prezydent Koszalina Mirosław Mikietyński.

W obu jury festiwalowych znaleźli się cenieni twórcy filmowi i koneserzy filmu. Jury konkursu głównego obradowało pod przewodnictwem **Ryszarda Bugajskiego**. W składzie ponadto znaleźli się: laureatka Grand Prix Jantar 2004 Yasmine Kassari, aktorka **Aleksandra Nieśpielak**, redaktor naczelny miesięcznika „Cinema” **Bartek Fukiet** i **Jeffrey Paul**, reżyser filmowy, wykładowca w Sheridan College (Kanada), wychowawca wielu pokoleń młodych filmowców w USA i Kanadzie.

Patronatem medialnym objęli festiwal m.in.: Canal+, Polskie Radio Program 1 oraz Telewizja Polska.

Imprezy towarzyszące

Festiwal „Młodzi i Film” to nie tylko konkurs. To również święto kina. W trakcie 24. KFDF „Młodzi i Film” odbyło się m.in. laboratorium scenariuszowe poprowadzone przez **Cezarego Harasimowicza**, **Macieja Dejczerę**, **Janusza Majewskiego** i **Piotra Łazarkiewicza**. Laboratorium jest wspólnym projektem Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Miejskiego Ośrodka Kultury w Koszalinie. 10 uczestników i 4 wolnych słuchaczy przyjechało do Koszalina z pomysłem na scenariusz, a wyjechało z gotowym schematem jego napisania. Uczestnicy zostali wybrani na zasadzie konkursu spośród ponad 70 zgłoszeń (studenci i absolwenci szkół filmowych w Łodzi, Katowicach i szkoły filmowej Andrzeja Wajdy w Warszawie, stypendyści Munka i osoby, które starały się o stypendia Agencji Scenariuszowej). Laboratorium było pierwszą częścią projektu, jego zakończenie nastąpiło na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni we wrześniu 2005 r.

W trakcie festiwalu odbyły się także m.in. warsztaty filmowe poprowadzone przez znanego już reżysera młodego pokolenia, **Dominika Matwiejczyka** oraz seminarium dla nauczycieli poświęcone językowi filmu. Nie zabrakło też, odbywających się po projekcjach filmów konkursowych, dyskusji „Szczerość za szczerość”, forum dialogu twórców filmowych z widzami, spotkań o niepowtarzalnej atmosferze, które stały się jednym z wyróżników koszalińskiego festiwalu.

Na 24. KFDF „Młodzi i Film” silnie reprezentowane było kino niemieckie, w ramach przeglądu filmów niemieckich debutantów, zrealizowanych - w ramach pomocy młodym twórcom - przez telewizję ZDF, a także przeglądu filmów z festiwalu „DokumentArt” z Neubrandenburga. Odbyły się również spotkania z twórcami i producentami z Niemiec. Festiwalowi towarzyszył też przegląd „OffCinema”, pokaz wszystkiego, co najciekawsze w polskim kinie niezależnym, od horroru po animację.

W ostatnim dniu festiwalu, 24 czerwca, odbył się międzynarodowy panel dyskusyjny z udziałem producentów z Niemiec, Polski i Węgier, studentów szkół filmowych i młodych twórców. W jego trakcie poruszona i dyskutowana była także ważna dziś problematyka źródeł finansowania młodego kina w kontekście nowo uchwalonej Ustawy o Kinematografii.

W oczekiwaniu na jubileusz

24. KFDF „Młodzi i Film” przeszedł do historii jako bardzo udany. Po raz kolejny sprawnie połączone zostały: konkurs filmowy, dużo dobrego kina i misja edukacyjna festiwalu, jego wyróżnik spośród wszelkich imprez tego typu w Polsce. Widzowie mieli jedną z niewielu szans na zapoznanie się ze współczesnym młodym kinem. Z kolei twórcy - debutanci - na bezpośredni kontakt z odbiorcami, wysłuchanie uwag nie tylko zwykłych miłośników kina, ale i uznanych autorytetów z branży filmowej.

25. KFDF tuż - tuż (20-24.06.2006). Co przyniesie? Na pewno dużą dawkę dobrego kina i wspaniałą - jak zawsze - atmosferę. Zapraszamy!

Nagrody 24. KFDF „Młodzi i Film”

Grand Prix „Jantar 2005” dla najlepszego debiutu otrzymał film **„Jedwabna opowieść”** w reżyserii **Eleonore Foucher**.

Pozostałe nagrody konkursu głównego:

Nagroda specjalna Jury **„Jantar 2005”** -

„Schizo”, reż. **Guka Omarova**, Rosja.

„Jantar 2005” za najlepszą reżyserię -

„PittBull”, reż. **Patryk Vega**, Polska.

„Jantar 2005” za najlepszą rolę żeńską:

Jule Böwe za rolę w filmie „Katze im Sack”, Niemcy

„Jantar 2005” za najlepszą rolę męską:

Marcin Dorociński za rolę w filmie „PittBull”, Polska.

„Jantar 2005” przyznany przez dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu - **„Jedwabna opowieść”**, reż. **Eleonore Faucher**.

„Mały Jantar 2005” - film „Moje miejsce”,

reż. **Leszek Dawid** z PWSFTiW z Łodzi, za sprawność warsztatową i profesjonalizm oraz uczciwość w podejściu do tematu.

Nagrody konkursu polskich etiud studenckich:

II nagroda - filmowi „TV miłość”, reż. **Jaro-**

śław Banaszak z Wydziału Radia i Telewizji

Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach,

III nagroda (ex aequo):

„Jam Session”, reż. **Izabela Plucinska**, absolwentka

PWSFTiW w Łodzi,

„Dzień dobry, kochanie”, reż. **Małgorzata Kędzierska** z

Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w

Katowicach.

Trochę statystyki

W trakcie 5 festiwalowych dni widzowie mogli obejrzeć 111 filmów:

- 14 filmów fabularnych zakwalifikowanych do konkursu głównego
- 30 etiud studenckich
- 18 filmów w ramach pokazów specjalnych,
- 22 produkcje OffCinema
- 6 filmów w ramach przeglądu DokumentArt
- 5 filmów wyprodukowanych przez ZDF
- 14 filmów krótkometrażowych
- 2 filmy dokumentalne

Miód i kolokwinta

Gdy w roku 1989 **Urszula Kurtiak** i **Edward Ley** zakładali w Koszalinie Wydawnictwo Artystyczne, nikt nie mógł przewidzieć, jak potoczą się losy tego przedsięwzięcia. Masowa produkcja wydawnicza - pospieszna, niedbała, nietrwała, która zaczęła w tamtych czasach zalewać rynek księgarski, nie mogła zadowalać pary pasjonatów. Alternatywą dla niej miała stać się działalność edytorska, która powróci do dawnych tradycyjnych technik - ręcznej pracy, cyzelowania szczegółów, dbałości o estetykę, wygląd i charakter publikacji, co zaowocuje jej niepowtarzalnością i trwałością.

W dobie Internetu i kultury masowej nad jedną książką pracują nawet dwa lata, bo książka dla Urszuli Kurtiak i Edwarda Leya to nie tylko przekaz tekstowy, lecz przede wszystkim dzieło sztuki, z którym obcowanie ma być formą zaży-

łości z autorem, epoką, atmosferą, jaka towarzyszyła powstawaniu utworu. Dlatego przygotowania do wydania konkretnego dzieła są tak długotrwałe i pracochłonne. Gatunek papieru, krój pisma, tłumacz, ilustrator, rodzaj oprawy i materiały do niej użyte - to wszystko składa się na jedyne w swoim rodzaju dzieło, które przemawiać ma do odbiorcy już w chwili, gdy spoźnie na nim jego wzrok, a czasem nawet wtedy, gdy tylko poczuje jedyną, wyrafinowaną woń, jaką roztacza np. tomik wierszy.

Żałożyciele Wydawnictwa Artystycznego, polonistka i informatyk, introligatorstwa uczyli się w najlepszych ośrodkach za granicą - w Wielkiej Brytanii, Francji i Szwajcarii. Do gruntownego wykształcenia, a uczą się - jak mówią - cały czas, dodają pasję, erudycję, umiłowanie piękna. Bez tego nawet najbardziej fachowa wiedza



Fot. Zdzisław Pacholski

mogłaby zaowocować tylko wyrobami rzemiosła, a nie dziełami sztuki.

Są znani na całym świecie. Prezentowali swoje prace na prestiżowych salonach wydawniczych, targach i wystawach w USA, Niemczech, Francji, Hiszpanii, a ostatnio w Argentynie. Zachwycają cudzoziemców, do których ich magiczne książki przemawiają pięknem i oryginalnością mimo bariery językowej. Zachęcenі przez obcokrajowców podjęli więc wydania w językach obcych. Jednym z ostatnich, na zamówienie Kancelarii Prezydenta, były trzy poematy św. Jana od Krzyża w oryginale hiszpańskim - dar dla papieża Benedykta XVI.

Wśród zleceniodawców znajdują się m.in.: Kancelaria Prezydenta, PLL Lot, Business Center Club, Polska Rada Biznesu, Kancelaria Senatu.

Tomy oprawione w skórę, jedwabie, na czerwonym papierze, z klejnotami w drogocennych oprawach, w formie koła, harmonijki, zwoju, labiryntu, złożone, srebrzone... W nakładzie 3, a najwyżej kilkuset egzemplarzy, w różnych oprawach i odmianach jednego tytułu, w wersjach ekskluzywnych i tych bardziej dostępnych. Cieszą oczy w Muzeum Książki, jakie prowadzą w siedzibie firmy. Prezentują nie tylko własne wydawnictwa, ale w dwugodzinnym wykładzie, bogato ilustrowanym swoimi zbiorami, prowadzą uczniów, studentów, turystów, przez fascynujący świat książki.

Są więc edytorami i muzealnikami. Kierują praktykami studentów ASP, prowadzą zajęcia na wyższych uczelniach, szkolą młodych ludzi do pracy nad książką. Poświęcono im blisko 150 artykułów prasowych, prace dyplomowe i magisterskie, pracę doktorską i cztery filmy telewizyjne.

Są autorami kilku nowatorskich rozwiązań inżynierskich, chronionych patentami.

Marzą o nawiązaniu do tradycji papierniczych naszego regionu - tu ongiś produkowano (podobno najlepszy w Europie) papier. Kupili więc zabytkowy, przeszło 200 - letni młyn Holender do produkcji papieru czerwonego. Niestety, nie udało się znaleźć dla niego lokalizacji w Koszalinie. Złożony w przypadkowym magazynie niszc-



Fot. Zdzisław Pacholski

czał i tracił części... Został więc wypożyczony i uruchomiony pod Toruniem. A szkoda, bo mógłby stać się wielką atrakcją naszego miasta. Nie powiodło się także kupno wieży ciśnień - sprzedano ją, podobno po cichu, komuś innemu, a takie były piękne plany związane z tym ciekawym obiektem... Inne plany dotyczą badań nad wykorzystaniem włókien naturalnych do produkcji papieru - tyle wokół nieużytków, pól popegeerowskich, na których można by rozpocząć badania nad ramią - pokrzywowatą rośliną o najcieńszym i najdroższym włóknie, nad konopiami, lnem i pospolitą pokrzywą, zupełnie niewykorzystaną, a bardzo cenną jako włókno. Te projekty mają na celu oszczędność drewna. Papier z dodatkiem ścieru drzewnego jest nietrwały, lasy rosną wolno, ale... znów brak zainteresowania i poparcia dla tych projektów.

Artyści, jakimi są założyciele Wydawnictwa Artystycznego z trudem poruszają się w świecie biznesu, sami jako wydawnictwo prywatne nie są w stanie uruchomić ośrodka badawczego. Potrzebna jest współpraca środowisk naukowych, życzliwych temu pomysłowi, miejscowych władz, poszukiwanie partnerów. Bez tego - nadal będzie o nich głośno we Frankfurcie, Madrycie, Nowym Jorku, Argentynie, będą prowadzić ogromną promocję dla miasta, będą gościć cudzoziemców, oprowadzać po pięknej, zabytkowej siedzibie wydawnictwa, po półhektarowym ogrodzie i będą otrzymywać propozycje przeniesienia wydawnictwa za granicę. I, niestety, nie będą zdecydowanie mówić „nie”.

W ubiegłym roku dwa działające w Koszalinie związki twórcze obchodziły jubileusze: Związek Polskich Artystów Plastyków 50-lecie, Związek Literatów Polskich - 40-lecie. Z tej okazji odbyły się okolicznościowe wystawy i spotkania, rozdano nagrody i odznaczenia...

Niedawne jubileusze prowokują do refleksji, czym w dzisiejszych czasach są związki twórcze: jaką pełnią rolę, czy przynależność do nich jest nobilitacją i potwierdzeniem profesjonalizmu, słowem: komu są potrzebne i czy w ogóle są potrzebne?

O odpowiedź na te pytania poprosiliśmy kierujące regionalnymi zarządami panie prezes: Ewę Miśkiewicz-Żebrowską - ZPAP i Ludmiłę Janusewicz - ZLP.

Jerzy Narkowicz

Przepustka na salony

Rozmowa z dr Ewą Miśkiewicz-Żebrowską, prezesem okręgu koszalińsko-słupskiego Związku Polskich Artystów Plastyków

- W 2005 roku kilkakrotnie publicznie pani przypominała, że jest to rok jubileuszowy, kończący 50 lat działalności związku artystów. Czy z przypomnienia początków środowiska plastycznego wynikają refleksje przydatne w dzisiejszych czasach?

- Początki warto przypominać, ponieważ niewiele już ludzi pamięta tamte lata. Niewiele dzisiaj zdaje sobie sprawę, w jakich okolicznościach rodziło się środowisko plastyczne i jaka rola przypadła mu w rozwoju regionu, w zaspokojeniu duchowych potrzeb jego mieszkańców.

Przypomnę, że niemal wszystko, co ważne, w tym regionie zaczęło się w 1950 roku, kiedy utworzono województwo koszalińskie, a jego stolica - Koszalin - liczyła 20 tysięcy mieszkańców. I oto pięć lat po utworzeniu województwa, zjawia się grupka absolwentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, którzy tworzą - wraz ze starszymi kolegami - oddział ZPAP. Pierwszą instytucją artystyczną w młodym województwie był zawodowy teatr, który premierę dał w styczniu 1954 roku. Rok później już w sposób zorganizowany działali plastycy. Dopiero później powstała orkiestra symfoniczna i Związek Literatów Polskich. W głębi kraju opinie o nowym województwie i jego stolicy kształtowano nie na podstawie gospodarki, lecz na doniesieniach



o premierach teatralnych, wystawach plastycznych, pierwszych dokonaniach literackich. Dzięki istnieniu środowisk twórczych władze wojewódzkie w wieloletnich planach zaczęły uwzględniać programy w zakresie kultury i sztuki, zaś wojewódzki wydział kultury przyjął rolę mecenasa sztuki.

- Czy z działalnością środowiska plastycznego wiąże pani powstawanie nowych insty-

tucji kultury, których wcześniej nie było w regionie?

- Tak. Pierwsza prezentacja twórczości artystów z Koszalina i Słupska odbyła się w Wojewódzkim Domu Kultury w Koszalinie, ale niemal jednocześnie oryginalne prace plastyczne zaczęły docierać do powiatowych domów kultury. Kiedy w Słupsku powstała Wyższa Szkoła Nauczycielska, jej wykładowcami zostały artystki z Kołobrzegu. Podobnie było z utworzeniem ogniska plastycznego i liceum plastycznego w Koszalinie, z budową w Koszalinie Biura Wystaw Artystycznych. Bez środowiska plastycznego z uznanym dorobkiem raczej nie doszłoby do utworzenia wzornictwa na Politechnice Koszalińskiej.

- Pominęła pani rolę międzynarodowego pleneru w Osiekach...

- Bo chcę nieco szerzej o nich powiedzieć. Proszę zauważyć, jak energiczne było środowisko, bo już w pierwszych latach swojego istnienia, w 1963 roku, porywa się na międzynarodowy plener plastyczny, pod nazwą Spotkania

Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach. To było osiągnięcie, bo w tamtych czasach trzeba było uzyskać zgodę i dotację ministra oraz przyzwolenie centralnych władz partyjnych w Warszawie. O Osiekach zrobiło się głośno w kraju. Bo stały się one miejscem spotkań awangardy artystycznej, która nie była mile widziana przez władze i cenzurę. Osieki stały się w kraju symbolem wolności twórczej, wyrwania się artystów spod cenzury i zaleceń partyjnych. Nazwa miasta Koszalin od tego czasu na trwałe wpisała się na mapie kulturalnej kraju.

- Po latach wskrzesiła pani Osieki, choć z racji wieku wiedzę o nich czerpała pani zapewne tylko z publikacji. Czym są dzisiejsze Osieki?

- To nie tylko moja zasługa, było to wspólne dążenie koleżanek i kolegów skupionych w ZPAP. Plener jest inny, niż dawniej, bo i czasy się zmieniły. Jak dawniej jest to miejsce spotkań artystów z różnych krajów, wiernych różnym tradycjom i szkołom. W doborze uczestników bie-



rzemy pod uwagę kilka okoliczności. Zapraszamy artystów z miast zaprzyjaźnionych z Koszalinem, jak Neubrandenburg i Neumunster w Niemczech, Bourges we Francji, Gładsaxe w Danii. Od kilku lat gościmy regularnie artystów z Rosji. Na każdym plener zapraszamy polskiego artystę o randze europejskiej. Są z nami profesorowie akademii sztuk pięknych. W każdym plenerze uczestniczy grupa plastyków z naszego okręgu. W ubiegłym roku w Osiekach przebywali twórcy z Rumunii Joan Delamare i Emilia Persu - to artyści uznani w Paryżu, Wiedniu, Berlinie. Osieki otwierają okno na świat artystom i Koszalinowi. Dorobek Osiek w tym roku będzie pokazany w Kaliningradzie, o wystawę prac z pleneru proszą Lublin, Olkusz i inne miasta.

- Czy w jubileuszowym roku wystaw było więcej, niż zwykle?

- Tak. Prezentowaliśmy nasz dorobek w Galerii „Ratusz” w Koszalinie, w Galerii Sztuki Współczesnej w Kołobrzegu, w nowej Galerii Starosty Koszalińskiego. Piękna była biesiada poetycka i malarska w Policku pod Koszalinem.

- Na gorąco sformułowała pani wysoką ocenę wystawy „Postawy Roku 2005” w salonie Muzeum Okręgowego w Koszalinie. Co panią ujęło?

- Jak przystało na rok jubileuszowy honorową część ekspozycji zajęły prace artystów z okresu pionierskiego, których już nie ma wśród nas, m.in. Ignacego Bogdanowicza, Jerzego Niesiołowskiego, Ryszarda Siennickiego, Ryszarda Lecha, Stanisława Bekasenasę. Resztę ekspozycji wypełniły prace zarówno tych doświadczonych już artystów jak i młodych. Szczególnie mnie cieszy poziom prac młodych twórców, ich prace są świeżym powiewem w naszym środowisku. Za bardzo wartościowe uznaję prace Krzysztofa Recki-Rapsy, Pawła Daciuka, Roberta Chmielewskiego i Elżbiety Stankiewicz.

- Jak pani ocenia dzisiejszą sytuację środowiska plastycznego na Pomorzu Środkowym?

- Myślę, że jest taka sama, jak w ośrodkach miejskich podobnej do Koszalina wielkości, np.

w Zielonej Górze, Opolu, Kielcach, Olsztynie. Środowisko jest aktywne twórczo. Co roku na wystawy swoje prace zgłasza około 40 twórców. Mecenat państwowy, firmowany przez rząd i ministerstwo, prawie nie istnieje. Wspierają nas zdecydowanie dwa samorządy - miasto Koszalin i miasto Kołobrzeg, na mniejszą skalę także Urząd Marszałkowski, Starostwo w Koszalinie, burmistrz Sianowa. W regionie jest kilka stowarzyszeń skupiających twórców nieprofesjonalnych. Do ZPAP chętnie wstępują absolwenci uczelni plastycznych. Przynależność do ZPAP traktują jako nobilitację, ale też jako przepustkę do prestiżowych salonów, do wystaw za granicą, do galerii w stolicy i innych miastach.

Na straży poziomu polskiej literatury

Czy potrzebne są związki twórcze?

Odpowiedź nie może być jednoznaczna. Każdy twórca jest indywidualistą, co nie powinno dziwić, zważywszy, że w swojej twórczości czerpie głównie z osobistych zasobów intelektualnych, duchowych, moralnych i estetycznych. Zatem to grono osób nadaje się najmniej do uczestnictwa w jakichkolwiek sformalizowanych związkach czy stowarzyszeniach. A jednak one istnieją, bo twórcy pozbawieni takich ram, nie mieliby narzędzi do prawidłowego funkcjonowania w społeczeństwie. Tę prawdę potwierdza długa historia związków twórczych, a o wiele wcześniej związków artystów z możliwymi swoich czasów, dzięki którym mogli tworzyć.

Sięgając do początków, warto przypomnieć historię wielkiego poety rzymskiego Horacego żyjącego w I w.p.n.e. za panowania Oktawiana Augusta, który dzięki miłośnikowi sztuki Mecenasowi, który zabezpieczył mu finansowy byt, mógł zająć się tylko pisanem. W kolejnych epokach było podobnie, na miarę tych epok. Wystarczy prześledzić epoki i życiorysy wybitnych malarzy, (Leonardo da Vinci, Rafaello), pisarzy (Jan Kochanowski) czy muzyków (Mozart). Zatem w każdych czasach artyści, aby tworzyć, potrzebowali pomocy w sferze materialnej. Wiązało się to niejednokrotnie z pewnymi ograniczeniami narzucanymi przez kolejnych mecenasów, którymi bywali królowie, książęta, papieże i rządy.

Ograniczę się jednak do czasów najnowszych i to tylko do sfery literatury. Związek Literatów Polskich powstał pod pierwszą prezesurą **Stefana Żeromskiego** w czasie międzywojnia jako związek zawodowy pisarzy, który miał za zadanie chronić ich interesy twórcze i materialne. Po drugiej wojnie światowej Polska znalazła się w bloku państw socjalistycznych, co zaowoco-

wało szczególnym uczuleniem władzy na słowo pisane, które dla celów propagandowych chciała traktować instrumentalnie. Stąd się wziął niechlubny okres „umysłu zniewolonego” socrealizmu, któremu na szczęście nie wszyscy ulegali. Były listy otwarte pisarzy, zakaz druku, drugi obieg itd. Okres ten zamknęły wydarzenia poznańskie w 1956 roku, a kolejnym przełomem dla Polski był sierpień 1980 roku i powstanie „Solidarności”, a jeszcze wcześniej słowa papieża **Jana Pawła II** Nie lękajcie się, które dały wiarę w zmianę tego, co wydawało się być niezmiennie. Potem ciosem okazała się likwidacja związków twórczych w stanie wojennym, które po jakimś czasie reaktywowano, choć w wielu przypadkach tworzone również nowe, co do dziś jest przedmiotem wielu sporów, zarówno ideologicznych, jak i związanych z majątkiem związkowym.

Odtworzono Związek Literatów Polskich i utworzono Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oba związki urzędują we wspólnej siedzibie na Krakowskim Przedmieściu tuż przy kolumnie Zygmunta i Zamku Królewskim. (Jest jeszcze Stowarzyszenie Autorów Polskich skupiające auto-



Od prawej: Ludmiła Janusewicz, Józef Narkowicz i gość z Gdańska - Stefan Chwin.

rów książek różnego gatunku, głównie naukowych, historycznych i innych). Na pierwszym cięży w jakimś sensie odium poprzednich lat, choć jego członkowie niejednokrotnie byli niszczeni (Jerzy Zawieyski, Paweł Jasienica), a drugi traktowany łaskawiej - co jest sztucznym podziałem. Po prostu w mniejszych miastach istniały od lat oddziały ZLP, a literaci mniej interesowali się polityką, a bardziej literaturą i życiem literackim traktując zakwalifikowanie się do związku twórczego jako nobilitację.

Obecnie powiada się nieco uszczypliwie na Krakowskim Przedmieściu, że być może dojdzie do zjednoczenia obu związków, ale trzeba poczekać, aby w naturalny sposób odeszli z obu stron ci najbardziej zapieklisi w poglądach. Inni twierdzą, że może być wiele związków, o czym świadczą przykłady z innych państw. Zaś część literatów nie należy do żadnego z nich woląc być niezależnymi, a dla jeszcze innych jest to próg nie do przebycia ze względów artystycznych.

Kolejny przełomowy rok 1989 przyniósł transformację ustrojową. Jesteśmy wolni i wreszcie ponownie w rodzinie europejskiej, choć bezlitosny kapitalizm pokazuje wciąż swoje pazury, częściej kierując się niewybrednym popytem niż wyrobionymi gustami literackimi. Promowanie bezmyślnej kultury masowej, oduczającej od samodzielnego myślenia, powoduje żenujący stopień czytelnictwa. Pisarze musieli się zmierzyć z nową sytuacją, głównie w zakresie wydawania książek. Na szczęście nie ma już cenzury, ale trzeba mieć pieniądze lub sponsorów na wydawanie książek. Nie dotyczy to naprawdę dużych nazwisk (**Pilch, Miłosz, Twardowski**) i tytułów, bądź komercyjnych hitów typu **Grochola**, nad którymi pracują działy marketingu w wydawnictwach. Natomiast wielu wybitnych twórców (za dużo musiałabym wymieniać nazwisk) boryka się z problemami bytowymi i wydawniczymi, gdy tymczasem dziś każdy może wydać książkę bez fachowej oceny recenzentów i niewyrobiony czytelnik często podchodzi z taką samą powagą do przejawów grafomanii, jak i do wartościowego utworu.



Gościem koszalińskiego oddziału ZLP w roku jubileuszowym był Piotr Kuncewicz.

Zatem literackie związki twórcze potrzebne są choćby po to, by pilnować poziomu polskiej literatury. Także pełnić rolę organizatora działalności literackiej i łącznika z literackimi środowiskami różnych regionów kraju oraz dbać o swoich członków na różnych płaszczyznach. Ponadto związki i stowarzyszenia są uprawnione do składania wniosków o dotacje, nagrody i inne tego typu inicjatywy oraz prowadzenia rozmów z władzami na wszystkich szczeblach. Naturalnie zawsze pozostaje jeszcze możliwość uzyskiwania prywatnego sponsoringu, z czego wiele osób korzysta, ale nie każdego bezkompromisowego artystę na to stać.

Pisarze są tymi przedstawicielami polskiej kultury, którzy wciąż mając poczucie misji słowa, pomimo galopującej technicyzacji życia, czy wręcz tym bardziej - chcą przypominać, że możliwa jest komunikacja pełnymi zdaniami, a nie tylko esemesami, e-mailami, slangami, gwarą środowiskową czy nic nieusprawiedliwiającym, niechlujnym językiem na co dzień.

W świetle przedstawionych faktów i argumentów, odpowiedź o zasadności istnienia związków twórczych pozostawiam czytelnikom.



W 2005 roku koszaliński Zespół Szkół Plastycznych obchodził trzydziestolecie istnienia. Z tej okazji szkole nadano imię Władysława Hasióra. To dobry pretekst, aby zastanowić się nad tym, jakie znaczenie dla miasta ma fakt, że Koszalin jest jednym z kilku ledwie miast, w których „płoną” rzeźby Hasióra: „Płonąca Pieta” koło Kopenhagi, „Słoneczny rydwan” pod Sztokholmem, „Ogniste ptaki” w Szczecinie. Są wreszcie „Płonące ptaki” w Koszalinie...

Jerzy Gąsiorek

Miasto wybrane przez Hasióra

Kiedy tuż po wojnie przez dziesięć lat mieszkalem z rodzicami w Sławnie, wielokrotnie jeździłem do wojewódzkiego Koszalina. Teraz, po latach rad odwiedzam oba miasta. W pierwszym zostały piękne wspomnienia lat szkolnych, drugie odwiedzam głównie ze względu na Hasiorewskie Ptaki.

Moja fascynacja Hasiorem trwa od lat 60. O artyście, ze względu na podjęte nowatorskie i niekonwencjonalne środki wyrazu zaczynało być coraz głośniejsze. Przez następne lata Hasiór był obecny, ekspozowany i eksploatowany... Szokował, drażnił, budził zachwyt i zgrozę. Rzeźbił, malował, projektował scenografie, wykładał.

Od lat 90. o Hasiorze mówiło się zdecydowanie mniej. Naraził się między innymi tym, że

wystawiał w stanie wojennym... Że mu się powiodło (sic!). Kiedyś w rozmowie ze mną wyjaśnił mi, dlaczego - mimo protestów „koleśiów” - wystawiał w tym czasie, dlaczego postawił pomnik pod Czorsztynem czy w Koszalinie. Mówił bardzo przekonująco. Nigdy zresztą w takim kontekście nie oceniałem Hasióra. Dla mnie jest i był największym twórcą w powojennej Polsce, autorem tysięcy eksponatów, które budziły zachwyt, niekiedy oburzenie nade wszystko był autorem dzieł wielkich, dla rzeźbiarza najważniejszych - pomników, realizacji przestrzennych, w które wprzągnął siły natury: ziemię, wiatr, wodę czy ogień. Oprócz wielu niezrealizowanych, a także nowatorskich projektów, jak szklane pomniki „Tym, co do nieba czwórka

mi szli, bądź „Tym, co na morzu” powstały dzieła wielkie, niepowtarzalne. Aż trudno uwierzyć, że przetrwały w opłakanym stanie, jak choćby „Żelazne Organy” - pomnik czci poległych w walce o utrwalanie władzy ludowej na Podhalu w latach 1945-51, odsłonięty w 1966 r. Może właśnie ze względu na owo przesłanie pomnik nigdy nie „zagrał”, a jego dni są policzone. Jaka szkoda! Pomnik „Rozstrzelanym partyzantom z Nowego Sącza” w ogóle tam nie stanął. Niechciany stoi od 1968 r. przy Muzeum Architektury we Wrocławiu.

Pomnik koszaliński przy ulicy Gdańskiej to wyjątek. Doczekał się realizacji i stoi do dziś. Jest chlubą miasta. Wiem też, że rodził się w bólach przez kilka lat. Najpierw był pokaz „Płonących Ptaków” (studium do późniejszego pomnika) w 1977 roku, kiedy **Leonard Kabaciński** zorganizował mistrzowi wystawę w galerii BWA. Dwa lata wcześniej, z okazji indywidualnej wystawy na Zamku w Szczecinie Hasior zrealizował podobną kompozycję plenerową „Ogniste Ptaki”. Pierwsza wersja „Płonących Ptaków” miała miejsce już w 1973 roku na pokazie plenerowym w Łącku.

Kiedy w 1980 r. przyszło mi kierować nowo powstałą galerią BWA (w Gorzowie Wielkopolskim - dop. red.) ze znakomitą przestronną salą, natychmiast pomyślałem o ekspozycji prac Władysława Hasiora. Latem tego roku Hasior zajęty był właśnie realizacją pomnika w Koszalinie. Kiedy nie odpowiedział na mój wcześniejszy list pojechałem tam. To był mój pierwszy fizyczny kontakt z mistrzem, kontakt, który przerodził się w wieloletnią współpracę i swoistą przyjaźń. Pamiętam doskonale to pierwsze spotkanie. Leonard zawiózł mnie do Hasiora, który na koronie amfiteatru klęczał nad wielkim kartonem, rysując w skali 1:1 kolejny element żelaznej rzeźby. Kiedy mnie przedstawiono, Hasior przypomniał sobie zapewne żarliwego korespondenta. Wstał, przywitał się ciepło, przeprosił za milczenie. Po skończonej pracy zaprosił mnie do restauracji, gdzie wypilem z mistrzem toast, łamiąc swoją abstynencję (!). Tak więc moje pierwsze, jakże ważne spotkanie z Hasiorem, miało miejsce przy realizacji koszalińskiej rzeź-

by - pomnika „Tym, co walczyli o wolność i polskość Pomorza”. Może właśnie dlatego zgodziłem się popełnić niniejszy tekst. W latach późniejszych moje kontakty z mistrzem, mimo szalonej odległości od Zakopanego, były dość częste. Dwukrotnie eksponował swoje prace w gorzowskiej galerii w roku 1981 i 1992.

W efekcie zacząłem gromadzić jego prace. Udało mi się zebrać ponad trzydzieści, w tym cztery sztandary. Kolekcja na tyle była spójna i interesująca, by w 1985 roku powołać stałą galerię prac Hasiora w Gorzowie. Po zakopiańskiej jest to drugi tak liczny zbiór prac mistrza, wielokrotnie pokazywany w kraju i za granicą. Nie udało się, nad czym boleję, zrealizować rzeźby przestrzennej. W Gorzowie miał stanąć „Krzew Go-rejący”. Mimo wielu rozmów i wstępnej akceptacji władz projekt nie został sfinalizowany. Idea budowy rzeźby przypadła na tak burzliwy przełom lat 80. i 90., kiedy to wyłoniły się ważniejsze sprawy i wydatki... Szkoda.

Koszalin, któremu udało się pozyskać mistrza i zrealizować projekt, winien czuć się miastem wyróżnionym. To znakomita wizytówka miasta. Polska pomnikami stoi; w większości to kamienno-obeliskowe, bezduszne gnioty. Kraj zaprzepaścił nawet okazję pozyskania pomnika Osipa Zajkina, z którym Hasior spotkał się tuż po studiach w Paryżu. Niezwykle ekspresyjna rzeźba „Rozdartemu miastu” dedykowana była powojennej Warszawie. Ale stolica jej nie chciała. Ostatecznie stanęła w Rotterdamie.

Koszaliński pomnik, w swym założeniu bodajże największy w kraju, znakomicie oddaje ideę, której był dedykowany. Niezwykłe dzieło – stado ptaków na kołach uproszczonych, ekspresyjnie wysłużonych sylwetkach. Ptaki symbolizują wolność. Niektóre uzbrojone w karabiny czy bagnety - to echo niedawnych walk o Pomorze. Do kół przytroczone tu i ówdzie pług, lemiesz - symbole pracy, znoju, rodzącego się chleba. Zaś słońca i wiatraczki niosą powiew radości. I ogień, który jest wieloznaczny i wielowymiarowy, nadaje pomnikowi niezwykłą ekspresję. Jedyny, czynny w Polsce pomnik z żywym ogniem!

W swej niewielkiej książeczce „Myśli o sztuce” w rozdziale „O pomnikach” pisze Hasior:

„Uczciwy artysta powinien - projektując pomnik - zrezygnować ze swych poglądów na rzeźbę, aby nie stracić kontaktu ze społeczeństwem, któremu pomnik ów ma służyć... Pomnik ma za zadanie coś upamiętniać - postać, wydarzenie, określone idee. (...) Pomnik powinien być taki, żeby nie był potrzebny żaden podpis czy wyjaśnienie”. Do takich niewątpliwie należy pomnik koszaliński. Wcześniej, znakomicie swą rozdraganą sylwetą, rysował się na tle nieba. Teraz, kiedy tłem jest budynek Politechniki Koszalińskiej, stał się mniej wyrazisty. Z drugiej strony może dobrze, że stoi w sąsiedztwie tak szacownej instytucji i jest oglądany z innej perspektywy i swoiście strzeżony.

Dyskusyjna jest sprawa „przebrania” rzeźby w kolorowe szaty (to samo spotkało szczecińskie „Ptaki”). Jednakże fakt, że pomnik nie podzielił losu czorsztyńskich „Organów” jest budujący. Może studenci pobliskiej Politechniki wymyślą sposób zainstalowania nowego systemu podpalania rzeźby (gaz, biopaliwa?) w szczególnych, ale częstszych okazjach. Hasior nie miałby nic przeciwko temu. Byłoby to sensowne podziękowanie miasta temu wielkiemu artyście, którego wspaniałe realizacje uświetniają przestrzenie nad Sztokholmem, Kopenhagą czy dalekim Montevideo. Wszystkie odlane ze zbrojonego cementu i wydarte ziemi (metoda, którą wymyślił Hasior), a następnie podpalone są niezwykle. Koszaliński pomnik, zmontowany z żeliwnych elementów, jest równie niezwykły i niepowtarzalny.

Czy mieszkańcy Koszalina zdają sobie sprawę z tego, co posiadają?

Hasiorowi...

*Dziś na pewno załkają
czorsztyńskie organy
bezwłose anioły
cekinowymi zapłaczą łzami
szklany ogrodnik
zerwie czarne róże
żar jeszcze boleśniej
oparzy Wawrzyńca
z rozbitych luster
wypełzną dramaty
kolorowe sztandary w chmury
wyobraźni
uniesie fantazja
a rydwan słoneczny wzniesie Cię nad Giewont
wszak zawsze chciałeś przebić rzeźbą niebo*

15.07.1999

Jerzy Gąsiorek

Pub środowisk twórczych

Mieszcząca się przy ulicy Modrzejewskiej 31 „Centrala Artystyczna” powstała w styczniu 2000 r. jako kawiarnia internetowa. Szybko jednak stała się miejscem prezentacji różnych form działalności artystycznej.

Na początku były to głównie koncerty, a występujący muzycy wywodzili się, jak to zwykle bywa, z kręgu znajomych nieżyjącego już właściciela **Artura Świdronia**. Jako pierwszy wystąpił zespół „Apteka”, następnie regularnie, co niedziela, koncertowali **Marek Dyjak** oraz Irlandczyk **Graham Crowford**, śpiewający m.in. poezję **Edwarda Stachury**.

Gdy w „Centrali” zaczęli pojawiać się artyści plastycy i liczni studenci Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, związany z Instytutem artysta plastyk **Andrzej Ciesielski** zaczął prowadzić wtorkowe spotkania z filmami o sztuce. Od czasu do czasu uzupełniały je spotkania z artystami. Wtedy to swój wieczór autorski miał prof. **Jan Krzysztof Meisner** z Warszawy. **Zbigniew Taszycki**, adiunkt Instytutu Wzornictwa, prezentował młodych artystów poznańskich związanych z galerią „Plastyfikatory” **Radosława Jureczka** i **Marcina Ładygę**, oraz grafików **Maję Wolny** i **Maxa Skorwidera**.

Odbываły się tutaj również wystawy studen-

tów Pracowni Kompozycji Brył i Płaszczyzn, a także indywidualne wystawy studentów i absolwentów Wzornictwa. Swoje dokonania plastyczne prezentowali tu również koszalińscy artyści: **Małgorzata Chmielowska**, **Krzysztof Ryćko-Rapsa**, **Paweł Daciuk**, **Andrzej Ławrynowicz**. Dwie wystawy fotograficzne prezentował znany artysta fotografik z Poznania **Zygmunt Gajewski**.

Działalność „Centrali” wzbogacały prezentacje małych form teatralnych. Z monodramami wystąpili tu m.in. **Ewa Nawrocka**, **Tadeusz Wasiak**, **Wojciech Broda-Żurawski**. W zamierzeniu gospodarzy lokalu jest stworzenie stałych cykli prezentacji artystycznych: już dziś wtorki przypisane są prezentacjom plastycznym i multimedialnym, piątki - muzycznym. Zaczęły pojawiać się też propozycje związane z różnymi formami tańca.

Obecna właścicielka „Centrali Artystycznej” **Violetta Świdroń** marzy, by miejsce to stało się klubem środowisk twórczych, miejscem spotkań i konfrontacji postaw i kierunków artystycznych, gdzie ścierać się może wiele poglądów dotyczących różnych dyscyplin artystycznych.

Otwartość miejsca pozwala na swobodną prezentację przy otwartej kurtynie, bez zadęcia i powagi galerii, specjalistycznych sympozjów czy zamkniętych spotkań „jedynie wtajemniczonych specjalistów”. Tutaj adepci sztuki, uczniowie i studenci oraz stali goście kawiarni na żywo mogą obserwować, uczestniczyć w dyskusjach i konfrontować pierwsze własne dokonania.

„Centrala Artystyczna” już jako miejsce kulturotwórcze staje się w pewnym stopniu klubem twórczym, tak dla tworzących jak i dla odbiorców kultury. Od kilkunastu lat takiego miejsca w Koszalinie po prostu nie było.



Fot. Ilona Łukianiuk

Wernisaż Krzysztofa Ryćko - Rapsy.

KALENDARIUM

WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ KULTURALNYCH W KOSZALINIE W 2005 ROKU

Muzyka

Filharmonia Koszalińska im. Stanisława Moniuszki

- 6 - 7 stycznia Koncerty noworoczne. Johann Strauss i inni wiedeńczycy Ernest Hoetzel - dyrygent
- 13 - 14 stycznia Koncerty karnawałowe „Pamiętajmy o Osieckiej...” Laureaci Konkursu na Interpretacje Piosenek Agnieszki Osieckiej 2004 r.
Magda Umer - prowadzenie i śpiew, Wojciech Zieliński - dyrygent
- 20 - 21 stycznia Karnawałowe jazzowanie. Przeboje muzyki światowej
Stanisław Fiałkowski - dyrygent i aranżer, Anna Serafińska - śpiew, Zbigniew Namysłowski - saksofon
- 27 - 28 stycznia Koncerty karnawałowe. Piosenki z repertuaru Nat King Cole'a i Paula Anki. Jan Walczyński - dyrygent, Poznański Zespół Wokalny Affabre Concinui
- 3 - 4 lutego Zakończenie karnawału.
Najpopularniejsze arie i duety z oper i operetek Jerzy Kosek - dyrygent, Małgorzata Ratajczak - mezzosopran, Janusz Ratajczak - tenor
- 11 lutego Koncert symfoniczny. H. Wieniawski, P. Czajkowski
Aleksandar Marković - dyrygent, Piotr Pławner - skrzypce
- 18 lutego Koncert symfoniczny: L. van Beethoven, A. Dworzak, W.A. Mozart.
Aleksandar Marković - dyrygent, Andrzej Bauer - wiolonczela
- 4 marca Koncert symfoniczny. W.A. Mozart, L. van Beethoven.
Jose Maria Florencio Junior - dyrygent, Patrycja Piekutowska - skrzypce
- 11 marca Koncert symfoniczny. D. Szostakowicz, S. Drzewiecki, A. Chaczaturian.
Piotr Dąbrowski - dyrygent, Maria Machowska - skrzypce, Stanisław Drzewiecki - fortepian
- 18 marca Koncert symfoniczny. C. Nielsen, A. Dworzak.
Aleksandar Marković - dyrygent; Søren Elbaek – skrzypce
- 1 kwietnia Koncert symfoniczny. B. Smetana, D. Milhaudm, J. Brahms.
Marek Pijarowski - dyrygent, Agnieszka Grzybowska – marimba
- 22 kwietnia Koncert symfoniczny. Z. Kodály, F. Chopin, A. Honegger
Vladimir Kiradjiev - dyrygent, Rafał Blechacz – fortepian
- 29 kwietnia Koncert symfoniczny. G. Fauré, J. Ibert, C. Debussy
Aleksandar Marković - dyrygent, Łukasz Długosz – flet
- 6 maja Koncert muzyki filmowej.
Krzesimir Dębski - dyrygent, Anna Jurkiewicz – śpiew
- 13 maja Koncert symfoniczny. F. Liszt, F. Chopin, R. Wagner
Aleksandar Marković - dyrygent, Lidija Bizjak – fortepian
- 20 maja Koncert symfoniczny. Koncert uczniów Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.
Anna Jaroszevska – dyrygent

28 maja	Koncert symfoniczny: M. Glinka, A. Głazunow, Z. Noskowski, M. Karłowicz. Marcin Nałęcz-Niesiołowski - dyrygent, Jakub Jakowicz - skrzypce
19 czerwca	Zakończenie sezonu artystycznego 2004/2005: Requiem G. Verdi. Aleksandar Marković - dyrygent, Izabela Kłosińska - sopran, Barbara Baranowska - alt, Adam Zdunikowski - tenor, Romuald Tesarowicz - bas, Chór Politechniki Szczecińskiej
22 września	Inauguracja 50. sezonu artystycznego 2005/2006. S. Moniuszko. Ruben Silva - dyrygent, Iwona Hossa - sopran, Dariusz Stachura - tenor, Marcin Bronikowski - baryton, Piotr Nowacki – bas
6 października	Koncert symfoniczny: E. Grieg, P. Czajkowski. Ruben Silva - dyrygent, Rafał Łuszczewski - fortepian
13 października	Koncert symfoniczny. G. Telemann, A. Panufnik, L. van Beethoven. Jan Stanienda - dyrygent, skrzypce
21 października	Koncert symfoniczny: J. Brahms, E. Grieg. Matthias Maurer - dyrygent: Barbara Górzyńska - skrzypce
11 listopada	Koncert symfoniczny: F. Chopin, W. Lutosławski. Ruben Silva - dyrygent
18 listopada	Koncert symfoniczny. K. Kurpiński, J. Haydn, F. Mendelssohn-Bartholdy. Marzena Diakun - dyrygent, Rafał Kwiatkowski - wiolonczela
24 listopada	Koncert symfoniczny w 150. rocznicę śmierci Adama Mickiewicza: R. Schumann, S. Moniuszko. Tomasz Bugaj - dyrygent, Tadeusz Szlenkier - tenor, Chór Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku
2 grudnia	Koncert symfoniczny. M. Ravel, M. Bruch, C. Debussy. Ruben Silva - dyrygent, Krzysztof Jakowicz - skrzypce
9 grudnia	Koncert symfoniczny: A. Copland, M.M. Ponce, L. Delibes. Vladimir Kiradjiev - dyrygent, Marcin Dylla - gitara

39. Międzynarodowy Festiwal Organowy

24 czerwca	Inauguracja Festiwalu w Koszalinie: Bogdan Narloch - organy, Aleksandar Marković - dyrygent, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
1 lipca	Koszalin: Józef Kotowicz - organy, Ruben Silva - dyrygent, Gabriela de Silva - sopran, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
8 lipca	Koszalin: Marri Hannula (Finlandia) - organy, Łukasz Borowicz - dyrygent, Lauri Voipio (Finlandia) - wiolonczela, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej (ten sam koncert dzień później odbył się w Darłowie)
9 lipca	Białogard: Chór Kameralny z Munster (Kammerchor Münster), Herman Kreutz - kierownik/dyrygent
15 lipca	Koszalin: Adam Klarecki - organy, Przemysław Pałka - dyrygent, Jolanta Kajdasz - sopran, Maria Wlekińska - mezzosopran, Chór Repetitio studentów Akademii Muzycznej w Poznaniu i Uniwersytetu Rzeszowskiego, Chór Ojczyzna Studium Dyrygentów Polonijnych w Koszalinie, Adam Kłonkowski i Bożena Stasiowska-Chrobak - przygotowanie chórów, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej, Bogdan Narloch - klawesyn
16 lipca	Darłowo: Bogdan Narloch - organy/fortepian, Zdzisław Piernik - tuba

21 lipca	Białogard: Paulo Bernardino (Portugalia) - organy, Chór Orfeao de Leiria (Portugalia), Augusto Mesquita - kierownik chóru/dyrygent
22 lipca	Koszalin: Wolfgang Seifen (Niemcy) - organy, Augusto Mesquita (Portugalia) dyrygent/kierownik chóru, Chór Orfeao de Leiria (Portugalia), Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
24 lipca	Darłowo: Chór Orfeao de Leiria (Portugalia), Augusto Mesquita - kierownik chóru/ dyrygent
29 lipca	Koszalin: Conrad Zwicky (Szwajcaria) - organy, Paul Leo Leenen (Niemcy) - dyrygent, Renata Grodzicka-Kuczyńska - sopran (Niemcy), Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
30 lipca	Białogard: Conrad Zwicky (Szwajcaria) - organy, Salome Zwicky (Szwajcaria) - mezzosopran
5 sierpnia	Koszalin: Anna Buczek Merz - organy/śpiew, Warszawski Kwartet Puzonowy
12 sierpnia	Koszalin: Thomas Mikael Kursch (Dania) - organy, Leon Zaborowski - dyrygent, Chór Kameralny Capella Musicae Antiquae Orientalis
19 sierpnia	Zakończenie Festiwalu w Koszalinie: Christoph Grohmann (Niemcy) - organy, Joanna Zagrodzka - skrzypce, Luis Garcia Alvarez - skrzypce, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz

16 stycznia	Koncert Chóru „Kantata” w katedrze koszalińskiej (w programie kolędy i pastorałki)
12 kwietnia	Koncert „Uczeń i jego pedagog” w wykonaniu uczniów i pedagogów szkoły
20 maja	Koncert uczniów z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej
13 czerwca	Światowe prawykonanie utworu Zdenka Krala „Carmina Burana II” w ramach III Międzynarodowych Warsztatów Artystycznych „Muzyka porusza duszę i łączy serca”
19-21 lipca	XI Ogólnopolski Kurs Interpretacji Muzyki Organowej pod patronatem Ministerstwa Kultury - prowadzenie prof. Wolfgang Seifen z Universität der Künste Berlin
28 września	
3 października	Tournée orkiestry szkolnej do Norwegii - cykl koncertów pod dyрекcją Małgorzaty Kobierskiej
3 października	Koncert z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki
17 listopada	Koncert dla osób niepełnosprawnych pt. „Solo i w duecie”
29 listopada	Koncert „Wirtuozi i poeci fortepianu”

Hanza Jazz Festiwal

16-19 listopada	Koncerty jazzowe w koszalińskich klubach i pubach oraz nocne jam-sessions. Na zakończenie koncert finałowy z udziałem muzyków z Niemiec Meklemburgii - Pomorza Przedniego i województwa zachodniopomorskiego
-----------------	--

Festiwal Pieśni Religijnej

11 grudnia XVI Diecezjalny Festiwal Pieśni Religijnej „Pozostań z nami, Panie”
- koncert finałowy

Polonijne Lato

10 - 23 lipca Koncerty i spotkania, w ramach których m.in. Edukacyjne Studium Dyrygentów „Chórów Polonijnych”, Polonijne Warsztaty Edukacyjno-Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży, występ Chórów Ojczyzna oraz Repetitio podczas 39. Międzynarodowego Festiwalu Organowego oraz uroczystości z okazji 15-lecia Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”

Literatura

20 stycznia Otwarcie w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej Lektorium im. Jana Ernesta Benno, miejsca powołanego w intencji prezentacji polskich tłumaczeń literackiej spuścizny przedwojennego Koszalina, do której należy patron Lektorium, niemiecki romantyk, żyjący w XIX w. w Koszalinie, przygotowywanie publikacji, organizacja sesji naukowych itd.

21 kwietnia Spotkanie autorskie z Piotrem Kuncewiczem, prezesem
ZLP Bałtycka Galeria Sztuki

29 kwietnia Spotkanie autorskie z Barbarą Gruszką-Zych i Romualdem Mieczkowskim.
Bałtycka Galeria Sztuki

12 maja Spotkanie autorskie ze Stefanem Chwinem.
Bałtycka Galeria Sztuki

9 czerwca Promocja książki Piotra Pawłowskiego „Z przeszłości w przyszłość”, z udziałem jej bohaterów. Muzeum w Koszalinie

16 czerwca Promocja książki Zenona Kachnicza „Konspiracja antykomunistyczna na Pomorzu Środkowym 1945-56”. Bałtycka Galeria Sztuki

23 czerwca Promocja książki Ryszarda Ulickiego „Dyskretny urok kapitalizmu”. Koszalińska Biblioteka Publiczna

15 września Jubileusz 40-lecia koszalińskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Nagrody prezydenta miasta otrzymali: Czesław Kuriata, Henryk Livor-Piotrowski, Józef Narkowicz i Ludmiła Janusewicz; medale „Za Zasługi dla Koszalina” - oddział ZLP oraz: Elżbieta Juszczak, Krystyna Pilecka i Anatol Ulman.

13 października Promocja książki Henryka Klimka „Czas zniewalanej młodości (1945-1956)”.
Bałtycka Galeria Sztuki

Teatr

Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie

11 stycznia Andrzej Seweryn prezentuje „Dzienniki” Witolda Gombrowicza

14 stycznia Premiera prasowa „Kaczo, byczo, indyczo” Bogusława Schaeffera w reż. Edwarda Żentary

16 stycznia	Premiera studencka „Antygona w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego w reż. Tomasza Piaseckiego
29 stycznia	„Każdy kocha Opalę” - w roli tytułowej Barbara Wrzesińska Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego
20 lutego	„Jak wam się podoba” Williama Shakespeare'a Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego z Kalisza
5 lutego	„Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska w reż. Krzysztofa Galosa PREMIERA
7 lutego	Lora Szafran w cyklu „Jazz w Teatrze”, z towarzyszeniem Janusza Muniaka i Bogdana Hołowni
20 lutego	„Zbrodnia i kara” Fiodora Dostojewskiego w reż. Edwarda Żentary
26 lutego	Koncert Michała Bajora
27 lutego	„Hiob” wg Karola Wojtyły w reż. Jarosława Fedoryszyna Lwowski Teatr „Woskriesinnia”
6 marca	„Podróż do Buenos Aires” w reż. Tadeusza Mroczka Teatr Propozycji „Dialog”
11 marca	Emilia Krakowska w monodramie „Wakacjuszka” Zofii Mierzyńskiej w reż. Janusza Dymka i Roberta Talarczyka
12 marca	„Inter City” Leszka Malinowskiego w reż. autora oraz Bogusława Semotiuka - Nowy Teatr ze Słupska
31 marca	„Pamiętniki” Jana Chryzostoma Paska w reż. Krzysztofa Galosa spektakl z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru
12 kwietnia	„Księżniczka o zielonych włosach” Cezarego Żołyńskiego w reż. autora - Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego
16 kwietnia	„Obsługiwałem angielskiego króla” Bohumila Hrabala w reż. Bogusława Semotiuka
23 kwietnia	„Sługa dwóch panów” Carlo Goldoniego w reż. Waldemara Matuszewskiego
26 kwietnia	Leszek Możdżer w cyklu „Jazz w Teatrze”
5 maja	Simple Acoustic Trio w cyklu „Jazz w Teatrze” (30 marca MaYcin Wasilewski podczas gali rozdania nagród Fryderyki 2005 został uznany za muzyka roku w kategorii jazz. Drugiego Fryderyka otrzymała jego płyta „Trio” jako album roku, nagrana wraz ze Sławomirem Kurkiewiczem i Michałem Miśkiewiczem)
14 maja	„Związek otwarty” Dario Fo i Franca Rame w reż. Tomasza Mana - Teatr im. Witolda Gombrowicza z Gdyni
5 czerwca	XXX Festiwal Ukraińskich Zespołów Dziecięcych
18 czerwca	IV Międzynarodowa Gala Baletowa
21 czerwca	„Jak zjadłem psa” Jewgienij Griszkwiec w reż. Michała Siegoczyńskiego - Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego z Kalisza (przedstawienie odbyło się na Dworcu PKS w Koszalinie)
18 września	„Tajemniczy Mr. Love” w reż. Zbigniewa Najmoły Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego z Kalisza
5 października	„O dwóch takich, co ukradli księżyc” Kornela Makuszyńskiego w reż. Cezarego Domagały - Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielko- polskiego
14 października	„Sen Podszewki” na motywach „Snu nocy letniej” Williama Shakespeare'a w reż. Roberta Czechowskiego. PREMIERA

23 października	Vincent Herring Quartet w cyklu „Jazz w Teatrze”
4 listopada	„Podróż do zielonych cieni” Finna Methlinga - monodram Anny Kutkowskiej. PREMIERA
11 listopada	„Sen Podszewki” w reż. Roberta Czechowskiego
14 listopada	„Belfer” Jean Pierre Dopagne w reż. Michała Kwiecińskiego monodram w wykonaniu Wojciecha Pszoniaka
20 listopada	Scena Piosenki Aktorskiej - recital Janusza Radka
25 listopada	„Miejsce miłosierdzia” Neil LaBute w reż. Zbigniewa Najmoły. PREMIERA
1 grudnia	Koncert The Quartet w cyklu „Jazz w Teatrze”
3 - 4 grudnia	„Reflektor” - Finał II Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Aktorskiej zorganizowanego przez Młodzieżowy Dom Kultury
5 grudnia	„Ja jestem Żyd z Wesela” Romana Brandstaettera, adaptacja i reż. Tadeusz Malak Stary Teatr z Krakowa
17 grudnia	Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom - koncert charytatywny zorganizowany przez Katedralny Chór Chłopięcy „Cantate Deo”
31 grudnia	Sylwester w Teatrze. „Happy End” Bertolda Brechta i Kurta Weila w reż. Jerzego Batyckiego. Spektakl przedpremierowy

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog”

6 stycznia	Marek Hłasko, „Pętla” w reż. Edwarda Żentary
20 stycznia	Par Lagerqvist, „Człowiek i karzeł” w reż. Krystyny Kuczkowskiej-Chodzikie- wicz, monodram w wykonaniu Jerzego Litwina
10 lutego	Albert Camus, „Obcy” w reż. Stanisława Otto-Miedzińskiego Teatru „Rondo” ze Słupska
24 lutego	„Kraj lat dziecinnych” fragmenty „Pana Tadeusza” (w 150 rocznicę śmierci Adama Mickiewicza) w reż. Marii Ulickiej
10 marca	Spotkanie z Emilią Krakowską
11-12 marca	Studium Interpretacji Literatury Polskiej, zajęcia prowadzi Emilia Krakowska
24 marca	Scena Muzyczna - Recital Elżbiety Okupskiej z Teatru Rozrywki w Chorzowie
14 kwietnia	Scena poezji: Jan Paweł II „Tryptyk rzymski” w reż. Marii Ulickiej
21 kwietnia	Scena Muzyczna - recital Tomasza Żółtko
29 kwietnia	Spotkanie z Wojciechem Malajkatem
19 maja	Teatr przy Stolikach - Adam Mickiewicz „Konrad Wallenrod” w reż. Marii Ulickiej
3 czerwca	Scena Poezji, „Strofy Mickiewiczowskie” w interpretacji Wojciecha Siemiona
2 września	Jarosław Iwaszkiewicz, „Rżysko” - plenerowe przedstawienie w Policku k. Koszalina w reż. Stanisława Otto-Miedzińskiego
22 września	Teatr przy Stolikach: Jolanta Brach-Czajna „Krząctwo” w reż. Krystyny Kuczkowskiej-Chudzikiewicz
20 października	„Ja i tak zabiorę cię stąd”, pieśni Włodzimierza Wysockiego śpiewa Paweł Orkisz
3 listopada	Spotkanie autorskie. 50-lecie twórczości literackiej Andrzeja Turczyńskiego
16 listopada	Scena Teatralna - „Zadońszczyzna”, wg XIV-wiecznego eposu Sofoni Riazane- ca, z wykorzystaniem odrestaurowanych instrumentów muzycznych z epoki. Teatr „Piligrim” z Rosji.
19-20 listopada	Turniej Recytatorski im. Cypriana Kamila Norwida

24 listopada	CK. Norwid, „Promethidion”, monodram w wykonaniu Jerzego Domina
15 grudnia	Agnieszka Matysiak śpiewa piosenki Kaliny Jędrusik

SZTUKA

Bałtycka Galeria Sztuki

9 lutego	Jadwiga Grobelna - Gobeliny
30 czerwca-30 lipca	Wystawa prac grupy „Plama’s”
25 lipca - 25 sierpnia	„Wysocki. Czy pamiętasz jeszcze tamten dom...?” - wystawa prezentująca dzieciństwo i młodość największego rosyjskiego barda, aktora i poety - Włodzimierza Wysockiego
3 - 22 listopada	VII Ogólnopolskie Biennale Rysunku i Malarstwa Klas Młodszych Szkół Plastycznych - wystawa pokonkursowa
4 - 30 listopada	Wystawa prac artystów skupionych w „Group 4”, której trzon stanowią Lidii Maksjan, Krzysztof Tracz i Waldemar Jarosz
1 grudnia	„Opowiadania pomorskie” wystawa prac Jana Kamińskiego, prezentująca zapamiętane przez artystę krajobrazy, wspomnienia i impresje
8 grudnia	„Remanenty” retrospektywna wystawa malarstwa Jerzego Dudy-Gracza wystawa grafiki, malarstwa, fotografii

Galeria „Na Piętrze”

27 stycznia	Pożegnanie Ryszarda Lech
19 lutego	Andrzej Majchrzak, Portret w rzeźbie i fotografii
14 maja	Krzysztof Musiał, wystawa malarstwa „Algebrabura”
14 maja	„Słownik w plenerze po raz ósmy” - „Niebieskie ptaki z gwiazdami” - pokaz Andrzeja Słowika
25 czerwca	Wiesława Pietrzak, malarstwo
15 października	Andrzej Słowik, wystawa malarstwa „Piętnastego 23”
12 listopada	Magdalena Hanysz-Stefańska, grafika i malarstwo

Galeria „Ratusz”

Wystawa plastyków amatorów (I piętro)

styczeń/luty	Barbara Widło, Fotografia
marzec/kwiecień	Dariusz Mol, Malarstwo
czerwiec/lipiec	Maria Modrzyńska, „Stary i nowy Koszalin” - malarstwo
sierpień	Zespół Pracy Twórczej Plastyki, Wystawa poplenerowa „Kołobrzeg 2005”
wrzesień/październik	Wiesława Kurowska, Malarstwo
listopad/grudzień	Zespół Pracy Twórczej Plastyki, „Koszalińskie podwórka” - malarstwo

Wystawa artystów plastyków (II piętro)

styczeń/marzec	Zofia Szreffel, Batiki i gobeliny
----------------	-----------------------------------

kwiecień/maj	Hubert Romanowski, Malarstwo i grafika
maj/czerwiec	Andrzej Szoka, Malarstwo
lipiec/sierpień	Wystawa zbiorowa artystów biorących udział w Plenerach Malarskich w Osiekach w latach 1998-2005
wrzesień/październik	Robert Chmielewski, Malarstwo (15-lecie pracy twórczej)
listopad/grudzień	Ewa Miśkiewicz-Żebrowska, Anioły, aniołki, anielice.

Muzeum

12 stycznia - 20 lutego	Historyczne widoki Koszalina i okolic - wystawa malarstwa Zygryda Barza
28 stycznia - 20 lutego	Postawy Roku 2004 - wystawa prac członków Związku Polskich Artystów Plastyków. Oddział Koszalin-Słupsk
25 lutego - 25 marca	Wido Buller. Rzeźba
4 marca	„Pierwsze Dni i Lata Polskiego Koszalina” - Wystawa archiwalnych fotografii i pokaz filmów w Muzeum w Koszalinie
1 kwietnia - 8 maja	„Nasze rodowody” - wystawa fotografii rodzinnych
18 maja - 20 czerwca	„Moja przygoda w muzeum”
7 czerwca - 30 września	„Od Miasta Koszalina dla Ojca Świętego Jana Pawła II”
2 lipca - 24 sierpnia	„Tradycje piwowarskie na Pomorzu Zachodnim” - Wystawa poświęcona tajemnicom produkcji, historii browarnictwa, kolekcji naczyń i birofilstwu
26 sierpnia - 9 września	„Solidarność” Regionu Koszalińskiego. 25 lat NSZZ
22 września-21 listopada	„Muzealne Spotkania z Fotografiami”
28 października-31 grudnia	Wystawa „Biżuteria Gotów, ozdoby i części strojów”
28 - 29 października	Międzynarodowa konferencja naukowa „Goci na Pomorzu Środkowym” w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej

Film

21 - 25 czerwca	24. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Miejski Ośrodek Kultury, Koszalińska Biblioteka Publiczna, Kino Kryterium, Kino Kryterium-Alternatywa
4 listopada	III Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja”, podczas którego nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu na audycję radiową poświęconą problemom osób niepełnosprawnych, odbyła się projekcja filmu hiszpańskiego „W stronę morza”, wykład prof. Bassama Aouil z Instytutu Psychologii Akademii Bydgoskiej oraz dyskusja z udziałem osób niepełnosprawnych i ich rodzin. Koszalińska Biblioteka Publiczna

Fotografia

13 maja	IV Ogólnopolski Konkurs Fotografii Dzieci i Młodzieży „Człowiek, Świat, Przyroda”. Młodzieżowy Dom Kultury, Bałtyckie Towarzystwo Fotograficzne
7 lipca	X Przegląd Fotografii Polskiej i Europejskiej „Złota Muszla”. Bałtyckie Towarzystwo Fotograficzne

Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata”

2 stycznia - 15 lutego	„Portret Świata - Peru”
19 lutego - 31 marca	„Kenia-Tanzania-Zanzibar”
23 kwietnia - 30 kwietnia	„Portret Świata”. Galeria parafii Św. Wojciecha
11 czerwca - 31 sierpnia	„Mazury z kokpitu” autorstwa Katarzyny Sikory-Felcyn i Erazma Wojciecha Felcyna
3 - 30 listopada	Fotogruppe „Hein Gas” z Hamburga

Festiwal Kabaretu

30 lipca	XI Festiwal Kabaretowy. Amfiteatr
----------	-----------------------------------

Kto jest kim

Autorzy „almanachu”

Od A do Z

Wojciech Ciesielski - absolwent muzealnictwa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, pracownik Muzeum Narodowego w Szczecinie

Jerzy Fedorowicz - artysta plastyk, w 1954 r. ukończył krakowską Akademię Sztuk Pięknych. Inicjator, organizator i uczestnik Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i teoretyków Sztuki w Osiekach w latach 1963-1981. Współtwórca polskiego ruchu awangardy artystycznej.

Jerzy Gąsiorek - artysta rzeźbiarz, wieloletni dyrektor BWA w Gorzowie Wielkopolskim, od 2006 r. na emeryturze.

Basia Jakubowska - nowojorski krytyk muzyczny, korespondentka wydawnictwa „Muzyka 21”, stały sprawozdawca Metrolita Opera.

Ludmiła Janusewicz - absolwentka studiów polonistycznych na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, poetka, prezes ZO ZLP w Koszalinie.

Andrzej Kasprzak - absolwent studiów magisterskich w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Działu Archeologii Muzeum w Koszalinie. Od roku 2003 uczestniczy w badaniach archeologicznych na cmentarzysku kurhanowym w Nowym Łowiczu.

Katarzyna Konopko-Walkowiak – absolwentka Publicystyki Ekonomicznej i Public Relations na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Konsultant Public Relations,

Dorota Kolano - absolwentka Wydziału Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie. Wieloletni kierownik literacki Teatru Powszechnego im. Jana Kochanowskiego w Radomiu.

Małgorzata Kołowska - polonistka, teatrolog, publicystka.

Anna Kowal - starszy bibliotekarz w Dziale Informacyjno-Bibliograficznym Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Piotr Kuncewicz - pisarz i krytyk literacki, prezes Związku Literatów Polskich. Twórca o rozległych zainteresowaniach, obejmujących m.in. filozofię i religioznawstwo, historiozofię i socjologię, wiedzę ezoteryczną, paleontologię, biologię i medycynę.

Anna Kutkowska - aktorka Bałtyckiego Teatru Dramatycznego.

Jerzy Lewczyński - artysta fotografik, członek zwyczajny i honorowy Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Artur Daniel Liskowacki - zamieszkały w Szczecinie prozaik, eseista, poeta, autor słuchowisk radiowych, krytyk teatralny. Od 1990 r. kierownik działu kulturalnego „Kuriera Szczecińskiego”. Współpracuje z miesięcznikiem „Teatr”, dwumiesięcznikiem „Pogranicza” oraz z „Twórczością”.

Anna Marcinek-Drozdalska - absolwentka studiów polonistycznych na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, specjalista do spraw wydawnictw Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Anna Mosiewicz - absolwentka etnografii na Wydziale Filozoficzno - Historycznym Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zastępca dyrektora Muzeum w Koszalinie, publicystka „Miesięcznika”, w którym zamieszcza recenzje z wystaw i wydarzeń kulturalnych oraz cykl „Historia kultury”.

Ryszard Nakonieczny - dr inż. architekt, pracownik naukowy Politechniki Śląskiej, redaktor naczelny naukowego kwartalnika „Archiwolta”.

Józef Narkowicz - absolwent studiów polonistycznych na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, od lat 60. w Koszalinie. Literat, dziennikarz, wieloletni publicysta „Głosu Koszalińskiego”.

Izabela Nowak - absolwentka studiów polonistycznych na Uniwersytecie Łódzkim, dziennikarka, publicystka „Miesięcznika”.

Walentyna Orłowska - historyk sztuki, w latach 1970-1975 pracowała w koszalińskim Biurze Wystaw Artystycznych, od 1976 prowadzi dział Sztuki Współczesnej w Muzeum w Koszalinie.

Bartosz Osiewicz - pracownik naukowy Instytutu Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Ewa Podgajna - publicystka „Gazety Wyborczej”.

Jupi Podlaszewski - reżyser teatralny, publicysta, założyciel The English Language School of Koszalin.

Władysław Rokiciński - ekonomista, specjalista w dziedzinie Public Relations i Media Relations.

Kazimierz Rozbicki - kompozytor, dyrygent, pedagog, krytyk muzyczny, publicysta, członek związku Kompozytorów Polskich, od 1967 r. związany z Koszalinem.

Andrzej Słowik - artysta malarz, absolwent PWSP w Gdańsku.

Maria Słowik-Tworke - dziennikarka Radia Koszalin, publicystka Redakcji Muzycznej.

Zenon Suszycki - dziennikarz koszalińskiej rozgłośni radiowej, do 2006 r. prezes Zarządu Radia Koszalin SA.

Lija Szadkowska - etnograf, kierownik Działu Etnograficznego Muzeum w Koszalinie.

Marcin Szeląg - historyk sztuki, doktorant w Instytucie Historii Sztuki UAM w Poznaniu. Zajmuje się współczesną problematyką muzealną. Kierownik Działu Edukacji w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Monika Szumowska - historyk sztuki, dziennikarz, pracownik Muzeum w Koszalinie.

Marek Wawryn - architekt, artysta malarz i grafik, do lat 80. związany z Koszalinem, mieszka i pracuje w Elblągu.

Stanisław Wolski - absolwent Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wykładowca w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej.

Małgorzata Zychowicz - pracownik Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Tadeusz Żukowski - poeta, reżyser filmów dokumentalnych. Członek Pen Clubu, był zastępcą redaktora naczelnego „Czasu Kultury”, autor m.in. filmów o Czesławie Miłoszu, Kazimierze Iłakowiczównie, Rafale Wojaczku. W tym roku wydał książkę „Krystyna Feldman albo festiwal 1001 epizodu”.

Leszek Żuliński - poeta, krytyk literacki, studia polonistyczne na UW. W 1971 roku debiut poetycki, rok później - jako krytyk literacki. Jako autor i krytyk zyskał uznanie i wiele nagród. Był m.in. sekretarzem literackim miesięcznika „Literatura”, od 2000 r. pracuje w TVP SA.



1. Muzyka

2. Literatura

3. Teatr

4. Sztuka i architektura

5. Muzealnictwo

6. Miscellanea